wolnelektury.pl

Zbigniew Uniłowski

Wspólny pokój



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Wspólny pokój

Rozdział I

Godzina ósma minut dziesięć rano. Jest to pora przyjazdu pociągu pośpiesznego z Zakopanego do Warszawy. Lokomotywa drży jeszcze jakby i otacza się kłębami pary zmieszanej z mgłą poranną. Zmęczeni całonocną podróżą ludzie suną przez szary peron, tłoczą się niemrawo przy oddawaniu biletów, przechodzą przez olbrzymią poczekalnię, aby wyjść od strony miasta. Pakują się wraz z tobołami między cztery ścianki czarnych taksówek, które jak wstrętne, duże robaki wiozą je między posępne domy.

Rosły, opalony chłopak stanął na stopniach dworca, uwolnił ręce od ciężaru dwóch zniszczonych walizek i począł wycierać sobie twarz kolorową chustką od nosa. Jego wesołe oczy błądziły po wszystkim, co go otaczało; tupnął parę razy obcasem w stopień, wsłuchując się w kamienny dźwięk — dźwięk miasta; skierował wzrok w mgliste niebo, przesunął nim po mokrych dachach, westchnął i stał tak z chustką w ręku, namyślając się, gdzie skierować swe kroki. „Mógłbym pójść do ciotki, ale, Boże! — ten cuchnący, parterowy pokój z ich czworgiem, po moim zakopiańskim komforcie, nie, to nie dla mnie. A przy tym chciałbym trochę pracować, cóż robić, u diabła, wynająć jakąś ciupkę i płacić sześćdziesiąt złotych to też nie interes". Zakłopotany był, co mu nie przeszkadzało patrzeć wesoło na ludzi. Odmówił tragarzowi ruchem głowy, jak gdyby chciał się usprawiedliwić, że stoi tak tutaj z tymi walizkami, schował chustkę do kieszeni, gwiżdżąc cichutko. „Tak, nie ma rady, trzeba pójść do Zygmunta, bo o ciotce nie ma co myśleć, znowu wpadnę ze swoimi płucami".

Chwycił rześko walizki i skręcił w ulicę Chmielną, ale przypomniał sobie, że Zygmunt mieszka na Nowiniarskiej, wsiadł więc do taksówki. Jadąc, widział szyldy i wystawy sklepowe, pomyślał, że jeszcze wczoraj był w Zakopanem, przypomniał sobie wspaniałą plastykę gór w śniegu, zdrowe, mroźne powietrze i dzwonki sań. Spojrzał w ołowiane niebo, na wilgotne domy i zabłocony trotuar. Zrobiło mu się smutno — pocieszył się, że marzec w mieście zawsze jest taki, ale oczy jego straciły swój wesoły blask.

Rześka staruszka wskazała mu drzwi na pierwszym piętrze. Przyjaźnił się z Zygmuntem, ale nie był u niego nigdy, adres miał w liście. Przeczytał na drzwiach samo tylko nazwisko: Stukonis, i zapukał. Drugi raz musiał zrobić to gwałtowniej. Otworzył mu zaspany Zygmunt[1]. Był w bieliźnie i uskoczył szybko w głąb mieszkania przed chłodem. Ujrzawszy w świetle pokoju gościa, powiedział radośnie:

— Jak się masz, Salis[2], bardzo jestem zadowolony, że cię tu widzę. Siadaj, opaliłeś się!

Salis usiadł. W nosie miał jeszcze zapach kawy i ustępu, tam z kuchni. Machinalnie odpowiedział: „tak", spojrzał na umęczoną snem twarz Zygmunta, podszedł do niego i ucałowali się. Zygmunt, w kalesonach i koszuli, na środku pokoju, zadawał pytania, drapiąc się w plecy.

— Czy dostałeś mój list? No, widzisz, tak, jest tutaj. To ty pół roku siedziałeś tam w tym Zakopanem, ale chyba teraz jesteś już zdrów?

---

[1] *Zygmunt Stukonis* — pierwowzorem tej postaci był Stanisław Ryszard Dobrowolski (1907–1985), poeta, prozaik, współzałożyciel grupy Kwadryga. W swej twórczości mocno związany ze stolicą; autor tekstów pieśni: *Warszawskie dzieci* z 1944 roku i *Warszawski dzień* z wczesnego PRL. Uczestnik powstania 1944, po wojnie redaktor pism literackich i urzędnik instytucji kultury, długoletni prezes ZAIKS; wiceprezes Związku Literatów Polskich (1954–1956). Napisał antysemicką powieść *Głupia sprawa* (1969). [przypis edytorski]

[2] *Salis, Lucjan Salis* — postać ta to alter-ego samego autora. [przypis edytorski]

— Tak, czuję się zupełnie dobrze. Chorowałem długo i nudnie. Te pół roku suchego kaszlu, połykania świeżego powietrza na werandzie i rozmyślań bokiem mi już wylazło. Mam wrażenie, że może trochę zinteligentniałem, wiesz: samotność, tego ten... Tam jest tylko ładnie, zwłaszcza, jeśli chodzi o przyrodę. Ale żeby z tego korzystać, trzeba być zdrowym. No, teraz jest już lepiej, mam nadzieję, że...

— Możesz tu mieszkać, mówiłem z matką. Patrz, takie tu urządzenie, o, to jest ten pokój, ale spać będziesz w alkowie, w kącie postawi ci się łóżko.

— Bo widzisz, chodzi mi o to, żebym mógł pisać, ostatnio nic nie robiłem: jeśli się ma dwadzieścia jeden lat, to nie należy poprzestawać tylko na marzeniach o sławie, tak jak my to wszyscy robimy, nie wyłączając i ciebie. U ciotki nie mogę, bo ciasno, a oprócz tego przyzwyczaiłem się do pewnych wygód, jak własny ręcznik i grzebień. Kto tu jeszcze mieszka?

— A jakże, w tamtym pokoju matka i dwie panienki. W tym tylko mój brat i jeden student, o, widzisz to polowe łóżko, to jego: agronom[3]. Tu jest zupełnie nieźle; matka wychodzi rano razem z jedną z tych panienek, do zajęcia. Zostawia kawę na płycie. Druga panienka uczy się akuszerii, czasem nie ma jej cały dzień, a czasem jest, ale taka spokojna. Mówię ci, fajnie jest! Mój brat chodzi do szkoły chemicznej: śpi na tej kanapie. Może się kawy napijesz? Nie? No to ja będę pił, bo jeszcze śniadania nie jadłem.

Salis podszedł do lustra, poprawiając sobie krawat; zastanowił się nad ceną tego kąta i zaraz zapytał:

— A nie wiesz, ile będę musiał płacić?

Zygmunt jadł śniadanie; z ustami pełnymi jadła odpowiedział, że nie wie, że jest to sprawa matki. W jego głosie Salis odczuł ciepło przyjaźni i nieprzywiązywanie wagi do tego pytania. Nieuchwytna sztuczność na początku rozmowy znikła teraz i obaj poczęli sobie gawędzić serdecznie. Mówili o tym, co ich najbardziej interesowało: o tej swojej tak młodej literaturze, o kolegach, z którymi tworzyli razem grupę piszących, że ów leniwy, a tamten niezdolny — ale zaraz spojrzeli sobie w oczy i roześmieli się, bo nie wiedzieli, co o sobie powiedzieć. Przez okno pokoju wpadało anemiczne miejskie słońce i jasna smuga światła padła na bosą nogę Zygmunta. Patrząc na nią, Salis myślał o rannej mgle i o tym, że słońce tutaj jest takie blade, a noga Zygmunta niezbyt czysta. Zapytał zaraz, czy będzie miał gdzie pisać, na co Zygmunt wskazał mu biurko. Było ono wielkie i szerokie, z blatem pokrytym czarną ceratą w wielu miejscach poplamioną atramentem. Stały na nim buteleczki jakieś, większe i mniejsze, trzy muszle, parę figurek z gipsu i jedna z miedzi czy brązu przedstawiająca robotnika z wzniesioną do góry pochodnią. Prócz tego wazoniki, dwie starte gąbki, mnóstwo obsadek ze stalówkami i bez, leżały na nim gazety i rozsypany był tytoń i okruchy chleba. Zygmunt skończył jeść, przeciągnął się i powiedział:

— No, Lucek, rozejrzyj się, możesz nawet iść do drugiego pokoju, bo w tej chwili nie ma tam nikogo. Ja tymczasem pójdę do ustępu i potem zacznę się ubierać. Ale, tyś nie widział mego tomiku, przejrzyj no: pierwsza książka!

Lucjan usiadł na otomanie i począł przeglądać książkę Zygmunta: był to mały tomik wierszy[4], które Lucjan już znał, począł więc rozglądać się po pokoju. Brak firanek w oknach czynił wrażenie jasności i pustki, mimo że sprzętów było w nim wiele. Między oknami, pod ścianą, stała komoda z mnóstwem drobiazgów, z dużym lustrem pośrodku i dwoma wazonami z wetkniętymi w nie pawimi piórami. W kącie pokoju obok otomany stała etażerka pełna książek, zniszczonych, kurzem pokrytych, papierów w rulon zwiniętych i... buteleczek. Siedział na solidnej otomanie, wytartej nieco, koloru bordo, przed sobą miał stół z żółtą i brudną serwetą. Obok stało polowe łóżko studenta. Na ścianach wisiały przeróżne obrazy i fotografie: mały aniołek z kwiatkiem w rączce obok poważnego, wąsatego mężczyzny. Grupa robotników pod ślubną parą. Dymiące kominy fabryczne przy całującej się parze, kolorowe zwierzęta, jeleń uciekający przed sforą psów i myśliwym, obraz Matki Boskiej z dwoma cięciami na policzku. Lucjan przymknął oczy; z kuchni dochodziło kapanie wody z niedokręconego kranu i postękiwania Zygmunta, zza okien głuchy gwar ulic. Zegar dał za wiele uderzeń w stosunku do godziny, potem

[3] *agronom* — specjalista w dziedzinie rolnictwa; zarządca majątku rolnego. [przypis edytorski]

[4] *mały tomik wierszy* — *Pożegnanie Termopil. Poezje* Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego wyd. 1929. [przypis edytorski]

uszu Lucjana doszedł szum spuszczonej wody i roześmiany Zygmunt wszedł do pokoju; począł się niedbale i szybko ubierać.

— Słuchaj, Zygmuś — zapytał Lucjan — skąd tutaj tyle tych buteleczek, obsadek, papieru?

— Przeszkadzają ci — odparł z uśmiechem. — Tutaj kreślarze dawniej mieszkali, to po nich, a teraz ten agronom czy leśnik, też musi coś kreśli[5], bo często go widzę pochylonego nad stołem. Obejrzyj lepiej alkowę.

Alkowa była jakby dużą wnęką pokoju, mieściła się w niej dębowa szafa, bardzo szerokie drewniane łóżko i nocna szafka; panował tu stęchły mrok i alkowa zdawała się być bardzo oddalona od słonecznego pokoju. Lucjan rzucił okiem na miejsce, gdzie miało stać jego łóżko i wszedł do kuchni, aby przy zlewie umyć ręce. Nalał sobie jednak wody w miednicę, zdjął kołnierzyk i umył twarz. Kuchnia była ciemna, bez okien; zapalił więc światło i zaczął wycierać kark i twarz wilgotnym już ręcznikiem, wzięło go jednak obrzydzenie i — mokry — wydobył z walizki swój ręcznik. Teraz uczuł podniecenie wywołane nieprzespaną nocą i swędzenie skóry na plecach; poczuł silną erekcję i stanął pod kranem — zimny strumień wody uspokoił go, nieco tylko twarz paliła i w ustach miał niesmak. Najchętniej położyłby się do łóżka, ale nie miał go jeszcze, zaś spać w ubraniu nie chciał. Postanowił pójść z Zygmuntem do kawiarni — miejsca spotkań cyganerii warszawskiej, żydowskich akwizytorów i plotek starych, znudzonych Żydówek. Zygmunt, który nie miał stałego zajęcia, chodził tam codziennie: rano i wieczór, również i Lucjan był stałym gościem „Ziemiańskiej"[6] jeszcze przed swoim wyjazdem. Szedł więc pełen ciekawości, pewien zainteresowania, jakie wzbudzi wśród kolegów i znajomych po półrocznej nieobecności.

Oto wyszli na ulicę i depczą rozsłonecznione błoto. Styka się tu dzielnica żydowska ze staromiejską; mijają sklepy kuśnierzy i widzą ulicę Długą ze starożytnymi domami ulicy Freta u wylotu. Idą przez Miodową i Zygmunt opowiada rzeczy ciekawe; jest co słuchać.

— Otóż Dziadzia wyjechał w parę dni po tobie, wiesz, że zawsze był tajemniczy, tak i teraz wszystko stało się niespodzianie i momentalnie. Zrobił małe pijaństwo u „Wróbla"[7], raniutko, w ostatniej chwili, udziudziany kompletnie wsiadł do samolotu i pojechał do Gdańska. Miałem list od niego, potem posłałem mu swój poemat pisany u „Wróbla" na karcie menu, na co mi odpisał gdzieś z Casablanki, że płakał, że dostał ten poemat na statku o godzinie piątej nad ranem, w krwawej czerwieni, z kacenjamerem[8] — wiesz, Dziadzia sentymentalny... — że odczytywał go wśród załogi i dziwek z portu, wszyscy zalani oczywiście. Widzę go: z bródką, z długimi włosami, kiedy jak Chrystus stoi pośród całej tej grandy i czyta ten wiersz.

— Uważaj, bo auto. Tak, ja podczas wielkiej śnieżycy dostałem list właśnie z Casablanki. Pamiętam, że listonosz ledwo się do mnie dostał, taka była zawieja, a mieszkałem poza Zakopanem i że wschodni, kolorowy znaczek na kopercie dziwnie mnie rozczulił. Odpisałem mu zaraz i posłałem swoją fotografię — na co już odpowiedzi nie miałem.

— Czekaj, bo tu najważniejsza część. Siedzę ja sobie kiedyś w „Małej", a tu przychodzi Markowski i powiada, że widział Dziadzię Krabczyńskiego w Rembertowie, co ty na to?

Zaczęli się obaj gwałtownie śmiać. Lucjan powiedział, że Dziadzia lubi humbug[9].

— Kiedyś jechałem do Poznania i Dziadzia dał mi list, żebym go wysłał, niby on jest w Poznaniu — zabawny. Może z tymi listami z Casablanki było tak samo.

Wchodzili do wnętrza „Ziemiańskiej", więc przestali mówić już o tym. Lucjan zauważył kilkanaście znanych z widzenia twarzy, ukłonił się paru znajomym i usiedli przy bocznym stoliku. Była jeszcze dość wczesna pora i dlatego nie zastali nikogo z bliższych. Właściwie nie było tu nic ciekawego w tej zadymionej kawiarni, złe powietrze zwłaszcza odczuwał teraz Lucjan bardzo. Opuchły, beczkowaty kelner podał im dwie „półczarnej",

[5] *musi coś kreśli* (daw., gw.) — zapewne coś kreśli. [przypis edytorski]

[6] *Ziemiańska* — mowa o „Małej Ziemiańskiej", zwanej też dalej „Małą". Była to modna kawiarnia w Warszawie lat 20. i 30. XX wieku, miejsce spotkań literatów, poetów, dziennikarzy, aktorów. Mieściła się przy ul. Mazowieckiej 12. Budynek już nie istnieje, zburzony podczas II wojny światowej. [przypis edytorski]

[7] *u „Wróbla"* — restauracja przy ulicy Mazowieckiej nieopodal „Małej Ziemiańskiej", słynąca z dobrej kuchni. Obok był Bar Pod Wróblem. [przypis edytorski]

[8] *kacenjamer* (z niem.) — kac. [przypis edytorski]

[9] *humbug* — rozreklamowana fikcja, mistyfikacja. [przypis edytorski]

nie ukłoniwszy się nawet Lucjanowi, mimo że go poznawał i nie widział pół roku. Przed oczyma mieli bufet i patrzyli na znudzone ekspedientki, udające, że coś robią.

— Wiesz — powiedział Lucjan — kiedy jechałem tutaj, to w pociągu myślałem, jak dużo będę miał do gadania, a teraz nie wiem wprost, co ci mówić. Może za wiele mam tematów i nie wiem, który wybrać.

Mądra twarz Zygmunta skrzywiła się od głupkowatego uśmiechu.

— Tak, to się zdarza, będziemy razem mieszkali, to się wygadamy.

Milczeli teraz i palili. Mając umysł wolny od pierwszych kłopotów, Lucjan zastanawiał się, co z nim będzie. Prywatne stypendium, które otrzymywał przez cały czas pobytu w Zakopanem, skończyło się i w kieszeni miał zaledwie sto złotych. Trzeba wystarać się o jakieś zajęcie. Myśl ta zepsuła mu resztki humoru — jakże nienawidził wszelkiej pracy niemającej nic wspólnego z literaturą. Pracował już w biurze i miał pojęcie, co to jest ośmiogodzinne siedzenie w dusznym wydziale, pośród głupich ludzi. Jakież to było wstrętne i co za rozkosz jest tworzyć w myśli, kombinować zawiłe sytuacje, pieścić się głębią trafnej metafory lub pięknem i muzyką zdania. Nie to, żeby zaraz pisać, zapisywać, broń Boże: wypielęgnować, wyszlifować w mózgu kawał prozy i dopiero na papier. No, może znajdę jakieś gazetowe zajęcie — i zaczął całować się z Turkowskim[10], który w tej chwili podszedł do nich.

— Opaliłeś się — powiedział w przerwach między trzema pocałunkami Turkowski. Po czym usiadł i zaczął opowiadać o wojsku, bo niedawno ukończył swą półtoraroczną służbę i bardzo leżało mu to na sercu. Był aplikantem adwokackim i miał opinię dobrego prozaika, mimo że pisał mało. Poprawiając ciągle binokle, głosem spokojnym i o miłym brzmieniu skarżył się Lucjanowi na służbę, że wojsko go ogłupiło, zgasiło wszelką chęć do pracy twórczej. „Chodzę jak oczadziały i masę śpię". Lucjana czekało to w najbliższej przyszłości, spodziewał się jednak, że go zwolnią ze względu na płuca. Słuchał Turkowskiego i jednocześnie wyobrażał go sobie w czasie służby: tak, temu musieli zaszkodzić.

Kawiarnia

Lecz zaczynają się schodzić żelaźni goście „Małej Ziemiańskiej". Drobny krytyk, którego trudno byłoby wyobrazić sobie bez rogowych okularów na nosie, ociera się o wielkiego poetę Tamwima[11], mimo że w zeszłym tygodniu makiem swoich słów starał się rozbić beton jego sławy. Potem przechodzi szereg „niedocenionych", umiarkowanie antyszambrujących[12] lub dumnie zerkających na ogłupiałe Żydóweczki, by dać miejsce jakiejś nahajce[13] satyry, chłoszczącej w najmniej odpowiednie miejsca tępe społeczeństwo. Lucjan patrzy na kilku malarzy, siedzących w pobliżu: okutani w ciężką szatę dostojeństwa swych lat i talentów, siedzą z nakrytymi głowami, patrząc na siebie leniwie jak woły. Kiedy ujrzą młodego, wesołego chłopca, który ma siły zajmować się czymś więcej jak[14] swą sztuką, prychają jak stare morsy, szepczą między sobą zjadliwie. Lucjan doznaje wrażenia suchej impotencji i odwraca spojrzenie. Do stolika przysiada się poeta Gowornik[15]:

— Cóż to, opaliłeś się, Lucjanie — powiada. — Wróciłeś z Zakopanego?

Na to Lucjan odpowiada, że nie wrócił i że wcale się nie opalił. Wszyscy się śmieją. Gowornikowi jest głupio, co zresztą nie jest dla niego nowością. Nikt nie lubi tego trzydziestoletniego megalomana o prosięcych oczach; brak mu wykształcenia i rozumu, zdobył sobie lekką sławkę specyficznym rodzajem poezji sielskiej. Gowornik od razu przystępuje do swego ulubionego tematu: erotyzm i jedzenie. Zwierza się Lucjanowi ze swojej ostatniej miłości, powoli wyjaśnia, że ona jest prostą dziewczyną, „zdrową jak rzepa", wiele więcej wartą od tych anemicznych panienek. Powiadam ci, jest prostą, identyczną[16]

[10] *Turkowski* — Stefan Flukowski (1902–1972), poeta, prozaik i dramatopisarz związany z grupą Kwadryga. Wydał tom wierszy *Słońce w kieracie* (1929) i opowiadań *Pada deszcz* (1931). Jego twórczość wysoko oceniał m.in. Czesław Miłosz. [przypis edytorski]

[11] *Tamwim* — Julian Tuwim (1894–1953), najpopularniejszy poeta okresu Dwudziestolecia; współzałożyciel kabaretu Pikador i grupy poetyckiej Skamander, blisko związany z „Wiadomościami Literackimi". [przypis edytorski]

[12] *antyszambrować* (z fr.) — przenośnie: usiłować dotrzeć do osób wpływowych. [przypis edytorski]

[13] *nahajka* — krótki skórzany bicz. [przypis edytorski]

[14] *więcej jak* — dziś popr.: więcej niż. [przypis edytorski]

[15] *Gowornik* — pierwowzorem tej postaci był Włodzimierz Słobodnik (1902–1991), poeta i tłumacz poezji rosyjskiej. Należał do grupy Kwadryga. Debiutował tomikiem *Modlitwa o słowo* (1927). [przypis edytorski]

[16] *identyczną* — tu: autentyczną. [przypis edytorski]

kucharką, bez romantyzmu; ciałko ma, no, bielusieńkie z żyłkami takie, wyobraź sobie, przy tym świetnie przyrządza potrawy. Powiadam ci, od czasu, jak ją poznałem, tak mi, wiesz, robota idzie pierwszorzędnie.

Gowornik musi skończyć ze swymi intymnościami, bo oto idzie Olafowa[17], której Lucjan tak dawno nie widział, a którą tak lubi. Olafowa jest żoną przyjaciela ich wszystkich, Jana Kacewa[18]. Kacew zawsze krzątał się koło czegoś, lecz nikt nie wiedział, jakie jest jego właściwe zajęcie, nie wiadomo też dlaczego nazwano go Olafem. Ona jest drobną, bladą osóbką o kruczych włosach zaczesanych za uszy. Ma zawsze humor i śmieje się, kiedy mówi o swoich kłopotach. Gdy się do niej mówi, słucha uważnie, patrząc w oczy i jej delikatny umysł pojmuje wszystko doskonale. Niełatwo to obcować z czeredą piszących młodzików, mających zawsze tony fantazji na podorędziu. Lucjana łączy z nią przyjaźń specjalna: zrozumienie wzajemne. Po tak długim niewidzeniu, witają się gorąco i patrzą sobie w oczy. Olafowa podziwia wspaniały wygląd Lucjana.

— Jest pan tak opalony — w mieście, o tej porze roku robi to wrażenie. A jak się pan czuje, panie Lucku, chyba już dobrze?

Tak, Lucjan czuje się dobrze — jako tako. Ożywili się; słuchają opowiadania Zygmunta, który razem z Bibrowskim[19] miał niedawno sprawę w sądzie grodzkim o jazdę na gapę:

— Pamiętacie, jakeśmy to jechali na wieczór autorski do Otwocka i przez omyłkę wsiedliśmy do innego pociągu. Oczywiście konduktor żąda pieniędzy za przejazd, a gdy odmawiamy, bo nie mamy, zabiera nas na stację i tam protokół. Ano, zapomnieliśmy o całej sprawie, aż tu wezwanie. Spotykam w sądzie Bibrowskiego: wyniosły, pełen godności przechadza się po poczekalni. Wiecie o tym, że Bibrowski od czasu, jak się odłączył od nas, studiuje prawo. „Moja poezja nie zginie, a nabędę piękną specjalność". Od czasu tej kolei nie widziałem go: kołnierzyk taki czyściutki, włoski ufryzowane. Mówi: „Trzeba pokazać temu tam — wskazał na drzwi sądowe — żeśmy nie w ciemię bici, chociaż ty nie posiadasz wykształcenia prawnego, no, ale ja już będę wiedział, czym go zmyć". Wołają nas tam, od razu powiadam, że owszem, należy się, sędzia każe bulić piętnaście złotych, w porządku — płacę. Kolej na Bibrowskiego, sędzia zwraca się do niego pewien, że wszystko pójdzie gładko, tak jak ze mną. Sędzia: „Grzywna za jazdę bez biletu, płaci pan piętnaście złotych i osiemnaście groszy". Bibrowski: „Przepraszam Wysokiego Sądu, bilet miałem". Sędzia dopiero teraz spojrzał na Bibrowskiego: „Co pan mówi, panie?". „Że miałem bilet, tylko w inną stronę". Sędzia: „Że pan miał bilet, tylko w inną stronę, ale w tę, w którą pan jechał, biletu pan nie miał. No więc w porządku — płaci pan piętnaście złotych i osiemnaście groszy za jazdę bez biletu". Bibrowski: „Tak, proszę Wysokiego Sądu, ale wtedy zaszła omyłka; wsiadłem z moim tu kolegą, który zapłacił już swoją grzywnę, do innego pociągu, bilet miałem przecież wykupiony do innej stacji. Czyli, że niewygodnie byłoby mi nawet jechać gdzie indziej, czyli że już się omyliłem na swoją niekorzyść, więc nie powinno się mnie pociągać". Sędzia: „Trudno, mój panie, skoro pan już naraził się na niepożądaną jazdę w inną stronę, musisz pan za nią zapłacić. Ja pana doskonale pojmuję, owszem, pan jest poszkodowany, lecz jest to winą pańskiego roztargnienia i państwo tych rzeczy nie może brać pod uwagę, kodeks, rozumie pan. Wszyscy by sobie jeździli bez biletu, a potem wyjmowali bilet za pięćdziesiąt groszy do najbliższej stacji w innym kierunku, i mówili: padłem ofiarą omyłki, ale byliby na miejscu". Bibrowski: „Proszę pana sędziego, ja bym nigdy tak nie powiedział, jestem studentem prawa i mam honor. Nie po to tu przyszedłem, by mnie niesprawiedliwie sądzono i jeszcze w dodatku obrażano. Pan sędzia korzysta z przywilejów swego urzędu i czyni jakieś przypowiastki w stosunku do mnie, ubogiego studenta, który poświęcił się nauce". Na to sędzia podniósł się z krzesła i dalejże płaczliwym — jak Boga kocham — głosem: „Ależ panie drogi, zrozum pan na miłość boską, że nie chciałem pana urazić, doprawdy nie miałem tej chęci, po prostu pragnąłem pana tylko przekonać, że nie

[17] *Olafowa* — Maria Feldmanowa. [przypis edytorski]

[18] *Jan Kacew* — Jan Jakub Feldman, jeden z redaktorów pisma „Kwadryga". [przypis edytorski]

[19] *Bibrowski, Mieczysław* (1908–2000) — poeta, prawnik, dziennikarz, tłumacz. Pierwszy redaktor pisma „Kwadryga". Współredaktor lewicowego czasopisma „Oblicza Dnia" (1936), dwukrotnie aresztowany z przyczyn politycznych. Wyjechał do Francji, w 1950 powrócił do Polski; pracował w Polskiej Agencji Prasowej. [przypis edytorski]

ma pan słuszności". Bibrowski, patetycznie: „Więc jakże to: iż posądzono mnie o działanie na szkodę państwa, mam płacić, więc nie tylko pieniężnie, ale i na honorze będę pokrzywdzony?". Sędzia: „Cóż ja poradzę, drogutki panie, postępuję w myśl przepisów i spełniam swój obowiązek. Naprawdę, jako prywatny człowiek, rozumiem że jest pan niewinny, ale prawo, prawo, panie Bibrowski". „A więc dobrze, ile się należy?" Sędzia, proszę was, znowuż usiadł i urzędowym tonem: „Za jazdę bez biletu w dniu tego to a tego, tytułem grzywny pobiera się od pana Mieczysława Bibrowskiego złotych piętnaście, osiemnaście groszy". Bibrowski: „Płacę tę sumę i odchodzę w poczuciu, iż osądzono mnie niesprawiedliwie". Powiedział jeszcze: „Do widzenia" — i odchodzi dumnym krokiem. Na to sędzia zrywa się, wraca go z połowy drogi i zaczyna się tłumaczyć: „Panie, zatrzymaj się pan, no tak, osądzono pana niesprawiedliwie, ale przecież przepisy, no, no, czyż mam za pana sam zapłacić? — rozumie pan, pensja moja jest tak niewielka. Doprawdy, przykro mi bardzo". Na to Bibrowski: „Tak, prawo nasze chroma, lecz łagodzi mi tę gorzką prawdę myśl, że stróż jego posiada serce. Żegnam pana, panie sędzio, oby prawo było takie jak pan". Godny, zostawił rozrzewnionego sędziego na środku sali, po czym, gdyśmy się znaleźli na ulicy, mówi do mnie: „Oto jak trzeba z nimi postępować". Ja do niego: „No, ale zapłaciłeś". On: „Zapłaciłem, ale jak". Nie mówiliśmy nic i tak żeśmy się pożegnali. Nie wiem, który z nich był głupszy: sędzia czy Bibrowski. Ja skorzystałem na tym dużo; ryczałem ze śmiechu, patrząc na tę walkę rozsądku z obowiązkowością w sercu tego poczciwego urzędnika. Ale ten Bibrowski to idiota.

— Nie jest taki idiota, skoro rzucił wiersze i wziął się za prawo. Lepiej że będzie głupim adwokatem aniżeli marnym poetą, na co się zanosiło.

— Można być dobrym adwokatem i niezłym poetą, mój Lucjanie — powiedział Turkowski. — To już jest kwestia tylko talentu.

Olafowa odezwała się swym cichym głosem:

— Wszystko ma swoje kwestie.

Zygmunt siedzi w kapeluszu i pije wodę z butelki. Drażni to bardzo Lucjana, ale ma jeszcze na myśli opowiadanie z sądu. Ten Bibrowski przepadał za Dostojewskim i to go zgubiło, a teraz poszedł na prawo, hm, Lucjan nie mógł pójść na prawo, bo nie miał matury. Pozostało mu tylko pisanie tej prozy, ale o czymże to myśli. Ci tutaj siedzą i gawędzą o byle czym. Lucjan wcale nie ma wrażenia, że ich nie widział pół roku; wszystko jest tak, jakby się wczoraj z nimi pożegnał. Gowornik mówi swój wiersz. Olafowa jest „inteligentna osoba", Turkowski marzy o sławie. Stukonis też, tylko o innej, takiej, że niby z proletariatu a geniusz, że ma prawo pić wodę sodową z butelki, bo nie ma żadnych tam przesądów, jest taki, jaki jest. Gowornik nie marzy o sławie, jest przecież pewien, że ją ma, pławi się w niej. A Lucjan? O, ten ma same zmartwienia. Jest chory, też chciałby być wielkim człowiekiem, ale wie, że nim nigdy nie będzie i to go martwi. Jest leniwy i o pracy może tylko myśleć, nigdy nic nie zrobi. Pisze same głupstwa i przed czymś poważnym ma strach, po prostu boi się usiąść i zacząć. Tak myśli Lucjan i pociesza się, że jak będzie starszy, to może zmądrzeje i weźmie się za normalną pracę, tak jak większość ludzi.

Kazio Wermel[20] wita Lucjana; w całej swej postaci ma patos, a w oczach jego błyszczy kultura — odwieczna kultura Żydów. Zaśmiewając się, opowiada o nędzy, jaka go obecnie trapi. Mieszka gdzieś na Rybakach[21]: siedem osób w jednym pokoju. Jest tam młody ślusarz, który zatruwa życie małżeństwu. Ci dwoje niedawno się pobrali i urządzają takie hałasy po nocach, że spać nie można — zupełnie jak koty. No, ślusarz ma rację, nie bardzo miło jest być świadkiem cudzych rozkoszy, zwłaszcza w nocy — spać trzeba, ale niedługo się ociepli — będą mieli trawniki. Żebym miał się chociaż gdzie myć; jest tam taka maleńka, gliniana miska, ale — widzisz — ja nie znoszę zimnej wody, po prostu nie mogę się do tego przyzwyczaić, no, a tam nie ma nigdy ciepłej wody w zapasie, tyle tylko,

[20] *Kazio Wermel* — Lucjan Szenwald (1909–1944), poeta związany z grupą Kwadryga. Za najwybitniejszy jego utwór uchodzi poemat *Kuchnia mojej matki*(1931), dedykowany Zbigniewowi Uniłowskiemu. Był działaczem Komunistycznej Partii Polski; podczas II wojny żołnierzem Armii Czerwonej i Dywizji im. Kościuszki, brał udział w bitwie pod Lenino; zginął w wypadku samochodowym pod Lublinem. [przypis edytorski]

[21] *Rybaki* — ulica w Warszawie, tuż nad Wisłą. [przypis edytorski]

co na herbatę. Nie, w nocy nie jest zimno — za wiele ciał. Dostałem niedawno powieść Sheriffa[22] do tłumaczenia na polski — musiałem zwrócić, nie mam gdzie pracować.

Poeta, Wiedza, Bieda

Lucjan słucha z uśmiechem, nie jest mu to obce; ale Wermel zna doskonale język grecki, mówi i pisze zarówno dobrze w angielskim i francuskim, jest doskonałym poetą i ma dwadzieścia lat. Wszystko to nie daje mu trzech obiadów na tydzień. I trudno jest go kochać czule, bo podczas recytowania godzinami Homera w oryginale cuchnie nie do zniesienia.

W kawiarni tłoczą się. Powietrze okropne. Lucjan proponuje powrót do domu — żegnają się i wychodzą. Chwilę milczą, wreszcie Lucjan mówi:

Młodość

— Czy nie uważasz, że mimo naszej młodości, jesteśmy ponurzy, zgorzkniali i stale brak nam humoru? Kiedy się was nie widzi czas dłuższy, można to łatwiej zaobserwować — gdzież jest ta nasza „wiośnianość"? — i nie wiem, czy złożyć to na karb naszych usposobień artystycznych, wczesnej dojrzałości umysłowej, czy też na nasze ciężkie dzieciństwo — jesteśmy przecież dziećmi wojny.

— To nie jest powiedziane — odpowiada Zygmunt — że młodość ma być taka radosna. W młodości przecież szukamy dróg, obieramy sobie cel życia — stoimy przed tym, co nas czeka. Targa nami niepokój i trema przed wyjściem na tę wielką scenę. No, a kiedy ma się już te artystyczne zamiary, to jeszcze bardziej się nękamy — bo, a nuż cię los oszukał i nie masz talentu — tymczasem społeczeństwo patrzy na cię jak na darmozjada. (Tfu, nie znoszę tego słowa — jeśli już jesz, to musiałeś się o to postarać, to już nie za darmo). Nie, ta młodość, młodość... Nadużywa się tego słowa. Ta młodość nie jest wcale najpiękniejszym okresem życia, może raczej najważniejszym. Do dupy z tą niemożnością określenia samego siebie — jesteśmy jak chorągiewki na dachu.

Alkohol

— Widzisz, ale jednak my jesteśmy specjalnie, nieprzyjemnie ponurzy. Dlaczego my tak pijemy? Nie robi się tego z młodzieńczą swadą, z nadmiaru energii lub fantazji, a ot, po prostu z nudy, żeby się rozerwać. My nie powinniśmy się nudzić, to jest bardzo, bardzo źle. Gdzież jest ten nasz kulturalny ogień twórczy? Zalewamy się jak stare, wygasłe dziadygi, a przy tym my nic nie robimy.

— Cóż to, u pioruna, znaczy: „nic nie robimy"? Czy literatura to jest szewstwo — bierzesz się codziennie do roboty i kwita? Masz dwadzieścia jeden lat, ja o dwa więcej; co, wyrobnictwo? My się musimy dopiero przygotować do pisania. Powiadają, że jesteśmy bandą leniuchów. Dobrze, napiszę byle jak, nieprzemyślane gówno i powiedzą, że jestem grafomanem. A może i tak jestem. Nie mówmy o tym. Idź na górę, ja muszę wykupić buty od szewca; tam... zelówki mi robi.

Lucjan czekał na schodach, bo w mieszkaniu nie było nikogo — Zygmunt miał klucz przy sobie. „Nie, on nie miał racji — sztukę trzeba od razu uchwycić za łeb, nie ma sensu czekać na natchnienie; pracować, pracować... sam talent nie wystarczy".

Po chwili przyszedł Zygmunt i weszli do środka. Usiedli na otomanie, ale już nic nie mówili. Lucjan położył się na łóżku w alkowie; opanowało go bezmierne znudzenie, długo patrzał na pajęczynę w kącie sufitu — potem obrócił się na bok i usnął.

Obudził się z tępym bólem w tyle głowy. Był zmęczony i czoło miał gorące. Uszu jego dochodziły — z daleka jakby — głosy ludzkie. W alkowie było ciemno, tylko na środek padało światło z pokoju. Chciał się obrócić na drugi bok, kiedy usłyszał słowa:

— Takich to tylko bić w mordę.

Na to ponury męski głos:

— Po mordzie to tylko takich bić jak pan — wrogów masy. Lud dosyć już...

— Pani Stukonisowa! Ja nie pozwolę, by taki smarkacz mnie obrażał — mnie! Studenta! Psiakrew! Bo wam tu wszystkie graty porozbijam!

Stał na środku pokoju, bez marynarki, i krzyczał. Lucjan nie widział jego twarzy. Z kuchni wyszła szczupła czterdziestoletnia kobieta i powiedziała wolno, nosowym głosem:

— Mieciek[23], jak się nie będziesz liczył, to cię wyrzucę na pysk. Idź tam do swoich komunistów obrażaj, panie Józku, mówiłam, żeby się pan z tym draniem nie zadawał, on jest głupi absolutnie.

---

[22] *Sherriff, Robert Cedric* (1896–1975) — angielski dramaturg i powieściopisarz. [przypis edytorski]

[23] *Mieciek, Mieczysław Stukonis* — Mieczysław Dobrowolski, młodszy brat Stanisława (powieściowego Zygmunta). [przypis edytorski]

Student odwrócił się do kobiety: miał dużą, po chłopsku przystojną twarz z czarnymi wąsikami pod nosem. Na głowie jego falowały ufryzowane włosy, a oczy wyrażały tak bezmierną głupotę, że Lucjana dopiero teraz zdziwiły poprzednie, pełne energii słowa. Patrzał na nią czerwony i zmieszany, po czym wziął książkę i usiadł przy biurku. Lucjan wstał; na łóżku, którego poprzednio nie było, leżał Zygmunt. Powiedział:

— Poznaj się z moją matką[24], obudzili cię, co?

Lucjan ucałował jej zniszczoną przez pracę rękę; uśmiechnęła się, pokazując zepsute zęby.

— A, to pan! Wstawiłam panu łóżko. Zygmunt, wstawaj no! Może się pan herbaty napije, to zaraz zagrzeję.

Lucjan podziękował. Wszedł do pokoju i przedstawił się studentowi, ten uśmiechnął się głupawo, patrząc na Lucjana z fałszywą uprzejmością. Koło etażerki stał dziewiętnastoletni może chłopak o wąskich, małych oczach, błyszczących fanatycznie. Był to Mieciek — brat Zygmunta. Krępy i nieforemny, z wielkim tułowiem na krótkich nogach i dużą głową z odstającymi uszami. Jego oczy były skośne i przymrużone jak u prosięcia; tkwiły blisko siebie osadzone, nad kopytkowatym nosem. Podał ciężko wilgotną, ciepłą rękę Lucjanowi i zaraz obrócił się tyłem. Lucjan zwrócił się do studenta:

— Czy nie będzie panu przeszkadzała moja osoba w tym domu?

Student zrobił zdziwioną minę i wybuchnął głośnym śmiechem, potem powiedział:

— Nie kpij pan lepiej ze mnie.

— Nie zwracaj uwagi na tego błazna — powiedział Zygmunt.

Lucjan poczuł głód, ubrał się i zeszedł na dół. Zjadł kolację w pobliskiej knajpie i wrócił zaraz. Z ulgą spojrzał na posłane łóżko; rozebrał się i wsunął pod czysto obleczoną kołdrę. Leżał na wznak. W pokoju jeszcze nie spano. Widział studenta pochylonego nad stołem i Miećka, siedzącego przy biurku. Zygmunt wyszedł do „Małej", Stukonisowa krzątała się po kuchni, a z dalszego pokoju słychać było śmiechy kobiece i piski. Lucjan drzemał. W pewnej chwili w pokoju usłyszał głos kobiecy, otworzył oczy i zobaczył młodą, dość brzydką dziewczynę. Zbliżała się powoli do Miećka, ze słowami: „A spać, Mitasku, nie czytać po nocach". Nachyliła się nad nim i oparła ręce na jego ramionach. Lucjan widział, że chciała jeszcze coś powiedzieć, ale raptem odskoczyła gwałtownie. Teraz powiedziała: „Fe, Mitasku, jak pan psuje powietrze". Głośny śmiech, wycie jakieś rozległo się w pokoju. Mieciek i student zataczali się wprost: „Hoho... hoho... ojej... jaka czuła... hohoho... ho!!"

Dziewczyna trzasnęła drzwiami. Zmęczenie pokonało zdenerwowanie i Lucjan usnął ciężko.

Rozdział II

Wiosna, Miasto

Marzec w mieście. Słońce jeszcze nie jest dość silne, by promieniami swymi grzać mogło; co najwyżej wysusza błoto. Znika ono powoli, deptane milionem nóg, rozprowadzane kołami pojazdów na cieńszą i cieńszą warstwę, by łacniej poddać się słońcu.

W mieszkaniu na Nowiniarskiej[25] wiruje złoty pył w smugach słońca. Ubogie i liczne sprzęty są zakurzone i błyszczą sucho. W alkowie też jest jasno — resztkami światła z pokoju.

W półśnie Lucjan widzi obraz, jaki go witał przez szereg miesięcy co rano: że dzień jest pogodny, ot, czuje przecież. „Czy też góry będą dzisiaj czyste?" Przeciąga się — o, jak jasno! Wyskakuje z łóżka i... gdzież to on jest? Zegar wskazuje dziesiątą, lecz wybija tylko pięć razy. „Ach, przecież ja teraz tutaj jestem... co za przywidzenie".

Lucjan nakłada płaszcz na bieliznę i zagląda do kuchni. Cisza. To samo w drugim pokoju: nie ma nikogo, jest więc swobodny. Usiadł na kanapie, rozpamiętywując dzień wczorajszy. „Stukonisowa jest znośna, ma tylko takie chytreńkie oczy — ile też będzie żądała. Student i ten drugi, jak mu tam... a, wszystko jedno. Cała rzecz w tym, aby trzymać się od nich z daleka. Żeby chociaż można było pisać".

---

[24] *matka, Stukonisowa* — Władysława z domu Jasińska, matka S. R. Dobrowolskiego. [przypis edytorski]

[25] *mieszkanie na Nowiniarskiej* — mieszkanie Władysławy Dobrowolskiej, w którym toczy się akcja *Wspolnego pokoju*, mieściło się pod numerem 2. Budynek ten nie przetrwał do naszych czasów; został zniszczony w czasie II wojny. Obecnie w tym miejscu są parkingi za Sądem Najwyższym. [przypis edytorski]

Nie chciało mu się ubierać, czuł w sobie ociężałość jakąś. Podszedł do okna i otworzył lufcik. Widzi na wprost siebie podwórko wąskie i podłużne, oddzielone od ulicy żelazną bramą z włóczni. Podwórko robi wrażenie wschodniej uliczki; kręcą się po nim ludzie brodaci, w długich chałatach. Mówią po żydowsku i gestykulują. Kobiety mają peruki na głowie i wynędzniałe twarze. Pod murem stoją kosze z ciastkami, owocami, talerzami lub chusteczkami do nosa. Trzęsący się, siwy Żyd w łachmanach stoi na słońcu i zawodzi lepkim, jakby bełkotliwym głosem. Wre tutaj drobne, skupione w sobie życie — jak gdyby odosobnione od reszty świata. W wąskiej kamiennej szyi tłoczą się, targują, kłócą — oszołomieni, niewidzący słońca, nieczujący wiosny — ludzie. Ich wytarte nędzą oczy błyszczą od chęci zdobycia kilku groszy. A nad tym niebo przejrzyste, młodowiosenne. Żyd

Brama zamyka podwórko od ulicy Długiej; po przeciwległej stronie stoi wielki i szary kościół garnizonowy[26] — zamyka on perspektywę uliczki i Lucjan widzi ze swego okna jarzące się w ciemnym wnętrzu kościoła — świece. Na wieżach zahuczały dzwony. Ciepły wiatr łaskocze odkrytą pierś Lucjana. Jest mu dziwnie, kiedy tak patrzy na te kontrasty. Ci na dole poruszają się i szwargocą w dalszym ciągu. Jakże inny i jednocześnie taki sam jest ten drobny i brudny Żyd, sprzedający grzebienie po pięć groszy, i ten we wciętym palcie z „Ziemiańskiej". Pochylony nad koszem pełnym małych grzebieni, nie zachwala nawet swego towaru, tylko woła bezustannie; „Po pięć groszy, po pięć groszy". A przecież jego brat różni się od niego tylko paltem; poza tym ma podobną twarz i tę samą arogancję. Lucjan odwrócił się od okna: „Jestem głupim facetem i ordynarnym antysemitą, po co w ogóle myślę o tych draniach". Wszedł do kuchni; na żelaznym blacie stał duży garnek. Lucjan podniósł pokrywę; kawa z mlekiem o mdłym zapachu. Podstawił miednicę pod kran i puścił wodę, postawił miednicę na taborecie i poszedł do kuchni, by dolać sobie ciepłej wody — nie było. Zdjął koszulę i zanurzył ręce w miednicy, ale pełny pęcherz uciskał go; wyjął ręce i ujął za klamkę drzwi ustępowych, wszedł do środka: „A niech to cholera ciśnie, mam przecież mokre ręce" — mruknął pod nosem, trzasnął drzwiami i począł się myć, przestępując z nogi na nogę z podrażnienia. Namydlił głowę i poruszając palcami w spienionych włosach, myślał: czy też będzie miał kiedykolwiek własnego fryzjera, który by mył mu codziennie głowę. Ogromnie lubił myć głowę. „Naturalnie fryzjer będzie u mnie mieszkał. Rano: najpierw głowa, golenie, tego... a potem pedicure — zaraz, czy fryzjer robi pedicure, no, mniejsza z tym. On mi przy nogach, a ja czytam, co o mnie piszą w gazetach. Hehe, ty megalomanie, lepiej idź się odlej, bo ledwo stoisz. Nie ma draństwo kiedy stukać, tylko teraz, kiedy jestem cały mokry". Otworzył drzwi. Listonosz; podał mu dwie gazety adresowane do Mieczysława Stukonisa. „Cóż to jest? »Wola Ludu« i »Sierp i Młot« — psiakrew, jeszcze się przeziębię. To nie jest dobrze, że myślałem o tym fryzjerze; wszystko się źle skończy. Póki jeszcze jestem młody, wszystko mi jako tako idzie, ale później zestarzeję się i zestarzeję, bo jestem leniuch i idiota". Wytarł się mocno ręcznikiem, aż mu skóra na szyi poczerwieniała, wyczyścił zęby i począł szybko się ubierać. Jakiś mężczyzna śpiewał arię z *Aidy*[27]. Głos był nieuczony, lecz mocny i jasny, pulsujący skoncentrowaną wesołością. Lucjan przerwał swą czynność i podszedł do okna. Na dole kręcili się ci sami ludzie. Głos niezwykle czysto odcinał się od tego gwaru; brzmienie jego wibrowało w powietrzu razem ze stukotem młotka, tak, jak gdyby jeden człowiek robił te dwie rzeczy jednocześnie. Zdenerwowanie pierzchło i Lucjan zasłuchany pomyślał: „Z takim głosem facet tłucze młotkiem, komiczne".

Ubrał się, przeciągnął; wyjął szklankę z szafki, poszedł do kuchni i nalał sobie kawy — była zimna i wodnista. Jedząc, czytał „Wolę Ludu". „Niech szlag to trafi; ciągle masa, lud, ucisk. Sam jestem w nędzy prawie i większe mam prawo do jedzenia codziennie obiadu, aniżeli chłop spod Małkini do fortepianu". Spojrzał na zegar: jedenasta. Znowuż opadła go fala zgryźliwości. Począł się błąkać po pokoju. Wziął z etażerki obszarpaną *Lenorę* Kadena Bandrowskiego[28]. Począł czytać — w ustach miał smak proszku do zębów i kawy. „Tfu, jak ten szczeka. Załgany, zaśliniony karierowicz... gada, gada. Rypnął niedolę górnika

[26] *kościół garnizonowy* — barokowa świątynia przy Długiej w Warszawie. Należała do pijarów; po powstaniu listopadowym władze umieściły tu cerkiew prawosławną. W okresie II RP i od roku 1991 siedziba kurii polowej Wojska Polskiego. [przypis edytorski]

[27] *Aida* — słynna opera Giuseppe Verdiego, napisana na otwarcie Kanału Sueskiego (1871). [przypis edytorski]

[28] *Lenora* — pierwsza część powieści *Czarne skrzydła* Juliusza Kadena-Bandrowskiego (1928). [przypis edytorski]

polskiego, ciekawym ile na tym zarobił... menda na jajach literatury". Lucjan przerwał czytanie, znał to zresztą już dawno. „Dlaczego jestem taki wściekły i to z samego rana. Co mi ten Kaden zawinił, ani mnie ziębi, ani mnie grzeje — zasrany pisarz, to fakt, ale ma swoją grupę matołów, którzy go wielbią. Poza tym firma — sprytny człowiek. Jestem zgorzkniały i kwita".

Wyciągnął nogi do góry, potem zaczął bić piętami o wałek kanapy; chciało mu się wyć. Na podwórku ktoś grał na klarnecie... uhuuu... hurhurhur... wwa... waa. Ktoś walił do drzwi. Lucjan pobiegł otworzyć.

— Jak się masz Zygmusiu, coś tak rano wyszedł?

— Zaczekaj, zaraz ci powiem, tylko się w.....ę.

Po chwili mówił, zapinając spodnie:

— Uważasz, kiedyś tu matka dała mi na zapłacenie elektryczności, ale spotkałem Żywa i forsę przepiliśmy u „Wróbla". Dziś był ostatni termin, musiałem — proszę ja ciebie — zastawić papierośnicę po ojcu, bo jakieś trzy miesiące temu też mi tak wypadło; nie zapłaciłem i zamknęli nam światło. A matce tego tylko potrzeba, będzie miała gadania na cały miesiąc. No, jak się czujesz, widzę, że dałeś sobie radę ze wszystkim — czekaj, bo ja jeszcze śniadania nie jadłem. Pójdziemy razem do „Małej", pogoda świetna: tutaj, na rogu Miodowej taksówka wpadła między dwa tramwaje — wieźli, zdaje się, do kliniki jakąś kobietę w ciąży. Poharatało ją, powiadam ci okropność było patrzeć. Trzeba sobie nalać kawy.

Lucjan przechadza się po pokoju tańczącym krokiem, gwiżdżąc przez zęby. Czuje się lekko i z przyjemnością patrzy na jedzącego Zygmunta — ma beethovenowską twarz — z wyrazem. Wysokie czoło okala mu blond czupryna. Zygmunta bardzo chętnie malują. Lucjan patrzy na podwórko: dwaj młodzi ludzie grają na gitarach i śpiewają smutną piosenkę:

...I już nigdy nie zabłysnął
w oczach jego pański blask,
rzucił dzieci, żonę cisnął,
aby zdusić bólu wrzask.
Uciekł w dalekie...

— Słuchaj, Zygmunt, zanim przyszedłeś, ktoś z dołu śpiewał tak pięknie, że mówię ci — byłem zachwycony.

— A, to kuśnierz, Żyd od kuśnierza z dołu, tak ryczy codziennie. Uważasz, na Placu Krasińskich jest dużo sklepów z futrami i pracownie wychodzą na podwórko. Nieraz cholera może wziąć, jak ten parszywiec zacznie wyć, i to zawsze z rana, kiedy jest pogoda, reszta tłucze młotkami — rozpinają futra na desce i wbijają gwoździe. Już dawno myślałem tego wyjca nauczyć, kiedyś tu pisałem, wiesz, i cholera mnie brała, tak mi przeszkadzał. Co, podoba ci się? — No, może ja nie jestem muzykalny.

— Rzeczywiście, ten śpiew bardzo mi się podobał. Powiedz mi, czy ta uliczka nie robi na tobie wrażenia jakiegoś zakątka wschodniego miasta. Ci ludzie, ten gwar taki dziwny.

— Tak... można to sobie wyobrazić, przecież tutaj mieszkają sami Żydzi. Wiesz, że w tym domu tylko my jesteśmy chrześcijanami, no i te dwie siostry, te stróżki na dole. To, co ty nazywasz uliczką, nie jest żadna uliczka, tylko zwyczajne podwórko między dwoma domami. Te domy są długie. Nie wiem, po kiego diabła te szmaciarze kręcą się tam. — Zygmunt wychylił głowę przez lufcik. — Handlują i wrzeszczą, zarazy na nich nie ma.

— No, mój drogi. Chcesz jeszcze zarazy na tego biedaka sprzedającego cztery cukierki za dziesięć groszy? Pomyśl, ile on dziennie utarguje? — złoty.

— O, patrzcie go — altruista. Idź w sobotę do „Małej", ręczę ci, że go spotkasz w garniturze skrojonym według ostatniej mody. Będzie siedział z angielską gazetą w ręku. Z czego oni żyją, ci gudłaje[29], to jest tajemnica. Ujrzysz ich we święto, to nie poznasz tych łachmaniarzy — takie lordy.

— E, przesadzasz.

[29] *gudłaj* — pogardliwe określenie stosowane wobec Żydów. [przypis edytorski]

— Przesadzam. — Po chwili Zygmunt dodał ponurym głosem: — Ale na ten wschód to trzeba mieć wiele fantazji, bo w gruncie rzeczy znajdujemy się w ponurym mieście smutnego kraju, w brudnej dzielnicy żydowskiej. Tak, fantasto. Marzę o jednym, własnym pokoju, gdzieś na Moniuszki lub Wareckiej. W ogóle zbrzydło mi to wszystko. Ha, wschód! — Zygmunt usiadł przy biurku, wydobył jakąś książkę i począł czytać. Lucjan obserwował go. Czytając strofy Reja, Zygmunt miał twarz zamyśloną głęboko, uduchowioną. Obgryzał powoli paznokcie u prawej ręki, lewą wsunął w spodnie. W pewnej chwili powiedział:

— Otwórz no, ktoś rumocze.

— Otwórz sam, co ja będę ciągle otwierał.

— Przecież widzisz, że czytam.

Lucjan wstał i odsunął zatrzask. Przyszedł student. Teraz Lucjan przyjrzał mu się uważnie: wyglądał jak źle ucharakteryzowany amant z marnego teatrzyku — wąsy miał nierówno przystrzyżone, oczy duże i piękne, wyrażające bezmierną głupotę. Zdjął cienkie paletko i w czapce podszedł do lustra, przejrzał się w nim jak kokota: zmrużył oczy, wytrzeszczył zęby, poprawił krawat i dopiero teraz zdjął czapkę, ostrożnie, by nie zepsuć fryzury. Chwilę przechadzał się, zajrzał do kuchni, nasmarował sobie kawałek chleba szmalcem, wreszcie wziął gruby tom geodezji, usiadł i utkwił wzrok w książce. Lucjan położył się na swoim łóżku. Zegar tykał zgrzytliwie, z dołu dochodził gwar miasta. Zygmunt czytał Reja z zapałem, z jakim czyta się powieści sensacyjne. W pokoju było bezgłośnie; z podwórka znów wpadł strumień wspaniałego śpiewu. Lucjan począł nasłuchiwać: głos płynął razem ze słońcem, dźwięczał jasno i czarował nie milknąc, zasilany świeżymi tonami. Student cmoknął ustami niecierpliwie, Zygmunt oparł głowę desperacko na dłoniach, zaraz jednak odjął je, zajrzał lekceważąco do alkowy, gdzie leżał Lucjan, po czym wrócił do poprzedniej pozycji, zatykając sobie uszy palcami. Śpiew czas jakiś jeszcze brzmi, milknie powoli głuszony dźwiękami uderzeń młotka. Z głową opartą niedbale o wciśnięty róg poduszki, Lucjan patrzy na studenta: siedzi jak mumia, wpatrzony w zadrukowaną stronicę, o, teraz poruszył się, uniósł głowę do góry i utkwił spojrzenie w suficie, potem nakrył oczy powiekami i jął poruszać ustami — powtarzał. Trwał tak z pięć minut, potem opuścił głowę i znowuż zaczął wpatrywać się w tę samą stronicę. Na schodach rozległ się głuchy łoskot, potem wiele drobnych uderzeń, jak gdyby kosz węgla się wywrócił. Ktoś zaklął grubym głosem, potem słychać było piskliwy głosik stróżki, gburowatą odpowiedź i wszystko ucichło. Zegar wybija godziny; między jednym a drugim uderzeniem trwa denerwująca cisza: już... już... zdaje się, że przestał bić... lecz nie, jeszcze raz... — buuum. — Lucjan wtulił głowę w poduszkę, oddychał zapachem swych włosów: pachniały zwyczajnym, żółtym mydłem i skórą. Odwrócił się i spod łokcia spojrzał na studenta. Ciągle się „kształci"; jego wkuwanie się ma w sobie coś przerażająco nudnego, twarz wyraża bezmyślny, chłopski upór i zaciętość. Lucjan odwrócił się do ściany. „Leżę tu jak polano w kamienistym rowie — tępe, powinienem przecie coś robić".

Zygmunt wstał od biurka, ziewając i przeciągając się:

— Lucek, chodź, pójdziemy do „Małej".

— Nie, nie idę do tej smrodziarni, wolę tu zostać, idź sam. Zresztą nie chce mi się ruszać.

Zygmunt wlazł na krzesło i począł nakręcać zegar, o mało się nie przewrócił; zaklął, pogrzebał w szufladzie komody, wyjął igłę, nici, przyszył guzik do swego palta, powiedział do Lucjana: „Gnij tu" — i wyszedł.

„Czy też Klimek[30] odkupił gramofon Stefanii. Swoją drogą to świństwo pożyczyć od kogoś gramofon i sprzedać go na wódkę — poeta, psiakrew. Ile też mógł dostać za taki gramofon. Echh... łuu... grafomon... grafoman. Na pewno jestem grafoman, z tych co to czekają na natchnienie. Czy ma ze mnie kto korzyść jakąkolwiek? Marny facet — pasożyt społeczeństwa. Do jasnej cholery... nagłej... Sam przecie czuję wyraźnie, że nie mogę pisać. A nic innego robić nie potrafię, a może potrafię, tylko mi się nie chce, bo

[30] *Klimek*, *Paczyński* — Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953), poeta, związany z grupą Kwadryga. W okresie dwudziestolecia międzywojennego opublikował m.in. powieść *Porfirion Osielek czyli Klub Świętokradców* (1929) i poemat *Bal u Salomona* (1931). Po roku 1935 współpracował z faszyzującym „Prosto z Mostu". Operował surrealistycznym humorem, bliskie mu były klimaty ludowe i plebejskie. Po wojnie zasłynął cyklem *Teatrzyk Zielona Gęś*. [przypis edytorski]

jestem bez ambicji. Tak, za grosz nie mam ambicji, wszystko tylko tak... tanim kosztem. Oj, Boże! Co za nudy — co tamten robi?" Student, tak jak i książka, nie zmienił się. Czytał i wąchał palce, po chwili jakby ocknął się; począł sobie energicznie masować nos i ślinić językiem wąsy. Ale szybko się uspokoił; teraz drapał się w głowę, delikatnie, końcami palców, by nie zepsuć fryzury.

W pokoju pachnie południem; na dole ucichło i ustał stukot młotków. Na poruszającą się we włosach rękę studenta pada płat światła słonecznego: ręka wygląda jak jakiś wstrętny, czerwony krab, dobierający się do mózgu.

Lucjan wstał, poszedł do kuchni i zakręcił kran, by nie kapało. Szedł do pokoju, ale zawrócił, bo pomyślał, że przy okazji warto napić się wody. Wychylił szklankę, przygniótł pogrzebaczem spacerującego wolno karalucha, poszedł zobaczyć godzinę i znowuż położył się w mrocznej alkowie. Począł rozmyślać.

„Powinienem był już w Zakopanem wziąć się ostro za tę książkę. Ciągle obmyślać to mało — trzeba pisać. Ale jak ja mogę pisać, nie przemyślawszy uprzednio tematu. Przypuśćmy zresztą, że napiszę dużą, czterystostronicową powieść. W miesiąc po jej skończeniu przejrzę rękopis raz jeszcze i wrzucę do pieca, bo na pewno nie będzie mi się podobała. Wszystko, co się pisze, jest dobre w trakcie roboty, później — nędza. Tak... Od czego jednak bym zaczął? Czy od sceny, kiedy ojciec pragnie mnie porwać z domu... zbyt oklepane. A jednak pamiętam to tak dokładnie. Ten słotny dzień, tego eleganckiego pana, którego nie znałem, a który okazał się moim ojcem; ciężko chorą, leżącą w łóżku matkę. W ten dzień widziałem ojca po raz pierwszy od pięciu chyba lat. Nie pamiętałem go zupełnie: i oto siedzi na brzegu krzesła, pachnący cygarami i dobrym gatunkiem perfum. Mówi:

— ...chciałbym go wziąć ze sobą na spacer, sprawić mu przed wyjazdem trochę garderoby i parę drobiazgów. Pójdziesz ze mną, Lucusiu, prawda?

Tak, bardzo pragnąłem iść z nim wtedy, pojechać nawet, gdzie zechce, tak mi się podobał. Lecz matka, patrząc na mnie dużymi, wystraszonymi oczami:

— Nie, on nie pójdzie z panem. Ma dość ubrań, on zresztą zapomniał pewnie o ojcu, patrzy na pana nawet z lękiem... proszę, zostaw go pan w spokoju.

Złościło mnie to, że mówiła do niego »pan«, ja bym mu od razu powiedział: »ty«. Ojciec podniósł się i począł mówić mocnym, pańskim głosem:

— Skoro się nie widziało swego dziecka przez pięć lat, to można — sądzę — ma się prawo popatrzeć nań przy filiżance czekolady. Nic się nie zmieniłaś, zawsze byłaś egzaltowaną mieszczką. Pytam cię tylko, mając na uwadze twoje zdrowie.

Ja stoję pod oknem: włosy mam jak paź i aksamitne ubranie. Matka leży: bladymi wargami próbuje coś powiedzieć. Ojciec obejmuje mnie:

— No, cóż synu, pójdziesz z tatusiem, prawda? — Moje oczy wyraziły: »tak«. Widziałem się siedzącego na brązowym koniu na biegunach, jakże marzyłem o posiadaniu tego konia. Ojciec mógł mi go przecie kupić. Szybko włożyłem czapkę uczniowską i brązowy płaszczyk z kapiszonem. Jestem gotów, zbliżamy się do drzwi. Lecz oto matka wydaje lekki okrzyk, zeskakuje z łóżka i nerwowo nakłada na siebie szlafrok:

— O, proszę, bardzo proszę... nie być tak złym... proszę zostawić mi dziecko w spokoju... Boże drogi... — Ale ojciec otwiera drzwi, ja już jestem na schodach. Wtedy widzę — to byłoby już naprawdę trudno zapomnieć — widzę, jak na palto ojca, czarne, lśniące palto, bluzga krew. Matka słania się i krztusi: z jej ust co chwila wybucha krew, tak, jakby wymiotowała. Dostała krwotoku — za cenę tego krwotoku ja zostałem w domu. Pomogłem jej podejść do łóżka, krzycząc jednocześnie w okno. Ojca już nie było. Ktoś wszedł i widząc, co się dzieje, pobiegł po lekarza. Matka w dwa miesiące później umarła... Czy mi jej było żal?...".

Lucjan odwrócił twarz do pokoju. Student spał nad książką — sztywny i nieruchomy. Zegar cykał, w powietrzu słychać było warkot samolotu i stukanie młotków. Przymknął oczy. „O, matkę często wspominam. Właściwie, nigdy jej nie kochałem. Rodziców się nie kocha, jak się nie kocha własnej ręki; rodzice to absolutna własność dziecka i odwrotnie. Żyje się w łonie matki, zanim jest się zdolnym zdać sobie sprawę, czym ona dla nas jest. Potem wzrasta się przy niej i już za późno jest na sprecyzowanie sobie tego uczucia. Bez rodziców jest źle — z rodzicami, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jest dobrze. Mam oczywiście na myśli dzieciństwo. Kiedy mnie matka pieściła, wydawało mi się to zupełnie

Matka, Dziecko, Miłość

naturalne; nie rozczulało mnie to, raczej sprawiało przyjemność, taką, jaką doznaje dziecko przy ssaniu własnego palca. Matka, tak, teraz potrzebna mi jest matka; jakże plastycznie widzę jej słodką twarz; była drobna i miała wielkie niebieskie oczy, zawsze zdziwione. Idziemy przez Świętokrzyską: matka z synem, jak to pięknie brzmi. Przystajemy przed wystawą sklepu naukowego »Urania«. Wskazuję palcem na żmiję skręconą w mchu na dnie szklanej klatki: — Mamusiu, co to jest? — Żmija! — A dlaczego taka zielona? — Naturalny kolor. — A po co? — Żeby jej nie widać było w trawie. — No to jak ją złapali, jak nie widzieli? — Naokoło śmiech. Matka ciągnie mnie za rękę, odchodzimy kilka kroków: — Nie zadawaj mi głupich pytań i nie rób mi wstydu. — Patrzę na jej twarz: jest gniewna. Idziemy dalej, a ja ciągle widzę roześmianą twarz przystojnego kapitana, który stał razem z nami przed wystawą i też się śmiał".

Student nagle zrywa się z krzesła. Lucjan widzi go, jak biegnie — senny jeszcze — do kuchni, otwiera gwałtownie szafkę, wyjmuje swoje prowianty i szybko rozpala ogień. Po chwili słychać tłuczenie jajek i skwierczenie słoniny.

„...czy śmierć jej — nie, tylko okoliczności, w jakich umarła, przejęły mnie. Zaraz po tej historii z ojcem wyjechaliśmy na wieś — do babki. Już wcale nie wychodziła z łóżka i jadła niebywale mało. Był lipiec i ja...

...Tak, tak — w tym sensie będę musiał to opisywać.

...po całych dniach uganiałem się z chłopcami po łąkach; ileż to razy błagała mnie wprost, by choć przez chwilę pozostać przy jej łóżku. Zdaje się, że nie uwielbiała mnie specjalnie — ale zawsze wiedziała przecież o tym, że umrze, a ja byłem jej jedynym dzieckiem. Tak, wyjmowała olbrzymią bombonierkę z szafki nocnej i częstowała mnie jak gościa: — Lucio pobędzie troszkę z mamusią, prawda? — mamusia cały dzień leży i smutno jej, już pewnie nigdy nie podniesie się z łóżka. — Lusiu, popatrz na mnie, nie biegaj tak oczkami po ścianach i nóżki trzymaj spokojnie. — Tak mówiła. — A ja, owszem, siedziałem, póki smakowała mi czekolada, potem mówiłem, że wyjdę tylko na chwilę, do wygódki i już mnie więcej tego dnia nie widziała".

— Soli? — nie, nie mam pojęcia gdzie jest.

Śmierć, Matka

„Potem umarła. O siódmej rano — w niedzielę. Stałem w oknie i obmyślałem plan dnia. Naprzeciwko widziałem księdza w oknie, golącego się przed lusterkiem. Słyszałem, jak babka i służąca przenosiły matkę z sypialni do saloniku — robiły to codziennie. Słońce piekło mnie w twarz i szyję; czuło się święto w powietrzu i świeżość błogą. Za mną rozległ się drżący głos babki: — Jadziu, czegoś ty taka zimna? — Oj, to nic to tylko tak — matko. Ułożyli ją na usłanej poduszkami kozetce i raptem usłyszałem jej szybki, urywany oddech. Chwilę trwała cisza, potem krzyk babki: — Jadziu! Umarłaś!? — odwróciłem się powoli od okna i spojrzałem na matkę: leżała nieruchomo i była blada. Sądziłem, że zemdlała. Nigdy nie wierzyłem w śmierć. Myślałem, że to bajka starszych — tak ciągle mnie okłamywali, że już w nic nie wierzyłem. Pobiegłem po wodę i chciałem pokropić nią twarz matki, ale babka wyrwała mi szklankę z ręki ze słowami: — Przecież to jej nic nie pomoże, a przerwie konanie. — Spojrzała na mnie ze złością. Zawsze była skora do strofowania mnie, nawet w tak ważnej dla niej chwili. Wybiegłem z domu i zapukałem w okno golącego się księdza. Otworzył je. Z mieszkania owionął mnie zapach trupi. — Proszę pana — powiedziałem (nigdy nie mogłem powiedzieć księdzu — księże), babcia prosi o książkę do nabożeństwa, bo ta nasza w domu jest za mała. — Dziecko (śmiesznie wyglądał z namydlonymi policzkami, z pędzelkiem wzniesionym do góry), książka do nabożeństwa nie może być za mała. — Tak, ale mnie matka umarła — powiedziałem z dumą. — Wytrzeszczył oczy: — Umarła, umarła pani Jadwiga? — zaraz przyniosę książkę. — Kiedy wróciłem do domu, przy zwłokach matki, po obu stronach jej głowy, zobaczyłem dwie palące się, w czerwone kwiatki malowane gromnice. Babka, ciotka i służąca klęczały. Stanąłem w kącie i patrzałem na to wszystko. Serce moje uciskała ciężka złość. Wyszedłem z domu, minąłem zabudowania i szedłem w upale przez łąkę, depcząc kwiaty. Wzbierał we mnie dziecięcy gniew na udawanie babki, wiedziałem, że dawno pragnęła śmierci matki: »ciągle tylko skakać koło niej«. Jednocześnie rozkoszowałem się swą tragedią: oto tam leży trup matki, zgasłej przed godziną, a ja — sierota. Chciałem płakać, ale nie mogłem łez wycisnąć — przeciwnie, chciało mi się śmiać. Zdeptałem pszczołę wraz z kwiatkiem. Było potwornie gorąco; stanąłem nad brzegiem stawu

i patrzałem na ryby w prześwietlonej wodzie. Rozebrałem się i wszedłem do wody po kolana: o, gdybym teraz utonął — mówiono by, że z rozpaczy, po śmierci matki. Janek syn aptekarza, patrzałby na mnie z żalem i szacunkiem. Babka znowuż zagrałaby swą komedię z gromnicami. Zanurzyłem się nieco głębiej, ale kiedy poczułem wodę po ramiona, cofnąłem się z ogromnym strachem. Wyszedłem z wody, ubrałem się i przeleżałem na trawie ten dzień tragiczny.

Potem szedłem za trumną matki i duma rozpierała mi pierś, że wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem — jedyny syn. Dowiedziałem się później, że ten ksiądz był w wielkiej przyjaźni z moją matką i że znali się od dziecka. Babka miała z nim jakieś awantury, bo nie pozwolił, by pochowano matkę na poświęconej ziemi; że niby matka nie chciała wyspowiadać się przed śmiercią. Ten ksiądz to mnie bardzo nie lubił...".

Na progu alkowy stanęła jak wesołe widmo stróżka. Siedemdziesięcioletnia staruszka o figurce siedemnastoletniej panienki. Uśmiechnęła się do Lucjana zalotnie i powiedziała, po co przyszła:

— Przyszłam tu po meldonek.

Podczas gdy Lucjan wypełniał kartę, ona mówiła niepytana:

— Nie jestem nudząca, ale musiałam przyjść po metrykę, bo tu u pani Stukonisowej ciągle nowe lokatory, a kazali mi na nią uważać, bo ten Mieciek, wie pan.

Staruszka była wprost śliczna. Mówiła szybko, ciągle uśmiechnięta, ze zmrużonymi oczami:

— Człowiek tak jest na żydowskim chlebie, a dwie nas tu jest — jeszcze moja siostra, co to panu pokazała, jak pan pierwszy raz był. Obieśmy panny i nigdy się nie wydamy.

Lucjan przytaknął, śmiejąc się serdecznie. Staruszka ciągnęła:

— Zawsześmy się modliły i Pan Bóg nam tego nie zapomniał; bo mamy kawałek chleba, izbę i sześćdziesiąt złotych na miesiąc. Poblisko jest kościół, to jeszcze człowiek może wyżyć z tymi Żydami. Już pan spisał, to niech pan da jeszcze metryczkę, to jutro poniosę do komisariatu. Chyba pan student, wszystkie studenty wylegują się po całych dniach.

Lucjan wręczył jej papiery i fertyczna[31] staruszka wyszła.

Student zabrał się z powrotem do nauki; czytając, dojadał chleb. Lucjanowi zachciało się jeść; uświadomił sobie, że pora obiadowa już minęła. Szybko nałożył marynarkę, po czym wyszedł na ulicę.

Deptał błoto, wspominając swoje myśli — tam, na łóżku. Teraz już na pewno weźmie się do pracy. Czy można jednak pracować w tych warunkach, czy mi pozwolą pisać. Jestem zresztą leniwym bydlęciem: pracować można wszędzie, jeżeli się tylko chce.

Jadł obiad w obrzydliwej zaswądzonej kawiarence. Za oknami kapało z dachów i widać było małe, źle brukowane podwórko. Jedząc, słyszał stamtąd trzaskanie drzwiami ustępu — wchodzili i wychodzili z niego różni ludzie; mężczyźni zapinali sobie spodnie na podwórku.

Lucjan przesiadł się do innego stolika i tam skończył rzymską pieczeń. Przejrzał gazetę, zapłacił i wyszedł na ulicę. Z przejeżdżającego tramwaju ktoś mu się ukłonił. Na rogu kupił kilka papierosów. Wracał do domu z niechęcią; twarz owiewał mu ciepło-mdły wietrzyk, a na maleńkim skwerze leżały brudne płaty śniegu.

Brr... jak mu jest źle. Przecież ma dwadzieścia jeden lat i wszystko powinno go cieszyć; a może wmawia w siebie neurastenię. „Jestem rozleniwiony smarkacz i brak mi woli". Na schodach ogłuszył go warkot maszyny do szycia, zastukał do drzwi, znowuż ta ogłupiała twarz studenta. Położył się. Podły obiad uciskał mu żołądek, w ustach czuł gorycz. Skóra na głowie swędziła go nieznośnie i ręce miał wilgotne. Ktoś pukał do drzwi — przyszedł Zygmunt. Był lekko podpity, usiadł przy Lucjanie i chuchał mu alkoholem w sam nos.

— Spotkałem w „Małej" starego Kabla i wstąpiliśmy do „Wróbla" na parę kieliszków. Pytał o ciebie. Wstań, mam trochę floty, pójdziemy coś wypić. Źle się czujesz, niedobrze ci? Tak, nie jest nam dobrze.

[31] *fertyczna* — zwinna, zręczna. [przypis edytorski]

— Doskonale, ale dokąd pójdziemy? — Pod „Merkurego”?[32] — Świetnie. Lucjan się ożywił. — Pójdziemy się urżnąć, masz rację, Zygmusiu, to nam zrobi dobrze.

Szli prędko i nic nie mówili do siebie. Obaj mieli jedną myśl: wypić jak najprędzej. Na Niecałej zatrzymali się przed koszem z książkami — tanimi i brzydko wydanymi. Zygmunt wybierał, wreszcie kupił dwie: Lucjanowi podarował *Ingeborgę* Kellermana[33], ze słowami: „masz i naucz się kochać”, sobie zatrzymał Kochanowskiego. Pocałowali się i weszli do wnętrza baru. Stanęli przed bufetem. Zygmunt zwraca się do Lucjana:

— Jaką będziesz pił? Czystą z balsamem? Dobrze, ja taką samą. Proszę dwie.

Wypili, popatrzyli na siebie i zaraz kazali jeszcze napełnić kieliszki. Zakąsili kanapką ze śledziem. Stali oparci o bufet. Zygmunt powiedział:

— Wiesz, że doskonała jest ta czysta z balsamem, tak... rozjaśnia.

— Dobra jest również czysta z wermutem — to mój wynalazek.

— E, gdzie tam twój wynalazek, wykombinował to, proszę ciebie, Klimek. Pamiętasz chyba — u „Wróbla”, a, ciebie wtedy nie było. No, może teraz tej z wermutem?

— Nie, czekaj — to jeszcze po jednym z balsamem, a potem można z wermutem.

— O, doskonale, fenomenalnie... Podobasz mi się, Lucjanie. Proszę — nasyp pan.

— Twoje zdrowie. Pierwszorzędna jest na żołądek, posiada taką goryczkę, prawda?

— Tak, goryczkę — może usiądziemy?

— Można, ale przed tym z wermucikiem — panie święty — tak pod boczek.

— Ty jedz boczek, a ja sobie minogę. Ty sobie, a ja sobie. Lucjanie, bajecznie, żeś przyjechał. Szkoda, że nie ma Dziadzi.

— Szkoda. Błagam cię, Zygmusiu, wypij. Genialny miałeś pomysł, wyciągając mnie z domu, czułem się jak g...o w przeręblu.

Siedzieli teraz przy stoliku i patrzyli na siebie z ogromną miłością. Jedli z apetytem, Lucjanowi poróżowiały policzki.

— Wiesz co, Zygmusiu? Tak na kieliszki, to drożej wyniesie. Może by butelkę, tak dawnośmy się nie widzieli!

— Owszem, to nawet dobry pomysł. Panie, proszę całą butelkę, tylko żeby była zakorkowana, bo wy, tak... lubicie... tego. Świetnie się czujemy. Ja ciebie — wybacz, Lucjanie, ja ciebie kiedyś obraziłem: powiedziałem wszystkim, żeś zwędził Norwida Marianowi — ten tom „Chimery”[34]. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem, wypij na zapomnienie, noo — rryms.

— Tak, a ja wtedy miałem wiele nieprzyjemności. Postąpiłeś, Zygmusiu, nie jak kolega, a jak kanalia.

— Zjedz grzybka, powiadam ci, fenomenalny grzybek. Rzeczywiście, postąpiłem jak gówniarz ostatni — ale przecież... przecież przepraszam cię — nie?

— Co mi z tych przeprosin, a wtedy rzuciłeś plamę na moje imię. Twoje zdrowie. Tak, plamę na moje imię... nie spodziewałem się...

— Bardzo żałuję, ale... już... *finis*, nie mówmy o tym.

— Jakże mamy nie mówić o tym, co mnie najgłębiej...

— Ależ proszę ciebie... przecież sam zacząłem o tym mówić... no, i przykro mi. Dajże spokój, kropnij sobie, to ci przejdzie ten zajob.

— To zawsze! Świnia jednak jesteś, Zygmuncie.

Kiepura[35] śpiewał przez radio „Aj-aj-aj”. Na ulicy szarzało. Księgarz wołał: „Co w koszu do wyboru — dzieła najznakomitszych pisarzy!”. O nogę Lucjana ociera się rudy, tłusty kot. Zygmunt pisze coś na kawałku bibuły.

— Ten Kiepura to zrobił karierę, ma bajeczny głos, ale podobno drań w życiu prywatnym. Taki jołop. Wypijmy, Zygmusiu, co tam piszesz?

— List do ciebie.

---

[32] *Pod Merkurym* — bar na warszawskiej ulicy Niecałej 5, blisko Placu Teatralnego. Budynek nie istnieje, zniszczony podczas II wojny. [przypis edytorski]

[33] *Ingeborga* — powieść miłosna niemieckiego pisarza Bernharda Kellermana (1906, przekład polski 1909). [przypis edytorski]

[34] *zwędził Norwida (…) tom „Chimery”* — zapewne chodzi o 8 tom zeszytów „Chimery” z roku 1904, zatytułowany: *Pamięci C. Norwida.* [przypis edytorski]

[35] *Kiepura, Jan* (1902–1966) — polski śpiewak operowy o międzynarodowej sławie. [przypis edytorski]

— A! Swoją drogą twoja kalumnia obiła się o mnie, jak o pancerz. Co ty miałeś za cel, żeby szczekać o tym Norwidzie, to nie rozumiem.

Zygmunt wręcza bibułkę Lucjanowi. Wypija kieliszek, potem wstaje. Lucjan czyta: „Nie mogę pić z człowiekiem, który się czepia byle czego, jak rzep...".

— Zygmuś! Gdzie odchodzisz, zwariowałeś? Koniec, koniec. Zapomnij — chodźże tu!

Zygmunt wraca. Siada ponury i wychyla kieliszek. Chwilę milczą. Z bocznego pokoju wyprowadzają rozrzewnionego urzędnika akcyzy[36]; jego niebieski mundur jest świeżo i suto poplamiony.

— Ten Szczapiej to bydlę skończone... nadkończone... wykończone... bydlę. Haha-ha.

— Szczapiej bydlę... butelka na dwóch... a, racja... jeszcze przy bufecie coś było. No, Lucjanie, Polucjanie... Ach, ty stara, kochana kanalio. No, kropnijmy sobie — a potem, jak mówi Klimek, w siną dal.

— Czuję się tak... świeżusio. Wiesz, moje życie, to tani efekt. No, lu... ha-haha. Wykończyliśmy ją, co? Taka teraz puściutka, jak głowa Wolicy... *Avanti popolo*[37]... — Zygmuś, jak się czujesz... fenomenalnie? A może by tak... po rumku... przed wyjściem. Halo, panie, kota z długą szyją[38] — krajowego. Pip... pip... co z nas będzie, jesteśmy ciężarkami u nóg Pana Boga... tral... tral... tralalala...

Zygmunt kazał sobie przynieść talerz rosołu; wypił kieliszek rumu i począł wyławiać makaron, co bardzo śmieszyło Lucjana. Zygmunt krzyczy: „Proszę o piwo!" Potem bierze kartę menu i pisze wiersz. W barze jest jasno i kręcą się różni ludzie. Fortepian i skrzypce. *Liebesleid* Kreislera[39]. Ludzie piją... piją.

— Panie, płacić... pła...cić. Lucjanie, wyjątkowo pójdziemy prosto do domu, muszę pisać recenzję do „Cedra"... wyjątkowo do domu. Co, dwadzieścia pięć złotych?! Jak ten pieniądz leci, na złamanie karku. Proszę. Chodź, draniu.

Stanęli przed barem. Mijało ich wielu ludzi, wąska ulica była jasno oświetlona. Z dachów opadały ciepłe krople.

— Co, do domu? Nigdy w życiu... przenigdy. Zygmuś, błagam cię, chodź do Saskiego Ogrodu... na łabędzie. Wiosenka tak pachnie... jemiołą... hahaha!

— Zwariowałeś chyba. Saski Ogród. Chodź do... łabędź — burżuazyjny ptak, głupi jak jasna cholera... do domu jedziemy... dorożkaaa.

Wsiadają.

— Panie, ten koń... świetne zwierzę. Na Nowiniarską osiem[40] mieszkania trzy. Holl-lala, holl-lala. A, rzygasz. Mówiłem: nie żreć rosołu po kocie z długą szyją. Aleśmy się wtranżolili... rzygaj sobie, rzygaj... poeto... Ale jutro będzie kacenjamer — hoho. Panie, w lewo. No, co? Masz chustkę?... obrzygałeś mi *Ingeborge*...

— Lucjanie, o — jak cierpię. Chodź, zawracamy do Ogrodu Saskiego... na łabędzie.

— Przenigdy... do domu, musisz recenzję pisać. Do domu... do domu... w bordelu, kędy zacne mamy leże... pamiętasz Villona[41]. Łabędź... wiesz.. burżuazyjny... no, razem: *la blondina capriciosa... garibaldina...*[42] tral... lala. Co, nie możesz rzygać znowu? Mój Boże kochany, kto to je rosół z makaronem po rumie... do rumu kawka. Stop, już jesteśmy na miejscu. Panu... dwa złote... proszę. Wysiadaj blada małpo... nuże.

---

[36] *akcyza* — tu: urząd podatkowy. [przypis edytorski]

[37] *Avanti popolo* (wł.) — Naprzód, ludu; pierwsze słowa pieśni ruchu robotniczego *Bandiera Rossa* (Czerwony Sztandar). [przypis edytorski]

[38] *kot z długą szyją* — aluzja do wydłużonej szyjki butelki krajowego rumu Jamajka, zwanego też „Czarny kot". [przypis edytorski]

[39] *Liebesleid — Cierpienia miłosne*, miniatura skrzypcowa kompozytora i skrzypka Fritza Kreislera. [przypis edytorski]

[40] *Nowiniarska osiem* — powinno być: Nowiniarska dwa. [przypis edytorski]

[41] *W bordelu...* — fragment *Ballady o Willonie y grubey Małgośce*, piętnastowiecznego poety francuskiego François Villona. W przekładzie T. Boya-Żeleńskiego brzmi on:
„Wróćcie, panowie, pędzić chutne noce
w bordelu, kędy mamy zacne leże". [przypis edytorski]

[42] *la blondina capriciosa... garibaldina* (wł.) — blondyna kapryśna... garibaldzka; słowa z piosenki żołnierskiej oddziałów garibaldczyków, śpiewanej często w gronie kwadrygantów. [przypis edytorski]

Wchodzą ciężko po schodach. Na podwórku szczeka pies. Otwierać, jasny gwint! Wchodzą. Zygmunt od razu wali się na łóżko i po chwili już chrapie. W kuchni zjawia się Stukonisowa:

— Widzę, żeście się spili, ale pan ma mocniejszą głowę od mego Zygmunta.

— Co, ja mocniejszą, nigdy w życiu, tylko energii — uważa pani — nabrałem w górach. Tak. Pragnę pomówić z panią o finansach, ile ja mam płacić?

Stoją w kuchni. Obok Mieciek czyści sobie buty. W drugim pokoju słychać śmiechy kobiet. Syczy woda w czajniku. Stukonisowa spogląda w dół swymi wyblakłymi oczami, mówi z fałszywym zawstydzeniem:

— Sama nie wiem, no, ile pan by mógł płacić?

— Niech pani od razu wymieni sumę razem ze śniadaniem... tylko już, bo mi się chce spać wprost niebywale.

— No to: mieszkanie dwadzieścia pięć złotych, śniadanie piętnaście, no i za światło pięć złotych.

— Zgoda, o, proszę, już bulę. Kto tam się śmieje w tym pokoju — zajrzę — o, jakaś pani w majteczkach. Orewuar[43], jestem śpiący, ale jutro będzie złe czucie, prawda, panie?

Student kiwa sennie głową nad książką. Stukonisowa jest pochylona nad szufladą. Lucjanowi huczy w głowie; siedzi na brzegu łóżka i patrzy przed siebie: zastanawia się, czy nie pójść jeszcze gdzieś na kawę. Obok przechodzi Mieciek, śmierdzący pastą do butów. Idzie pochylony i ociekający wodą, do lustra: ma zmoczone włosy. Odpycha matkę:

— No, dajże się stara uczesać. — Robi sobie równiutki przedział grzebieniem Lucjana, który widzi to i odzywa się:

— Panie, a czymżeś się pan czesał, jak mnie nie było? Może pan niezadługo zacznie zęby czyścić moją szczoteczką — pewnie pan w ogóle nie czyści. Panie, trochę higieny, zostaw pan ten grzebień.

— Cóż to za awanturę pan tu robi, wytrynię pana stąd razem z tym grzebieniem... na takich to jest sposób.

Lucjan wstał i podszedł do Miećka — już się zamierzył, by go wyrżnąć w gębę, gdy student się zerwał i stanął między nimi:

— Nie róbcie tu hałasów, egzamin mam za kilka dni. Idź pan spać. Panie Miećku, ja jestem spokojny człowiek, ale jak panu dam w ryło, to pana rodzony Lenin nie pozna. Z geodezji mam zdawać...

Teraz zabrała głos Stukonisowa:

— Mieciek, ty gudłaju jeden, czego pana obrażasz. Na rozbój niedługo pójdziesz... nie rusz, co nie twoje. — I Stukonisowa wraca do swojej roboty.

Mieciek podchodzi do etażerki, chwilę grzebie w książkach, potem patrzy na matkę, wskakuje na kanapę i spod portretu Piłsudskiego wyjmuje jakieś papiery. W tej chwili Stukonisowa odwraca głowę i mówi powoli:

— Ty draniarzu, co tam za papiery chowasz, pewnie znów idziesz na jaki wiec. Żeby ci już raz na fest mordę zbili, żebyś już więcej nie mógł chodzić. A to czort małpiarski, znowuż mi rewizję do mieszkania sprowadzi. Że też człowiek musi się męczyć z taką cholerą. W kogo się to wdało.

Mieciek gwiżdżąc zeskakuje z kanapy, nakłada palto i wychodzi. Stukonisowa pochylona nad bielizną, śpiewa monotonną, pobożną pieśń. Student patrzy w książkę i dłubie w nosie. Zygmunt chrapie. Jest spokój i cisza. W ustępie ktoś stęka i szeleści papierem — nie przeszkadza to Lucjanowi czytać *Metamorphoseon* P. Ovidiusza.

In nova fert animus mutatas dicere formas
Corpora. Di coeptis, nam vos mutastis et illas,
Adspirate meis; primaque ab origine mundi
Ad mea perpetuum deducite tempora carmen[44].

[43] *au revoir* (fr.) — do widzenia. [przypis edytorski]

[44] *In nova fert animus…* — pierwsze wersy *Przemian* rzymskiego poety Owidiusza (43 p.n.e – 17 lub 18 n.e), w przekładzie B. Kicińskiego brzmią:
„W nową postać zmienione chce opiewać ciała.
Bogi! Wasza to wszechmoc tych zmian dokonała.
Wy, mój zamiar wspierając, od początku świata
Pieśń ciągłą aż po moje doprowadźcie lata". [przypis edytorski]

Rozdział III

Świt sączy się przez sine szyby i miękko spływa na różową twarz studenta. Blade światło zaostrza jeszcze ordynarne rysy twarzy Miećka, zmęczonego nocną wycieczką. Przed kilkoma minutami usnął. Pod głowę podłożył rękę o palcach zbrudzonych czarną farbą. W alkowie jest ciemno. Lucjan i Zygmunt śpią ciężkim, alkoholicznym snem. W drugim pokoju trzy kobiety leżą obficie nakryte, z głowami wtulonymi w poduszki. Rudowłosa i piegowata na twarzy, tłusta panna we śnie przewraca się gwałtownie na wznak, odkrywa kołdrę, po czym śpi dalej uśmiechnięta krwistymi ustami.

Cisza. Na dole zamiatają podwórko.

Lucjan odwraca głowę. W nozdrza wkręca mu się odór jego własnego, pachnącego wódką oddechu. Język szorstko ociera się o podniebienie. W głowie uczuwa obolałość mózgu. Szum w uszach. Ręce spocone i opuchłe. Pić.

Wstaje z łóżka. Rozgrzane stopy dotykają zimnej podłogi, nogi drżą. Idzie do kuchni — ciemno zupełnie. Przekręca kontakt. Wody. Gdzież jest szklanka u pioruna. Na stole stoi gliniany garnuszek. Lucjan go chwyta. Na dnie kilka wymęczonych bezskutecznymi próbami wydostania się na wierzch — karaluchów. Wystarczy drzwi uchylić od pokoju kobiet, by wyjąć z szafki szklankę. Przy okazji widzi rudowłosą wspaniale rozłożoną, z kolanami do góry, z koszulą podciągniętą aż pod szyję. Śpi uśmiechnięta, oddycha równo i nad górną wargą ma kropelki potu. Na wzgórkach piersi mieści się kilka ciemnych punkcików, a koralowe wgłębienie między białymi kolumnami ud, pośrodku złotej plamy włosów — przenika Lucjana falą ciepła. Łóżko stoi o krok od drzwi, wystarczy się pochylić, by dotknąć bioder dziewczyny: są krągłe i jędrne. Lucjan drży z podniecenia. Koszula uniosła się pośrodku ciała, niby mały namiocik. Pod oknem trzeszczy łóżko Stukonisowej. Lucjan cofa się i widzi jeszcze leniwie opadającą dłoń dziewczyny na jedwabistą wypukłość łona.

Erotyzm

Cichutko zamknął drzwi za sobą. Począł wlewać wodę w wyschnięte gardło. Wypił trzy szklanki. Zgasił światło i wlazł do łóżka. Leżąc na brzuchu, rozpamiętywał drobiazgowo obraz, jaki przed chwilą musiał opuścić. Wyprężony, wtulał się w twardy materac. Ktoś z pokoju wydał odgłos, podobny do krótkiego brzmienia trąbki, zaraz potem rozległo się pianie koguta i ucichło, tylko Zygmunt chrapał głośno. Lucjan czuł pod sobą aksamitną miękkość ciała dziewczyny, wtulił się w lekko ściśniętą rękę. Na schodach miauczały koty podobnie do łkania niemowląt. Lucjan poruszał się pod kołdrą. Niezdrowo i intensywnie pracowała wyobraźnia. Ujrzał pod powiekami pejzaż jakiś przepiękny, po żyłach jego przebiegł nurt rozkoszny i — Lucjan usnął słodko znużony. Na wieży kościelnej biła sygnaturka. Zrobiło się jasno i z pokoju kobiet dochodziły głosy świeże i wypoczęte. Student wysunął nogę spod pledu i rozważał, czy warto już umyć obie. Miał minę poważną i ręka jego poruszała się pod pledem. Mieciek spał, wypuszczając gwałtownie powietrze ustami. Na dole budziło się miasto i rósł gwar. Student zapalił papierosa. Z lękiem w swych pięknych oczach patrzał na tom geodezji, leżący na krześle, przy łóżku. Raptem na podwórku podniósł się wrzask potworny. Lucjan drgnął i otworzył oczy. Poznał głos stróżki.

— Ty małpo diabelna! Ty szychto! Bede na ciebie całe życie harować? Zamietasz, czy nie?

Inny głos kobiecy:

— Ach, ty szlajo! Kto wczoraj zamietał? Nie ja?

— Wont flondro mi z bramy, bo cie mietłom zatłuke!

— Ty mie mietłom! Mietłom?! Jebu twoju mać!

— A czym, moze welunem? Masz, a masz, ścierwo diabelne!

Rozległy się suche uderzenia, trzask drzewa i okrzyki. Ktoś z okna drugiego piętra wymyślał głośno. Do pokoju wbiegła rozczochrana Stukonisowa w pąsowym szlafroku i wyjrzała przez okno:

— Żeby już raz zaraza jaka te stare żmije poskręcała. Z samego rana tak budzić ludzi, tfy, tłumoki stare. — Spojrzała na Miećka. — Ten bizun znów wrócił nad ranem. O, jakie ma ręce zafarbowane. Zakują cię, ty ciężka cholero, zakują w kajdany. Panie Józik, niech mi pan nie wyjada szmalcu, mam swoje dzieci!

Student nic nie odpowiedział. Jak tylko Stukonisowa wyszła, wyskoczył z łóżka, kucnął, wyprostował się, kucnął i wyciągnął ręce przed siebie. Położył się na podłodze i począł wierzgać nogami w powietrzu. Uprawiał tak z pięć minut tę dziwaczną gimnastykę, potem przez chwilę patrzał na nogi, mruknął coś, naciągnął skarpetki, włożył buty. Wciągnął spodnie i poszedł do kuchni. Mył się tam, parskał i stękał.

Lucjan czuł się fatalnie. Było mu gorąco i przed oczami wirowały kolorowe płaty. Sądził, że ma gorączkę, lecz ciało miał chłodne. Żałował wczorajszego pijaństwa i ubolewał nad swą głupotą. „Nie powinienem pić, wódka mi strasznie szkodzi. Znów cały dzień będę chodził struty — poleżę sobie do południa".

Z kuchni wyskoczył jak koń ze stajni — student. Był zadowolony, że się już umył. Wycierał się żwawo, patrząc w lustro. Gwizdał jakiegoś marsza i tupał nogą. Stukonisowa krzyknęła: „Panowie, nie wchodzić do kuchni, bo się myję". W drugim pokoju śpiewała rudowłosa. Student pił herbatę. Parzył sobie usta i wykrzykiwał co chwila. Ciągle patrzał na okładkę geodezji. Zygmunt zwlókł się z łóżka i pobiegł do ustępu. Wracając, powiedział do Lucjana:

— Jak się czujesz, bydlaku, bo ja ohydnie. „Dochodzić trud, a dojść jest cud", jak mówi genialny Cyprian[45]. G...o dojdziemy do czegoś, jak się będziemy tak zalewali. Idę spać — w d...e mam cały świat.

Stukonisowa wyszła do pracy. Rudowłosa usiadła przy oknie. Ceruje skarpetki i nuci *Tango Milonga*[46]. W kuchni słychać zawodzące syczenie czajnika. Student siedzi nad książką. Jego nieruchoma sylweta odcina się od mlecznego tła okna. Cisza.

Lucjan usypia nerwowo i na krótko.

Czas mija powoli. Ktoś z dachu gwiżdże na gołębie. Na ulicach rozpoczął się ranny gwar. Jest mglisto i chłodno, z nozdrzy koni buchają kłęby pary. Na wąskim podwórku krzyczą; kobiety chodzą z koszykami, ważą w ręku ptactwo — targują się. Ospale dźwięczą dzwonki przepełnionych tramwajów. Wszędzie mgła... mgła.

Godzina pół do dziewiątej. Z okien widać posępne wieże kościoła.

Mieciek ziewa, skamląc jak pies. Spogląda na zegar. Wstaje. Ciężko bije o podłogę bosymi stopami. Chwilę stoi przed lustrem, wywala język i w brudnych kalesonach idzie do drugiego pokoju. Szczypie rudowłosą w pośladek i koszykiem do nici dostaje uderzenie w plecy. Śmieje się grubym głosem i wyjmuje z szafki koszyk z pieczywem. Je stojąc. Odrywa od bochenka pajdy chleba i pokrywa je kawałkami wędliny. Robi to łapczywie, patrząc załzawionymi od snu oczami na rudowłosą. Nalewa sobie herbaty i popija z rozkoszą.

— Panno Todziu?

— Co?

— A g...o! — hehehe!!

— Idiota! — mógłbyś pan sobie giry umyć nareszcie.

— Cicho, gidio[47] głupia. — Mieciek wypił herbatę. Naciąga spodnie i idzie w stronę szafy. Chwilę patrzy na Lucjana, który nie śpi i myśli ciągle jeszcze o nagiej dziewczynie. Wzrok ich spotyka się i Mieciek drwiąco odwraca głowę. Wyciąga z szafy jakiś gałgan i wraca do kuchni. Śpiewa głośno: „O internacjonale[48] tra... lala... la".

Lucjan zwilża językiem spieczone wargi. Wypitą z samego rana zimną wodę czuje jeszcze w żołądku. Spać nie może i w nasiąkniętym oparami alkoholu mózgu kołują bezładnie pozbawione logiki myśli.

W kuchni pluska się Mieciek. W chwili, kiedy może odetchnąć, syczy: „Zburzymy stary, nędzny świat". Rudowłosa zamyka drzwi z trzaskiem. Student wstaje z krzesła i podchodzi do Lucjana.

— Słyszysz pan tego s.....syna?

— No, cóż — słyszę.

— Panie, ja za kilka dni mam egzamin, a taki łobuz śpiewa mi *Międzynarodówkę* — to bydlę przeklęte...

---

[45] *dochodzić trud, a dojść jest cud* — słowa te padają w dramacie *Krakus. Książę nieznany* Cypriana Kamila Norwida (wyd. 1863). [przypis edytorski]

[46] *Tango Milonga* — szlagier polski i światowy, z muzyką Jerzego Petersburskiego. [przypis edytorski]

[47] *gidia* — żartobliwe określenie wysokiej i szczupłej dziewczyny. [przypis edytorski]

[48] *Internacjonał* — *Międzynarodówka*, pieśń rewolucyjna. [przypis edytorski]

Student zmienia ton głosu i mówi w stronę Miećka:

— Może pan przestanie śpiewać, bo ja się muszę uczyć.

— A ucz się pan, — i tak z pana nic nie będzie. Dzisiaj matki nie ma — nie nastraszysz mnie pan.

Student zdławionym głosem:

— Ale ja się muszę uczyć.

Mieciek czuje swą przewagę. Zbliża się pochylony do studenta i mówi:

— Coś pan był wczoraj taki energiczny? Że matka była? Jak dam w tramwaj, to konduktor wyskoczy w czerwonym płaszczyku i powi: płacz. Skuję panu kiedy pycho, to panu się odechce na proletariat wyszczekiwać. No, wont, gawno sobacze — do nauki. Wkuwaj się, wyrzutku społeczny. Nuże, bo kopniaka na drogę. Śpiewać mi tu zabroni!

Student potulnie wrócił na swoje miejsce przy książce. Mieciek triumfalnie spojrzał na Lucjana i poszedł do drugiego pokoju. Po chwili słychać było wycie dziewczyny:

— Oj... ijojoj — paszła byku, weź tę łapę, bo strzelę w pysk. No, chamie!

Mieciek wybiegł czerwony na twarzy, uczesał się przed lustrem, porwał czapkę, nałożył palto i wyszedł.

Naprzeciw studenta, na kanapie, usiadła rudowłosa i zaczęła się skarżyć:

— Takie bydlę, rękę mi będzie pod sukienkę wsadzał. Przyjedzie brat, to mu po mordzie nakładzie, ile wlezie. Poszczypał mnie tak po nogach, że pewnie mam sińce — muszę zobaczyć. Dawno bym się wyprowadziła, tylko że jestem winna Stukonisowej. Skończę akuszerię i zacznę zarabiać, to zaraz się wyprowadzę. Idę — nie przeszkadzam panu.

Rudowłosa wyszła obejrzeć swe siniaki. Kiedy siedziała na kanapie, Lucjan obserwował jej twarz: była pełna, lekko piegowata, o małym, zadartym nosku, szerokich, czerwonych ustach i oczach wesołych, piwnych. Ciężkie sploty rudych włosów opadały na jej kark. Dziewczyna była wysoka, cienka w pasie i o szerokich biodrach. Miała w swej postaci dumę i wyniosłość.

Kiedy wyszła, Lucjan odezwał się do studenta:

— Piękna dziewczyna — kariatyda[49].

— Jaka tam kariatyda — Teodozja zwyczajna. Bałuje się ciągle z tym Mitaskiem, a potem narzeka. Udaje dziewicę, a w zeszłym roku miała dziecko, tylko że akuszerka, to sobie zepsuła. Jestem pewien, panie, już naszego wzroku nic nie ujdzie. Tylko spojrzę na kobietę i z miejsca wiem, jaka jest.

— A co, ona nie może się poskarżyć do matki tego Miećka?

— Co się ma skarżyć, kiedy ona lubi takie macanie. Tego Mitaska to ja bym dzisiaj usadził, bo już nie raz i nie dwa dałem mu po mordzie. Tylko — wie pan — ja mam egzaminy i nie mogę się denerwować, to szkodzi myślom.

— Aha, rozumiem.

Lucjan wstał. W dalszym ciągu czuł się źle. Przechodził zwyczajny kacenjamer. Umył nogi, nałożył świeże skarpetki i począł się ubierać. Wodą z kranu umył twarz i zmoczył głowę. Uczuł się raźniejszym. Nie miał apetytu na śniadanie. Włóczył się z kąta w kąt: przeglądał książki, dotykał figurek na komodzie, wreszcie stanął w oknie. Działanie zimnego natrysku minęło i znowuż czuł się jak zaczadziały. Wiedział, że coś mu pomoże, tylko nie mógł sobie uświadomić co. Widział przed kościołem uszeregowanych żołnierzy i grupkę oficerów. Na uboczu stali czarno ubrani cywile. Wyniesiono trumnę na karawan. Ludziom dymiła z ust para. Tęgi wojskowy z buławą w ręku stanął przed orkiestrą, dał znak i w gęstym powietrzu rozpłynęły się dźwięki żałobne marsza szopenowskiego.

Och... Boże... Boże... jakież to wszystko jest bezbrzeżnie nudne. Co to jest? Ja się nie powinienem nudzić.

Na podwórku Żyd sprzedający grzebienie jadł bezmyślnie pomarańczę — jak chleb. Lucjan pomyślał: litowałem się wczoraj nad nim, a teraz taki żre pomarańczę. Czy ja sobie mogę pozwolić na to, nie. Tak, ale tamten nie chleje wódki. Muszę zejść na dół i kupić sobie pomarańczę, to mi dobrze zrobi.

Wyszedł i po chwili wrócił z owocem w ręku. Pomarańcza była wyschnięta i włóknista, o słodko-mdłym smaku. Nawet sobie pomarańczy kupić nie potrafię, tfu, świństwo.

[49] *kariatyda* — tu: posągowa kobieta. [przypis edytorski]

Spojrzał z nienawiścią prawie na małego Żydka. Zażera się. Poszedł do kuchni, wyrzucił skórkę i miąższ. Zachciało mu się popatrzeć na Teodozję. Pod pretekstem szklanki wszedł do pokoju. Teodozja siedziała pod oknem i cerowała coś różowego. Podszedł, ukłonił się i wyciągnął rękę. Podała mu swoją niezręcznie i sztywno.

— Proszę pani, szklanki, zdaje się, tu?

— O, tam, na dole, w szafce. Co, pan niedawno się sprowadził? Niech pan zostawi, naleję panu kawy.

Wstała i dumnym krokiem wyszła do kuchni. Po chwili przyniosła szklankę z brunatną kawą. Nie chciało mu się pić tej lury, ale chlipał, ze względu na dziewczynę. Podczas gdy ona mówiła, on podświadomie uczuwał jakąś przynależność jej do siebie. Dlatego może, że widział ją rano nagą — znał ją.

— Co pan tak na mnie gały wybałuszył?

— Tak sobie — patrzę.

— Bo jeszcze pan oko złamie — haha... ha.

W pokoju zabrzmiał bas Zygmunta. Lucjan wstał i przeprosił ją. Roześmiała się głupawo. Nie rozumiała jego grzeczności, nie była do tego przyzwyczajona, myślała, że kpi sobie z niej.

— No, pijaku, wyspałeś się? Jak się czujesz?

— Bardzo źle — odpowiedział Lucjan. — Boli mnie głowa i w gębie czuję niesmak. Na zdrowie mi nie poszło to wczorajsze zalanie się.

— A ja świetnie. Zwymiotowałem i tak jakbym nie pił. A ty, czekaj no. Możeś ty się nie wypróżnił — podstawowa rzecz pijaka. Zrób to zaraz, o połowę ci zelżeje.

— O, doskonale, właśnie nie wiedziałem, czego mi brakuje. Już idę.

Zygmunt jest w doskonałym humorze. Zbyt jest głodny, by pamiętać, że warto by się umyć przed śniadaniem. Je z zapałem i dowcipkuje z Teodozją. Umie z nią mówić.

— Panno Todziu, jakich pani woli, brunetów czy blondynów?

— Żadnych. Najwyżej blondynów.

— No, a jak brunet nałoży perukę blond i w łóżku ją zdejmie. Poczuje pani różnicę?

— Idź pan — świnia skończona. Jeszcze nigdy z żadnym chłopem w łóżku nie byłam. Nie jestem żadna dziwka. Aleś pan mądry, panie Zygmuncie. Niby poeta, a jak co powie...

— Panno Todziu, w łóżku nie, ale tak na kanapce, co?

Zygmunt poszedł napełnić szklankę.

— Skończyłeś już, Lucjanie? No, lepiej, prawda? Mówiłem. Ja się znam na tych sprawach. Proletariusz spotyka się z filozofią na każdym kroku. Co, chyba pójdziemy do „Małej"?

— Trochę za wcześnie.

Lucjan zapalił papierosa i położył się. Teraz mógł myśleć przynajmniej.

Zygmunt siedział na kanapie z podwiniętymi nogami i czytał Norwida. Wielbił i pojmował tego poetę. Lucjan zazdrościł mu tego. Nie rozumiał Norwida tak, jakby tego pragnął. Ilekroć obcował z tomem Norwida, zawsze wiało na niego z tej książki jakąś mocą genialną, którą Lucjan odczuwał, lecz nie pojmował. Zawsze będę pisał płytką prozę; będę fotografował życie. Nic nowego nie stworzę.

Usiadł obok Zygmunta:

— Mój drogi, co to za kobiety, które mieszkają w tamtym pokoju?

— Ano, Teodozja nadobna, to ją znasz — siedzi tam i majtki ceruje. Na „akusierke" się kieruje. A druga, to Felicja Stodulska, kocha się w panu Józefie, o, widzisz jak się pan Józef zarumienił...

— Na plecach.

— O, widzisz jaki dowcipny. Słodka Felicja pracuje w sklepie z wędlinami i codziennie o szóstej rano wychodzi z domu. Przez nią masz wędlinę na śniadanie co rano, jakoś tam się z matką liczy. Nie widziałeś jej? Tył ma jak kocioł.

Lucjan przypomniał sobie, że to pewnie ta, która przedwczoraj wieczorem tak czule zwróciła się do Miećka.

— Tak, widziałem ją.

— No, widzisz, wykwintna, co? W ogóle towarzystwo masz tutaj pierwszorzędne.

O pół do pierwszej wyszli z domu. Lucjan zeszedł na dół do stróżek, by odebrać metrykę. Mieszkały w maleńkiej ciupce, jak dwie myszy w norce. Krzątały się, niepomne

rannej awantury. Jedna tarła kartofle, druga smażyła placki. W izdebce swąd był nieznośny z oleju. Lucjan prędko odebrał metrykę i wyszedł. Na parterze frontowych schodów siedział jakiś młody człowiek bez stóp i starannie obwijał sobie bandażami kikuty. Lucjan znał go z widzenia. Pięknie uczesany siedział zwykle na placu Józefa Piłsudskiego, pod murem — i żebrał. Żeby wzbudzić większą litość, obwiązywał sobie drewniane kończyny bandażami. Żebrak

Szli w milczeniu, jakie cechuje ludzi znających się dobrze. Mijali ich przechodnie o twarzach smutnych lub roześmianych. Powietrze pachniało mgłą i na twarze ludzi padała sina bladość z nieba. Ci dwaj szli z pośpiechem i obojętnością, z jaką urzędnicy idą do biura. We mgle wrzało życie miejskie: śmieszne, nerwowe i zarazem bezradne.

— Dziwne prowadzimy życie, Zygmuncie! Wszyscy klepiemy biedę w większym lub mniejszym stopniu, a jednocześnie sprawiamy wrażenie kapitalistów. Wstajemy późno; w południe chodzimy do kawiarni, potem wraca się do domu i znów wieczorem do kawiarni. Skąd się na to bierze? Kiedy byłem w Zakopanem, przysyłano mi pewną sumę miesięcznie. Teraz to już — niestety — skończyło się. Wystarczało mi to na utrzymanie, poza tym ciągle chodziłem bez grosza. Teraz, prawda, jestem tutaj zaledwie kilka dni, ale pamiętam, jak wróciłem w zeszłym roku: żyłem wtedy przez kilka miesięcy groszami. Moje kilkanaście złotych też za parę dni rozwieje się i sam nie wiem, jak dalej będzie.

— Kobiety i poeci lubią wstawać późno i nic nie robić. Mój drogi Lucjanie, masz takie kacenjamerowe refleksje. Zaraz ci wytłumaczę, jak jest z nami. Posłuchaj: do żadnej uczciwej pracy nie jesteś zdolny, pozostało tylko pisanie, które ci grosza nie daje. Cóż więc! Cała twoja inteligencja, wszystkie wysiłki dążą już od samego rana — codziennie — ku zdobyciu kilku złotych. Pożyczysz je, a raczej wyłudzisz: dziś od inżyniera B., jutro od doktora F., lecz niechaj cię to nie martwi. Te głupie snoby nie dają ci tych pieniędzy za darmo; dajesz im w zamian swoje intelektualne towarzystwo. Coś tak, jak kurewka, tylko w innym sensie. Oczywiście, za kilka lat wypłyniesz albo ci się noga powinie. Jedno z dwojga. W gruncie rzeczy Wermel — genialne chłopię, które pożycza pięć złotych od Fajnsztajna, daje mu w zamian okazję do zadowolenia z samego siebie: że niby pomógł młodemu poecie. Taki Fajnsztajn nie posiada nic więcej prócz tych pieniędzy. Jakież to proste. Takie bydlę tanim kosztem pomyślało o sobie, że jest filantropem i dobrodziejem. „Za takie małe pieniądze, taka przyjemność". Tak żyje się z dnia na dzień. Musimy tę swoją sztukę okupywać biedą, bo nasze talenty dopiero się kształtują. Jeśli któryś z nas dojdzie do jakichś wyżyn, to społeczeństwo będzie na nim zarabiało lata całe, tak jak zarabiało na Żeromskim, Reymoncie lub Szopenie. Tymczasem społeczeństwo gwiżdże na nas i możemy sobie zdychać z głodu spokojnie. Pomoże ci właśnie tylko taki Fajnsztajn lub inna jednostka z forsą. Powróćmy jeszcze do tamtych wielkich. Co im ojczyzna dała za życia? Żeromski żył w nędzy do ostatniej prawie chwili. Tfy, zresztą tysiące przykładów. Taki Fundusz Kultury Narodowej[50] lub inna podobna instytucja będzie dziesiątkami lat buliła forsę jakiemuś idiocie, który zapisuje sobie, jak to Mickiewicz był dobrym poetą i komentuje jego geniusz. Mickiewicz ma w d...e takiego faceta i na pewno gdzieś tam w innym świecie martwi się, że tu na ziemi kilku jego młodych kolegów nie ma często co do gęby włożyć. Pożyczaj, niech się państwo za ciebie wstydzi. Tu twoja ambicja nie wchodzi w grę, używaj jej w kierunku twórczym. Trudno nam jest zarabiać na życie, bo nie możemy dwóch srok za ogony trzymać. Albo urzędnik, albo pisarz. Trzeba robić jedno, aby było dobre. Tak, widzisz, wczorajsze pijaństwo tak mi umysł odświeżyło. Dobrze to sobie tak od czasu do czasu mebelki we łbie poprzewracać. Rano się budzisz, wszystko inaczej: jakbyś śmiecie wymiótł z pokoju. Poeta, Artysta, Pieniądz, Społeczeństwo

— Jakoś... tak, zawile rozumujesz z tym pożyczaniem. Nagadałeś, naplotłeś i sam nie wiem, co ci na to odpowiedzieć. Pomówimy jeszcze kiedyś o tym, dziś nie mam głowy. Byron miał świetnie lub Goethe — forsy jak lodu.

— A tak, owszem... zdolni chłopcy. Czekaj, i my wyliziemy na górkę. Pożyczaj... pożyczaj, to ci żadnej ujmy nie przyniesie. Jesteś własnością społeczeństwa, nie masz nic swojego, honoru też. Tak, tak, Lucusiu.

— Idiota jesteś... gadasz takie bzdury, że trudno słuchać.

[50] *Fundusz Kultury Narodowej* — instytucja państwowa (1928–1939) udzielająca stypendiów dla twórców i uczonych. [przypis edytorski]

— No, przestańmy o tym mówić. Właźże między Żydy i geniusze.

A jednak ma w sobie urok ten gwarny lokal. Weszli, rozejrzeli się, ukłonili parę razy i usiedli. Piją kawę, gawędzą i czują zadowolenie.

Cóż to za postać ukazuje się w drzwiach. Wysoki, bardzo chudy mężczyzna z bródką, o twarzy Chrystusa. Zygmunt wrzeszczy na całą salę:

— Dziadzia[51] kochany!! Jak się masz! Skądżeś się wziął tutaj?

Dziadzia podchodzi do nich z krótką fajeczką w ustach. Uśmiech ożywia jego chudą, sczerniałą twarz. Całują się. Lucjan jest zdziwiony.

— Cóż to, już cię mamy tutaj znowu, ty draniu. Jakiś miesiąc temu miałem od ciebie list z Casablanki. Siadaj. No, jesteśmy razem.

Dziadzia, a właściwie Stanisław Krabczyński jest jak zawsze pogodny i tajemniczy. Siada i zamawia swoją „całą z dwoma cukrami" — jak pół roku temu. Pali tę samą starą, obtłuczoną fajkę. Jest Polakiem, lecz dopiero od kilku lat mieszka w ojczyźnie. Przyjechał z Korei, gdzie spędził dwadzieścia parę lat swego życia. Znał wszystkich i wszyscy go znali. Pamiętano go jeszcze sprzed czterech lat, kiedy to chodził z długimi włosami, w białej pelerynie, z krótką bródką i recytował wiersze po japońsku. Zrobił sobie szybko nazwisko tomem doskonałych, morskich nowel. Za dwie z nich wziął duże nagrody. Potem przestał pisać, porzucił białą pelerynę i skrócił włosy. Pozostała tylko ta starannie utrzymana bródka. Smutek rodzinnego kraju ostudził jego wschodnią fantazję. Wśród najbliższych przyjaciół nazywano go „Dziadzia". Miał w sobie wiele z Rosjanina: szczerość i rozlewność duszy. Teraz Dziadzia żył w dogasających promieniach swej sławy i popularności sprzed kilku lat. Jeszcze czasem przetłumaczył jakąś nowelę z rosyjskiego, czasem napisał jakiś artykuł o morzu, ale poza tym twórczość jego zanikła zupełnie, pozostał tylko miłym i mądrym człowiekiem. Nikt nie wiedział, skąd Dziadzia czerpie na swe utrzymanie. W ogóle był tajemniczy i kochał się w humbugu. Odgrażał się przy kieliszku, że jeszcze napisze powieść, że jeszcze zabłyśnie, ale mimo że kochano go bardzo, nie wierzono mu. Jednak ostatnio Krabczyński zrobił to, czego nie spodziewano się zupełnie, a o czym on marzył od lat. Wyruszył on w morską podróż. Przez pół roku żył w ukochanej atmosferze. I najbliżsi ucieszyli się. Oto Dziadzia otrząśnie się z miejskiego lenistwa, upije się kilka razy gdzieś w Cardifie lub Oranie — i wrażeniami podsyci tlejący płomyk twórczy. Jest więc z powrotem. Ten sam kapelusz ma na głowie: pomięty i sztywny od brudu i starości. Siedzą teraz we trzech i z radości mówić nie mogą, tylko patrzą na siebie z zachwytem.

Dziadzia, wreszcie.

— No, miły. I dostałem od ciebie list z fotografią. Ja właściwie wyjechałem w parę dni po tobie. Jak twoje zdrowie? Dobrze wyglądasz. Kiedy wróciłeś?

— Dwa dni temu. Mieszkam u Zygmunta. Doprawdy, że smutek spowodowany moim przyjazdem tutaj ułagodził twój powrót. Tyle przyjemnych dni spędziliśmy razem. Wczoraj urżnęliśmy się z Zygmuntem i wspominaliśmy ciebie, myśleliśmy, że cię już więcej nie zobaczymy. Ty już na stałe?

— Wiesz, nie. Zdaje się, że kilka tygodni tylko. A co z tobą, Zygmuncie?

— Ano, nic. Stara nuda i globalne tęsknoty. Schudłeś, spaliło cię morskie słońce. Och, dobrze, żeście przyjechali — ty i Lucek. Było już źle z moim samopoczuciem... O, patrz, jak Olafowa wytrzeszczyła oczy.

Olafowa naprawdę jest zdumiona. Śmieje się radośnie.

— Wiecie, że to za dużo szczęścia dla mnie. Przedwczoraj pan Lucjan, dzisiaj pan, panie Stanisławie. Czyście się zmówili ma moje słabe serce. Teraz tylko słucham... słucham.

Dziadzia wypija łyk kawy, pociąga parę razy z fajeczki i mówi:

— A więc przez te pół roku przeżyłem więcej, aniżeli przez ostatnie lata pobytu tutaj. Wierzcie mi, tam jest lepiej i inaczej. Woda i niebo, życie na statku jest milsze od siedzenia

[51] *Dziadzia, Stanisław Krabczyński* — pierwowzorem tej postaci był Stanisław Maria Saliński (1902–1969), marynarz, pisarz i dziennikarz. Studiował we Władywostoku i pływał na statkach w Zatoce Amurskiej. W Polsce debiutował *Opowieściami morskimi*. Od połowy lat 30. reporter w prasie sanacyjnej, „Kurierze Czerwonym" i „Expressie Porannym". Po wojnie pracował w „Expressie Wieczornym" i paxowskim „Słowie Powszechnym". Do czasów opisanych w powieści Uniłowskiego nawiązał we wspomnieniach *Long-play warszawski*(1966). [przypis edytorski]

w „Małej". Oran, Cardif, Casablanca, Neapol. W każdym z tych portów wypoczynek po lenistwie okrętowym. Zdrowe pijaństwa. Inni ludzie, nowe twarze. Moc wrażeń. Obce języki. O, jakże wypocząłem. Chce mi się znowuż mówić japońskie wiersze.

— Dziadzia, jak tam te Arabki — zdatne do czego?

— Panie Zygmuncie, zdaje się, że możemy coś ciekawszego usłyszeć?

Dziadzia ciągnie dalej:

— I to, i to. A wiecie, że w Casablance piłem żytniówkę Baczewskiego[52]. Tak, upiłem się z radości, że coś ojczystego.

— Ty tak potrafisz i bez tego „ojczystego".

— Na okręcie mieliśmy stale masę wina. Wermut piło się z beczki przez rurkę gumową... czekajcie, pokażę wam fotografie.

Dziadzia wyjmuje z kieszeni plik zdjęć amatorskich. Pochyleni nad stolikiem — oglądają. Nawet kelner patrzy ponad ramionami.

Przysiadają się jeszcze dwaj poeci: Brocki[53] i Paczyński. Teraz wszyscy krzyczą, nawołują, by drudzy szybciej oglądali zdjęcia. Dziadzia jest zarzucony pytaniami — musi objaśniać. Gdzie? Co? Jak? Kiedy? Znikła sztuczność i znudzenie z twarzy młodych ludzi.

Kawiarnia

Między stolikami przeciskają się tęgie, piersiaste kobiety, niby gdaczące kokosze. O tej porze stanowią większość publiczności. Mówią wiele, pokazują się wzajemnie i obmawiają. Mężczyźni patrzą tępo przed siebie i wypalają masę papierosów. Inni przeglądają pisma, inni sprzeczają się zawzięcie. Gwar, śmiechy czasem i dużo dymu. Starsi malarze lub literaci patrzą na młodych z obojętnością i pobłażliwie. Młodzi pogardliwie i ironicznie drwią ze „starych koni". Obandażowany redaktor opozycyjnego pisma siedzi w kącie i smutno popija kawę. Drobny powieściopisarz z szatańską miną szepce coś do ucha swego wydawcy. Dziennikarze pod lustrem grają w orła i reszkę. Kilku akwizytorów pokazuje sobie weksle. Grupa aktorów filmowych opowiada sobie kawały. Ktoś z kimś pisze wywiad na bibułce. Tęgi jegomość przelicza pieniądze. Brodaty mecenas sztuki wyłudza obraz od młodego, rumianego na twarzy malarza. Adwokaci przekrzykują się wzajemnie. Biegają spoceni i opryskliwi kelnerzy. Do Lucjana czy Zygmunta podchodzi ciągle ktoś i pyta:

— Nie widziałeś Reichmana?

— Czy nie było tutaj Rulona?

— Czy nie widziałeś tutaj takiego rudego, grubego dziennikarza. Przychodzi często, no wiesz chyba?

— Heni nie było tutaj?

Wszyscy się kręcą: wchodzą, wychodzą, zapominają płacić za kawę — kelnerzy klną. Chłopcy w zielonych liberiach noszą pisma, papierosy i rozstawiają krzesła.

Z wolna mija entuzjazm z powodu przyjazdu Dziadzi. Oswojono się z widokiem jego bródki i fajeczki. Jeszcze ktoś w przejściu wykrzyknie, zapyta, pozdrowi. Paczyński, młodzieniec o śniadej, chorowitej twarzy i błyszczących oczach patrzy ponuro na swych towarzyszy. Brocki, mimo że nie ma zwyczaju obmawiać swych bliźnich, opowiada cichym, równym głosem o nadużyciach panny Szpicer. Wszyscy znają pannę Szpicer. Nosi wiecznie brudne pończochy i za paznokciami ma czarno.

— Powiadam wam, że w przeciągu trzech tygodni naciągnęła kilku urzędników w biurze na jakie trzysta złotych. Wyleli ją na pysk naturalnie. W „Przeglądzie Katolickim" miała taką świetną recenzję ze swoich wierszy, że niby takie świętobliwe. Możecie śmiało jej się nie kłaniać.

Zygmunt zwraca się ze śmiechem do Paczyńskiego:

— Klimek, to ty przez jakiś czas u niej sypiałeś?

— Opowiadasz głupstwa. Sypiałem. Raz coś przez całą noc tłumaczyliśmy jakąś nowelę z angielskiego. Zaraz sypiałem — tam jest akurat gdzie spać.

---

[52] *żytniówka Baczewskiego* — z renomowanej wytwórni wódek i likierów w Wybranówce koło Lwowa. [przypis edytorski]

[53] *Brocki* — pierwowzorem tej postaci był Władysław Sebyła (1902–1940), poeta, związany z Kwadrygą, od roku 1929 do 1931 redaktor pisma o tej samej nazwie. Wydał tomy poezji *Modlitwa* (1927), *Pieśni Szczurołapa* (1930). Nawiązywał do twórczości Norwida, twórcy szczególnie bliskiego kręgowi Kwadrygi. Prowadził programy literackie Polskiego Radia. Walczył w kampanii wrześniowej; zamordowany w egzekucji zbiorowej dokonanej przez radzieckie NKWD w Charkowie. [przypis edytorski]

Nad Zygmuntem pochyla się brodaty, ze zmierzwioną czupryną i brudnym kołnierzykiem — Wolica[54]. Pyta szeptem:

— Czy nie masz wolnej złotówki?

— Zgadłeś. Nie mam. Idź do jasnej cholery.

Wolica odchodzi cichutko i potulnie. Wie dobrze, że kiedy zarabiał po sześćset złotych miesięcznie, nie poczęstował żadnego z kolegów papierosem.

Zygmunt patrzy złośliwie na Dziadzię i mówi nagle:

— A tu mi, panie święty, mówił ktoś, że cię widział w Milanówku.

Wybucha głośny śmiech. Dziadzia gwiżdże ironicznie.

Zygmunt zmienia temat i zwraca się do Klimka.

— Coś ty podobno poszedł na chrzciny dziecka Gołomba i wyrzygałeś się w kołyskę. Gołomb jest na ciebie oburzony. Obrzygać komuś świeże dziecko, toż to — proszę państwa — granda.

Znowuż ktoś nachyla się nad Zygmuntem:

— Nie widziałeś gdzie Karpia?

— Owszem, widziałem. Powiedział, że ma cię w d...e. Kiedyż do pioruna, przestaniecie mnie zanudzać.

Paczyński jest podrażniony z powodu owej historii z Gołombem. Lubi pić i wiecznie cierpi na kacenjamer. Teraz bawi się nerwowo guzikiem od palta. Brocki poważnie pali papierosa i śmieje się jakby z rozwagą. Jest bardzo lubiany, lecz tak — na poważnie. Tomem swoich wierszy wyraził wybitną indywidualność i odrębność talentu. Brocki ma dwadzieścia siedem lat, jest żonaty[55], a więc życie jego jest unormowane. Prowadzi pismo młodych poetów i robi to dobrze. Jest to mądry, miły człowiek, chociaż może trochę za flegmatyczny. Teraz słucha z uwagą opowiadania Dziadzi mówiącego z zapałem. Znalazł słuchacza, który nie kpi z niego.

Olaf ze swą wieczną teczką, przeciera binokle chustką i nasadziwszy je na nos, dopiero teraz widzi całe towarzystwo. Normalne okrzyki na widok Lucjana i Dziadzi. Znowuż wzajemne przerywanie sobie rozmowy, ożywione twarze i przeskakiwanie z tematu na temat.

Wermel kuleje. Powiada że mu paznokieć wrósł w ciało. Przykra to sprawa i zwykła — jeśli się latami nie obcina paznokci. Wermel siada i daje do zrozumienia, że napiłby się kawy — ale białej. Lucjan pojmuje i kiwa głową, potem słucha, jak Wermel głębokim głosem skanduje swoje przekłady z Browninga. Musi to być piękne, bo Lucjan nie zauważa nawet panny Leopard[56].

Panna Leopard. — Iluż to poetów miało zamiar truć się dla jej boskiej urody. Kończyło się zawsze płukaniem żołądka z powodu nadużycia alkoholu, zapuszczeniem brody lub ogoleniem głowy. Miało to swą dobrą stronę. Kilka, pięknych często, wierszy zostało napisanych bez myśli o honorarium. Ale Lucjan nie umiał pisać wierszy. Zaś panna Leopard wcale tego od niego nie żądała, tak jak nie żądała w ogóle nic — może dlatego że go zupełnie nie znała i w ogóle nie zwracała uwagi na jego rzewne spojrzenia.

Bo panna Leopard funkcjonowała na terenie uznanych już wielkości. Oto usiadła właśnie obok znanego komediopisarza i już swą piękną twarzyczką ściągnęła ku sobie zachwycone spojrzenia mężczyzn.

Lucjan zapragnął lepiej usłyszeć zdanie o muzyce, spojrzał więc w twarz Wermela i poza jego zapierzonym[57] ramieniem ujrzał wspaniałe oczy panny Leopard, utkwione w spokojnie pykającej sobie fajeczkę — twarzy Dziadzi. Nie słyszy już słów Wermela i w ogóle czuje szum w głowie. Po półrocznym poście dla stęsknionych oczu, znowuż widzi swą Beatryczę. Dlaczego, kiedy myśli o kobiecie, zawsze widzi figurkę panny Leopard. Tak już od roku. „Przecież ona nawet nie wie o moim istnieniu. Jestem smarkacz i kretyn.

[54] *Wolica* — może Andrzej Wolica (1909–1940), poeta i prozaik związany z grupą Kwadryga. Komunista; opublikował m.in. powieść *Ulica Ogrodowa*(1938). [przypis edytorski]

[55] *jest żonaty* — żoną W. Sebyły była Sabina Sebyłowa; napisała wspomnienia *Okładka z Pegazem* (1960). [przypis edytorski]

[56] *panna Leopard* — postać trudna do identyfikacji; podobno miała to być córka krytyka Jana Lorentowicza. Wydaje się jednak, że to raczej, częsty w ówczesnej literaturze, typ „kobiety demonicznej". [przypis edytorski]

[57] *zapierzonym* — zapewne w znaczeniu: obsypanym pierzem. [przypis edytorski]

O, tak. W gruncie rzeczy jestem jeszcze głupi, nędzny smarkacz. Po co ja o niej myślę". W tej chwili Lucjan słyszy tubalny głos Zygmunta:

— Te, bo ślepia zwichniesz.

Lucjan opuszcza wzrok. Jest mu wstyd, że przechodzi tę chorobę, co wszyscy jego koledzy — chorobę miłości do panny Leopard.

Zygmunt mówi poufnym tonem do Dziadzi:

— Przez cały czas patrzy na ciebie. Już nie ujdziesz jej, teraz na pewno cię przyłapie. Ciekawym, czym też wypali ci oczy. A może cię za-strze-li.

Dziadzia jest istotnie zmieszany. Przysunął się bliżej stolika i jest bardzo zajęty czyszczeniem swej fajki. Paczyński mówi ponuro:

— Ta syrena czuje w tobie zapach morza.

— Psiakość, ależ ta fajka zapchana.

Wermel zauważa:

— Panna Leopard jest jak stan pogody, zawsze się o niej mówi, kiedy brak innego tematu.

Kobieta, Uroda, Obyczaje, Kobieta demoniczna

— Tak, zupełnie słusznie — mówi Brocki. — Gdybym mógł to uczynić, gdybym był w stanie, kazałbym ją spalić publicznie na stosie — na korzyść mych kolegów. Jest za piękna.

Olaf opowiada ostatnie zdarzenia polityczne, słuchany nieuważnie. Lucjan co chwila zerka w stronę panny Leopard, otoczonej już gronem mężczyzn. Klimek Paczyński, patrzący na wszystkich krytycznym wzrokiem, zaczyna nagle mówić podniesionym głosem:

— O, jacyż wy wszyscy jesteście nudni — banda matołów. Siedzicie w tym siedlisku snobów, chlejecie tę kawę, która wam na pewno nie smakuje i udajecie dojrzałych, mądrych ludzi. Olafowie, oczywiście was nie mam na myśli i nawet Brockiego pomijam. — Klimek jest silnie zdenerwowany i mówi szybko: — Zygmuncie, czegoś się tak rozwalił na krześle. Ta zblazowana mina nie pasuje grubym rysom twej ordynarnej twarzy. Udajesz znudzonego swą własną mądrością. Czy wiesz, że ten twój tomik wierszy to w gruncie rzeczy kupa bzdur, że jesteś jeszcze niczym, że musisz się nauczyć nie tylko trzeźwego rozumowania, ale również siedzenia przy stole. Tylko głupiec może być tak pewny siebie, bo głupcem jesteś, skoro nie zdajesz sobie sprawy, co wszyscy myślą o tobie!! A ty, Krabczyński, no, cóż. Wróciłeś z podróży, siedzisz teraz tutaj, ćmisz tę swoją fajeczkę i sądzisz, że jesteśmy tutaj po to, aby cię wielbić. Nie! Minął okres, kiedy to uważaliśmy cię za „dobrze zapowiadającego się". Jesteś już stary, trzydziestoletni chłop — tak! Starym jest pisarz, który do trzydziestego roku życia napisał kilka poprawnych nowel. Wykolejasz się coraz bardziej, nie staraj się nam imponować. Drażnicie mnie wszyscy, wy — dwudziestokilkuletni staruszkowie. Wermel, zgnijesz w nędzy przez swoje potworne lenistwo — słyszysz!? Jeszcze trzy lata temu siedziałeś po nocach nad językami i filologią. Potem napisałeś gładki wiersz, kilku durniów cię pochwaliło i już ci się wydaje, żeś wszystkie rozumy pozjadał. Mówię wam, że sprawiacie ponure wrażenie, kiedy się na was patrzy. O tobie, Lucjanie, nic nie mówię, boś jest ten „dobrze zapowiadający się" młody chłopak. Tylko nie zapowiadaj się tak długo jak Krabczyński. Kochaj się lepiej w pannie Leopard, niżby ci się zdawać mogło, żeś większy od tego autora dwudziestu kilku mądrych książek, który obok niej siedzi. Tfu, co za ohydne, megalomańskie mordy. Proszę mi wybaczyć, pani Mario, ale nie mogę już na nich patrzeć. Żegnam.

Był bardzo wzburzony. Pożegnał się tylko z Olafową i odszedł. Dziadzia wycedził z fajeczką w ustach:

— Atak neurastenii.

— Gdzie tam neurastenia, facet bawi się w rózgę społeczną. Znalazł się Skarga[58], psiakrew — idiota, trzeba było mu po pysku dać.

— Ależ, panie Zygmuncie, dlaczego zaraz tak ostro, podenerwowany był.

Olaf począł bronić Klimka.

— Moi drodzy, swoją drogą, dużo słuszności było w tym — smarkaczowskim może nieco — wybuchu. Wasza nonszalancja jest rzeczywiście czasem przykra. Zachowuje-

[58] *Skarga* — nawiązanie do Piotra Skargi, jezuity i kaznodziei z wieku XVI; tu ironicznie: prawiący morały mędrzec. [przypis edytorski]

cie się tak, jakbyście osiągnęli już swą klasę. Stańcie się lepiej dobrymi pisarzami, niźli materiałem na geniuszów, jakim teraz być chcecie.

Występ Klimka zepsuł humory. Dziadzia wstał i począł się żegnać. Lucjan i Zygmunt też wychodzą. „Do widzenia, do jutra, pani Mario". Dziadzia przy drzwiach przeprosił na chwilę Lucjana i coś tam poczęli szeptać z Zygmuntem. Lucjan stał wpatrzony w posadzkę, kiedy niezwykle kształtne łydki nóg kobiecych mignęły mu przed oczyma. Uniósł głowę. Panna Leopard wyszła na ulicę i zatrzymała się przed wejściem, naciągając rękawiczki. Tamci dwaj ukończyli już swą poufną rozmowę. Wychodzili właśnie i Lucjan zauważył, jak Dziadzia szybko zasłonił sobie twarz kołnierzem palta. Powiedział jednym tchem: „Weźcie mnie pod rękę... na miłość boską, weźcie mnie pod rękę, ja nie chcę z nią mówić". Obok stała panna Leopard i Lucjan próżno próbował spotkać się z jej wzrokiem, który skierowany był, i to ostro, właśnie w stronę Dziadzi. Jej oczy wyrażały jednocześnie wzgardę i tkliwość. Lucjan i Zygmunt trzymali Dziadzię pośrodku za łokcie — jak rannego. Szli szybko w stronę domu. Zygmunt obejrzał się i powiedział: „Idzie za nami". Rzeczywiście, piękna dama szła za nimi krok w krok. Przyspieszyli. Na jezdni zahuczał autobus. Raptem Dziadzia wyrwał się, krzyknął: „Do zobaczenia wieczorem" i wskoczył do autobusu. Z daleka kiwał dłonią. Zygmunt przystanął, zaśmiewając się. Lucjan widział, jak panna Leopard wsiadła do taksówki i pojechała w ślad za autobusem.

— Co to ma znaczyć cała ta komedia, nie wiesz — Zygmuncie?

— Oj, hahaha, to jest rzeczywiście heca pierwszej klasy. Nie, nie pytaj mnie o to — cóż za komiczna historia!

I Lucjan nie pytał. Nie rozmawiali przez całą drogę. Postawili kołnierze palt, by uchronić szyje od płatków śniegu. Lucjana dręczyła gorzka zazdrość. „Dlaczego ona za nim tak gnała? Co ich łączy?" I tak oto szedł z przykro-głupimi myślami. Zastanowił się, czy wstąpić po drodze na obiad, ale zaraz uczuł, że nie będzie mógł jeść. Wstąpili do narożnej knajpy i wypili po szklance piwa. Wyszli. Śnieg padał bezgłośnie, było szaro i ciepło. W milczeniu weszli na górę i jęli otrzepywać śnieg w kuchni. Drzwi od pokoju kobiet były otwarte i Zygmunt zwrócił uwagę Lucjana na brzeżki różowych majtek wyglądającej przez okno Teodozji. W kuchni, na sznurku, wisiały świeżo prane pończochy. Pachniało mydłem, kawą i czadem spod blachy. Lucjan czuł pustkę i zmęczenie. Zajrzał do pokoju. Student spał nad swą książką. Mieciek pisał przy biurku. Za oknami grano na harmonii smutną melodię i męski, przepity głos śpiewał piosenkę o rosyjskim żołnierzu, co stracił rękę na japońskiej wojnie. Zygmunt usiadł w kącie kanapy. Czytał książkę i zajadał chleb z wędliną. Lucjan już leżał. Myśli. „Tak, cała rzecz w tym, że nerwy moje są pozbawione otoczków z tłuszczu, bowiem otoczki te rozpuszczam systematycznie alkoholem. Głupia sprawa. Nerwy pozbawione otoczków, są nagie i wobec tego co chwila następują krótkie spięcia. Bardzo proste". Lucjan dość plastycznie począł wyobrażać swoje nerwy, splątane i suche jak włókno orzecha kokosowego. Lecz dość o tym. Teraz Lucjan zmrużył oczy i myślał, z jakąż rozkoszą spojrzałby na coś zielonego, na duży płat zieloności, obszar łąk lub coś w tym rodzaju. Kilka leniwie pasących się krów pasowałoby do takiego pejzażu, no i lasek jakiś, pas żyta i w dole rzeczka lub strumyk. W lewym szczycie płuc uczuwał niepokojący ból. Obrócił się więc na prawy bok i czas pewien marząc jeszcze — usnął.

Obudził się wieczorem. W drugim pokoju turkotała maszyna do szycia. Godzina ósma. W mieszkaniu była tylko Stukonisowa. Z zatroskaną twarzą, pochylona nad ściegiem, naciskała pedał maszyny. Lucjan przyniósł sobie na biurko szklankę herbaty, wyjął z walizki kilka arkuszy papieru i, paląc papierosa, z ołówkiem w ręku, wolno popijał herbatę.

Zaczął pisać. Zupełnie zatopiony w swej czynności, nie słyszał turkotu maszyny i płaczliwego, pobożnego zawodzenia Stukonisowej. Tam — za oknami — przenikały powietrze trąbki taksówek i metaliczne uderzenia podków końskich o bruk.

O dziesiątej przyszedł student i od razu utopił twarz swoją w lustrze. Wydął nozdrza i usta rozchylił namiętnie. Trwał tak chwilę. Potem przez lustro przemknęło ze dwadzieścia różnych min, kolejno wyrażających ból, rozpacz, radość, rozpasanie, smętek i dumę. Wreszcie student odstawił lustro, pobiegł do kuchni, przez chwilę słychać było dźwięk szkła, potem chlipanie, mlaskanie ustami — znaczy, że jadł. Wrócił do pokoju. Rozebrał się z gorączkowym pośpiechem i, sycząc rozkosznie, wlazł pod koc. Student usnął

z miejsca, tak jak gdyby ze dwa dni oka nie zmrużył. Później Lucjan usłyszał głos Teodozji. Stukonisowa ukończyła swe szycie. Chichotliwe głosy kobiet. Zygmunt wrócił i od razu rozpoczął tak głośną kłótnię z matką, że Lucjan przerwał pracę. Nie wiadomo, o co im właściwie tam poszło, dość że przez kilka minut za ścianą działo się piekło. Raptem, jakby ktoś przekręcił kontakt od elektrycznej maszyny, wszystko ucichło i słychać tylko było pojednawcze szeptanie Zygmunta. Lucjan palił bezmyślnie. Patrzał na studenta, który spał tak słodko, że Lucjana przeszedł dreszcz wstrętu. Wszedł Zygmunt. Stanął z rękoma w kieszeniach spodni przed Lucjanem i zapytał:

— Napiłbyś się wódki?

— Nie.

— Zerżnąłbyś jaką dziewczynę?

— Co za ordynarne świństwa — daj spokój!

— I to nie, i to nie. Wobec tego poczytamy Villona. Czytałem dzisiaj liryków francuskich w przekładzie Staffa[59]. Otóż muszę ci powiedzieć, że Słonimski tak strasznie ściągał z Gautiera[60], zwłaszcza w tym swoim tomiku pod tytułem *Parada*, w *Czarnej wiośnie*, że mnie cholera bierze na bezczelność tego faceta.

— Co ty powiesz! No, może nie ściągał, mógł być wtedy podświadomie pod wpływem. Daj spokój, za bardzo utalentowany gość, żeby ściągał.

— No, zobaczysz, pokażę ci. Mniejsza z tym. Wiesz, że Dziadzia się tutaj sprowadza? Powinien już być.

— Tak? — No, teraz to będzie bałagan.

Zaczynali się właśnie rozbierać, kiedy jakiś łomot rozległ się w kuchni. Gwar i zmieszane głosy. Wygięty jak tyka pod wpływem wiatru, z maleńką walizeczką w ręku i z niskim, bełkocącym coś mężczyzną u boku, stanął na progu, między alkową a pokojem — Dziadzia.

— Żewu pri — zwrócił się do swego towarzysza. Żewu pri, mon ami... gran plezir... mon... — towariszczi[61]. Mili moi... drodzy... kochani... jedyni. Zygmunt i ty Lucjanie... oto największy mój przyjacie... Życie — uważacie — mi uratował. Sztorm. Maszty leżą na pokładzie.. ja mam strz... strz... strzaskaną czaszkę... a on mi... ją tego... uważacie... tego... i życie ratuje... przyjaciel. Hm... pod Cardifem... fordewind...[62] fokmaszt...[63] ster w drzdrzazgi... a ja tego... no?... Czaszka!

Mały mężczyzna z nadmiernie wysokim czołem stał oparty o ścianę i mrucząc coś wpatrywał się załzawionymi oczkami w twarz Lucjana. Prawą ręką manipulował przy spodniach, sprawiając tym przestrach na wysuniętej spod kołdry twarzy rozbudzonego studenta. Zza drzwi wychyliły się — jedna za drugą — głowy zaciekawionych kobiet. Lucjan i Zygmunt siedzieli na kanapie i milcząco przypatrywali się tej scenie. Dziadzia w dalszym ciągu:

— ...No i otóż to właśnie, nieprawdaż?... Idę z rzeczami, aby tu zamieszkać z wami... moi drodzy, kochani, jedyni... a tu patrzę, mój przyjaciel... Francuz... ani dudu po polsku... kapitan marynarki francuskiej... nespa?... ekute... że wu... lublu! Mesje[64]... hm... tak... no?!

Zarówno Lucjan, jak i Zygmunt, nie rozumieli po francusku. Słuchali tylko bredni Dziadzi, patrząc niespokojnie na Francuza, którego zamierzenia prawej ręki już się prawie realizowały. Dziadzia, kiwając się przed lustrem, czesał swoją bródkę. Francuz odwrócił się tyłem do wszystkich i począł się odlewać na piec. Zygmunt się zerwał i podbiegł do niego, ale ten przybrał tak bojową pozycję, że Zygmunt chcąc uniknąć losu pieca, zmuszony był

[59] *liryków francuskich w przekładzie Staffa* — wiersze zawarte w książce *Lirycy francuscy. Wybór poezji od XII do XX wieku* (1924) w opracowaniu Leopolda Staffa. [przypis edytorski]

[60] *Słonimski (…) ściągał z Gautiera* — faktycznie, twórczość poety francuskiego Théophile'a Gautier wywarła wpływ na wczesną poezję Antoniego Słonimskiego. Mowa tu o tomie *Parada* (1920), zawierającym poemat *Czarna wiosna*. [przypis edytorski]

[61] *Je vous prie, mon ami, grand plaisir, mon…* (fr.) — proszę pana, mój przyjacielu, wielka przyjemność, mój... (z ros.) towarzyszu. [przypis edytorski]

[62] *fordewind* — płynąć z wiatrem (określenie żeglarskie). [przypis edytorski]

[63] *fokmaszt* — pierwszy maszt od strony dziobu. [przypis edytorski]

[64] *n'est-ce pas? Ecoutez, je vous… monsieur* (fr.) — nieprawdaż? Proszę posłuchać, ja pana... („kocham" dodane po rosyjsku). [przypis edytorski]

przeczekać czynność gościa. Dziadzia chichotał zjadliwie w kącie pokoju. Francuz zapiął się i patrząc czule w oczy Zygmunta, uśmiechał się niemowlęco.

— Co pan zrobił, w szalecie pan jesteś, czy co — u pioruna!

— Pardą... pardą... że ne kąprą pa ę... polone[65]... ee... pszoł won!

Zygmunt stał nieporadnie. Do pokoju wszedł Mieciek i ponurym spojrzeniem obrzucił obecnych. Zobaczył Francuza i powiedział:

— A co tutaj ten szpicel robi?

— Jaki szpicel — zapytał Zygmunt — co, tyś się też zalał, błaźnie?

— Jak to, jaki szpicel. Przecież to agent polityczny. Sam mnie, s.....syn jeden, prał gumą w defensywie[66]. Pamiętam tę mordę jaszczurczą.

— Zgłupiałeś! Przecież to jakiś kapitan, Francuz, przyjaciel Krabczyńskiego.

— Taki Francuz, jak ty mądry. Co to za kałuża na podłodze?

— To on właśnie zrobił — powiedział student.

— Co? Achże ty pętaku! — Mieciek schwycił rzekomego Francuza za kołnierz i prowadząc go w stronę kuchni, mówił:

— Ty cholero jedna, dziś paskudzisz w moim mieszkaniu, a jutro przyjdziesz robić rewizję. Ty gnido, nuże, ot tak, za mordę wyrzucę, na zbity łeb po schodach. Wont, bydlę!

Słychać było błagalny głos, łomot walącego się ciała, krzyk i trzask drzwi. Mieciek wrócił i zaczął wymyślać Dziadzi:

— Skądżeś się pan tu wziął z tym łachudrą? Do nagłej śmierci, co oni robią z domu! Matka to tylko mnie wymyślać potrafi, a tu takie draństwa znosi. — Do Zygmunta: — Kogo ty tu sprowadzasz do tego domu, co, sam tu jesteś? Już ja tych twoich literatów przepędzę!

— Zamknij pysk, szczeniaku jeden. Głupi gówniarzu, będziesz mi tu gości obrażał. A ty, Dziadzia, skąd wziąłeś tego bydlaka?

— ...Pomyłka... fatalna omyłka... Zdemaskowany, och. Wmówił we mnie... że Francuz... czaszka... sztorm... tak, to nie ten... to inny. O, żadnych wyjaśnień... tragedia o... zarysie metafizycznym... cios w serce... straszne... straszne... wyrzuciliście człowieka... którego tak mało znam... jeszcze się obrazi. Ohyda! — Brr... Idę spać.

Dziadzia poszedł w stronę łóżka i zwalił się na nie. Zygmunt, z medytacją w oczach, wycierał podłogę szmatą na końcu szczotki. Potem rozebrał się i ułożył obok Dziadzi. Mieciek czytał na swej kanapie. Lucjan też już był pod kołdrą. Rozmyślał, jak wszystko, co od kilku dni przeżywa, jest nienormalne i wstrętne, w dodatku pomieszane z odrobiną jakiegoś niezdrowego humoru. Co będzie dalej? Najniespodzianiej w świecie znalazł się w warunkach, których przedtem nie znał. A może przeprowadzić się do ciotki? Było mu duszno i czuł ból w lewym szczycie.

Zgaszono światło. Dziadzia chrapliwie oddychał. Minęło z pół godziny i Lucjan już zasypiał, kiedy nagle w pobliżu rozległ się śmiech tak nieprawdopodobnie przeraźliwy, że Lucjan z biciem serca poderwał się z pościeli. To Zygmunt śmiał się jak szalony, ohydnym jakimś, obłąkańczym chichotem. Lucjan położył się z powrotem. Przez kilka minut Zygmunt dławił się swym śmiechem.

Rozdział IV

Tak więc trzech młodych literatów — ludzi słowa — zamieszkało pod wspólnym dachem. Dziadzia — ten chrystusowo-donkiszotowaty młodzieniec będzie chyba najcenniejszym nabytkiem dla naszych obserwacji psychologicznych. Wczorajszego najścia po pijanemu nie brano mu bardzo za złe. Trochę Stukonisowa — „niezwyczajna tego". Mieciek najbardziej, ale tego nie brano wcale pod uwagę.

Iluż to ich było tutaj? Pięciu. Tak, pięciu młodych mężczyzn, z których ma dopiero coś być. Ci w jednym pokoju z alkową i trzy niewiasty w drugim. Zatem osiem osób w dwóch pokojach, bo alkowę trudno liczyć za coś oddzielnego.

---

[65] *pardon, pardon, je ne comprends pas en polonais* (fr.) — przepraszam, przepraszam, nie rozumiem po polsku. [przypis edytorski]

[66] *defensywa* — tu: komisariat policji politycznej. [przypis edytorski]

Dziadzia zadał szyku. Wstał rano spod boku Zygmunta, nałożywszy na siebie flanelową piżamę koloru *sang boeuf*[67], w kwiaty. Zabrał się ochoczo do tualety. Student z niepokojem w swych okazowych oczach śledził obficie owłosionego człowieka, krzątającego się na linii pokój-kuchnia *via* alkowa, w tak osobliwym stroju. Później student zadał pytanie, które go zrujnowało, jeśli chodzi o stosunki towarzyskie z Dziadzią. Ten golił się. Świetnie zorientowany w rozkładzie mieszkania, był niezwykle ruchliwy, przyśpiewywał, to znów pogwizdywał, tak jednak, by nie obudzić śpiących przyjaciół. Godzina dziesiąta. Mieciek wyszedł gdzieś z samego rana. Student udał, że nie widzi Dziadzi nacierającego sobie ciało wodą kolońską, lecz skoro zobaczył go nakładającego z powrotem piżamę, od tych słów popróbował zawrzeć znajomość:

— Ma pan ciekawy strój.

— E, taki sobie... prosty.

— Czy nie uważa pan, że będą się za panem ludzie na ulicy oglądać? — hehe.

— Ale... skądże! Przecież to rzecz domowa.

— To jakże, założy pan co innego?

— Tak, ubranie, w którym wczoraj tu przyszedłem — mój panie.

Wobec tego student umilkł i zagłębił się w książce. Lucjan i Zygmunt wstali prawie jednocześnie. Poczęli ubierać się, podkpiwając z wczorajszego stanu Dziadzi. Lucjana napadł przykry kaszel, pobudzający do wymiotów. Był to czczy, męczący kaszel, zapierający dech i łechcący gardło. Poszedł do kuchni i wolno popijał wodę, zgrzany i wymęczony. No, wreszcie przeszło. Wszyscy trzej, ubrani, zasiedli do śniadania, nawet Zygmunt, wbrew swemu zwyczajowi jadania przed umyciem rąk. Lucjan zauważył, że Zygmunt wobec Dziadzi bardziej uważał na drobne sprawy życia codziennego i nawet w słowach był bardziej oględny.

— Skądżeś ty wczoraj wytrzasnął tego przykrego bubka, któregośmy wyrzucili za drzwi?

— Wiesz, że nie wiem. Daj spokój.

— Opowiedz nam wreszcie coś ciekawego o swojej podróży — powiedział Lucjan.

— Mili moi, cóż... trudno właściwie coś, tak, opowiedzieć. Dobrze było. W Neapolu siedziałem dwa dni w pace za śpiewanie po pijanemu Dżovinezzy[68]. Faszyści... wiecie. W Casablance piło się świetnie, właściwie wszędzie się piło. Jedno, olbrzymie wspomnienie mam z tej podróży... to morze. Poza tym jakieś tam drobiazgi z życia na statku — głupstwa nieważne. Pamiętam jedną komiczną historię z Maroka. Gdzieś w kawiarni rozmawiałem długo z pewnym szejkiem. Był zagorzałym konserwatystą. Długo opowiadał mi o szkodliwych wpływach cywilizacji, o zgubnym wpływie postępu na Arabów. Był to siwy, z brodą, ale dziarski jeszcze starzec. Zapalczywie starał się przekonać mnie o słuszności swoich wywodów. Pożegnałem go pobłażliwie. Po kilku dniach widziałem go w jakiejś drogerii, jak z powagą wybierał kolorowe prezerwatywy, rozciągając je i wybierając co ładniejsze desenie. W Casablance rozmawiałem z żołnierzami Legii Cudzoziemskiej — Polakami. Wszyscy są w fatalnej sytuacji, tęsknią za krajem, wiedzą o nim wszystko i ze zdziwieniem wysłuchałem kilku ostatnich kawałów o Wieniawie[69]. Niezwykle prześliczne i tanie są burdele w Neapolu. Powiadam wam raz jeszcze, że mało co z tego pamiętam, bo na lądzie zawsze byliśmy pijani do nieprzytomności. Może kiedy, przy okazji przypomnę sobie trochę zabawnych szczegółów. No, a teraz, co wy? Lucjanie, co z twoimi płucami?

— Dość podle. Pół roku siedziałem w Zakopanem, to czułem się jeszcze jako tako. Ale tutaj znowuż jest źle. Gnębi mnie neurastenia i mam wrażenie, że wypływa ona ze złego stanu płuc. Wiedz o tym, że gruźlica w moim wieku jest bardzo niebezpieczna. Przy tym choruję już od dwóch lat, miałem dwa krwotoki. Nie asekurowałbym na długo swego życia. Fatalnie jest ze mną pieniężnie, zresztą zobaczymy, co czas pokaże.

— Nie sugeruj się zbytnio swoją chorobą, to najgorsze. Wyglądasz przecież świetnie i sądzę, że masz odporny organizm. A ty, Zygmuncie, jak żyjesz?

---

[67] *sang boeuf* (fr.) — dosłownie: bycza krew, kolor pąsowy. [przypis edytorski]

[68] *Giovinezza* (wł.) — *Młodość*; tytuł hymnu faszystowskich Włoch. [przypis edytorski]

[69] *Wieniawa-Długoszowski, Bolesław* (1881–1942) — generał, adiutant J. Piłsudskiego, popularny w kręgach cyganerii warszawskiej. [przypis edytorski]

— Ohydnie. Te moje wierszyki już mnie denerwują, tak mało mogę nimi wypowiedzieć. Olaf stara się dla mnie o posadę sekretarza wojewody lubelskiego. Jest tam miejsce wolne i parę dni temu Olaf mówił mi, że sprawa dobrze się zapowiada. Bardzo bym się cieszył, bo wiem, że jestem ciężarem matce, która mało zarabia i dlatego nabrała tylu lokatorów do tych naszych nędznych dwóch pokoi. Warszawa jest wymarzonym miastem dla hodowania neurastenii. Zapijamy się tutaj, bo nudzi nas bezczynność mózgów, których wyjałowienie jest przerażające. Słowem, horoskopy na przyszłość są jak najfatalniejsze. Posiedzisz tu trochę, to się przekonasz, zresztą pół roku temu przeżywałeś to samo. Ta nasza artystyczna młodość jest tak znamiennie powojenna, że naukowcy będą ją obserwować jako przejaw specyficzny tego okresu chorych na przedwczesny uwiąd smarkaczy.

— To samo mniej więcej mówił wczoraj Paczyński — powiedział Lucjan.

— Właśnie, myślałem o tym i doszedłem do przekonania, że miał dużo racji.

— Jednak. Ale, czego ty się tak obrzydliwie śmiałeś wczorajszej nocy?

— Ach, głupstwo, wyobraziłem sobie coś... nie, nic ważnego.

Dziadzia wstał ze słowami: „oj, źle z wami, moi mili". Po czym zabierał się do wyjścia.

— Co, wychodzisz? — zapytał Zygmunt. — Razem może wyjdziemy, i ty też, Lucjanie?

— Nie, mam zamiar trochę pisać. Kiedy wrócicie?

— O jakiejś czwartej. Bywaj zdrów.

I wyszli. Lucjan zabrał się do pracy.

Godziny umykały niepostrzeżenie. Student powoli przewracał kartki swej książki. Lucjan odczuwał już ból w palcu od naciskania ołówka. Było jasno i padał suchy śnieg. Minęła trzecia. Zastukano do drzwi. Student opieszale poszedł otworzyć. Lucjan przerwał pracę i słuchał okrzyków zdziwienia i słów powitania. Głos męski powiedział: „Zaraz, przyniosę walizkę". Po upływie kilku minut dwaj mężczyźni jęli swobodnie gawędzić za ścianą. Lucjan przysłuchiwał się chwilę, ale zaraz wziął się z powrotem do pracy. Za oknem słychać było poszum skrzydeł gołębich i śpiew kuśnierza. Śnieg już nie padał i jeszcze większa jasność rozlała się po pokoju. W pewnej chwili Lucjan uczuł czyjąś obecność za plecami. Obejrzał się i znieruchomiał. Tuż stało widmo średniego wzrostu, niezmiernie chude, o wielkiej głowie i masie spiętrzonych włosów nad czołem. Był to mężczyzna, młody jeszcze chyba, ale jego twarz przeczyła właśnie wszystkiemu, co młode. Sprawiała wrażenie białego woreczka wypełnionego pogruchotanymi kościami. Wszystko tam było nieregularne z iście diabelską matematyką. Na lewym policzku skóra była tak rozpięta, iż zdawać by się mogło, że trzaśnie przy najmniejszym poruszeniu, na prawym zaś zwisała w fałdzie lekko zaróżowionej. Nos był długi, prosty, o nadmiernie rozwiniętych nozdrzach. Czerwieni górnej wargi nie było widać wcale; wąskie pasemko białej, lekko owłosionej skóry; dolna za to była pełna, koloru surowej cielęciny. Cała twarz miała formę trójkąta: szerokie czoło, szpiczasta broda. Tak więc, jegomość ów stał za plecami Lucjana nie wiadomo jak długo, a teraz, gdy ten się obrócił, patrzył wesoło-złośliwymi oczkami, kolejno: na papier, to znów na Lucjana. Był przy tym uprzejmie zgarbiony.

Lucjan początkowo spoglądał na osobnika z prawdziwym przerażeniem, po chwili jednak ochłonął i zapytał:

— Kto pan jest?

— Syn chłopa z okolic Grodna, przy tym student medycyny z czwartego roku — jeśli łaska.

— Nie o to mi chodzi. Skądżeś się pan tu wziął, jak się pan nazywa i dlaczego pan stoisz za moimi plecami?

— Ach, drogi panie! Nazywam się Edward Mokucki, wziąłem się właśnie od rodziców, z okolic Grodna, przyjechałem tu, aby kontynuować studia i mam to szczęście, że będę mieszkał pod wspólnym dachem z panem. Plecy, hm. Miałem zaszczyt być świadkiem odprawiania nabożeństwa twórczości. Nie śmiałem przeszkadzać, a za słaby jestem na to, by nie skorzystać z okazji popatrzenia na to, co jest przywilejem wybrańców Boga. Hehe, wybacz pan to stanie za plecami.

Lucjan wstał i chłodno podał rękę Edwardowi.

— Nazywam się Lucjan Salis, bardzo przepraszam, ale istotnie jestem zajęty.

Był wściekły. Jakiś idiota przerwał mu pracę, zaniepokoił go. Myśli się rozproszyły i nie ma mowy, by dalej coś robić. Schował papier do walizki, zapalił papierosa i zwalił się na łóżko. Ładna historia się tutaj zaczyna. Nie ma co. Pijacy i idioci. Niezły bigos. Ciekaw jestem, jak długo tu wytrzymam. Czy aby...

— Ach, leży pan — rozumiem, obmyśla się. Pozwoli pan, prawda?

Edward usiadł tuż przy Lucjanie, na łóżku. Począł mówić, wpatrując się w niego.

— Jest pan intelektualistą, nieprawdaż? — Bo nie wszyscy literaci są intelektualistami. Otóż opowiem panu pewną historię, dość zabawną, erotyczną sobie opowieść, z której niewątpliwie skorzysta pan w którymś ze swoich utworów. Jakiś rok te...

— Przepraszam bardzo, ale po co pan teraz tu przyjechał, skoro niedługo wakacje?

— Głupstwo. Zda się tylko egzamin. Posłuchaj pan jednak mojej opowieści. Otóż rok temu, pewna panna z naszej wsi, córka geometry — mniejsza z tym zresztą, kto to taki — nawiązała stosunek *par exellence* erotyczny z synem młynarza, zdrowym bykiem o czerwonej twarzy. Była panną, to znaczy niewinną i pozostała nią mimo tych stosunków. To znaczy uprawiali stosunek powierzchowny. Trzeba panu wiedzieć, że panna ta dość dawno mnie już interesowała. Oczywiście w sensie duchowym — prawda. Przyjeżdżam na wieś, do rodziców, na wypoczynek i, hej, na Boga! Śmieszna historia! Dowiaduję się mianowicie, że panna ta zaszła w ciążę. Moja znajoma, akuszerka, powiedziała mi to w zaufaniu, zaznaczając, że niewinność nie została naruszona. Co? Jak dalece nie można być pewnym. Ale niechże pan weźmie to od strony psychologicznej. Panna, córka geometry, z prostym... pojmuje pan... chamem, ha... łotrostwo... synem młynarza. Cóż za perfidia! Dopuszczać do zbliżenia, a mimo to... ha, niewinność. Pojmuje pan ohydę... ohydę tego postępku!! Łotrostwo, młodzi ludzie... ach, panie!

Edward był straszliwie wzburzony. Trząsł się cały i wpatrywał się w Lucjana pałającym wzrokiem.

— No, co pan na to?

— Niechże się pan uspokoi. Co jest z panem? Opowiedział pan historię i sam się pan nią podenerwował. Drobiazg, cóż, to nowość dla pana? Takich historii jest tysiące. Przepraszam pana, idę na obiad.

Lucjan nakładał palto. Edward w milczeniu wziął niedopałek papierosa i stał nieruchomo przy komodzie. Kiedy Lucjan wychodził, rzucił za nim:

— A wyobraź pan sobie, jak oni to czynili, ha? Jak ona musiała uważać, co za premedytacja.

Lucjan trzasnął drzwiami. „A niechże cię cholera trzaśnie, durniu jeden! Dostałem się w towarzystwo, nie ma co. Erotoman jakiś, czy co u diabła. Ot, zaczął gawędę".

Znowuż przykry ból uciskał mu piersi. Z rękoma w kieszeniach palta, szedł Lucjan wdychając przyjemne, mroźne powietrze. Śnieg grudami przylepił mu się do obcasów i czynił kroki niezdarnymi. Wobec tego wsiadł do dorożki. A, wszystko jedno, i tak mam mało pieniędzy. Kazał się wieźć do „Picadilly", porządnej żydowskiej restauracji na ulicy Bielańskiej. Czuł apetyt na ostrą potrawę. Wysiadł. Zajął miejsce w mrocznym kąciku. Polecił przynieść sobie duży kieliszek wódki i porcję karpia na zimno. Wypił i jadł szybko. Teraz dopiero uczuł głód. Po barszczu ze śmietaną zamówił tłusty szponder. Po raz pierwszy od kilku dni czuł się tak dobrze, było mu prawie wesoło. Wypił jeszcze kufel piwa, zapalił papierosa i zamówił kawę. Siedział tak tu, ze swoimi myślami, które były nawet dość nieprzyzwoite. Ot, myślał o pannie Leopard. „Gdyby. Ale nie ma mowy. U diabła, co widzi w Dziadzi. Ha, może twarz starego okultysty działa na nią. Współczesna Maria z Magdali. Zatem kieliszek czegoś do kawy. A Teodozja proste, ale interesujące dziewczę. Jak też, tam, tego. Zabawne, gdybym jej nie widział wtedy, rano, może bym nie zwrócił nawet uwagi, a tak, proszę, zaprząta mi ciągle umysł. Mój Boże, jestem może nic nie wart, żadna wartościowa jednostka społeczna, pomylony młody człowiek, ale skoro już żyję, to mam chyba prawo korzystać z tego, co życie daje. Samo istnienie moje daje mi już wiele praw. Przy tym jestem ubogi i chory. Skoro więc coś zdobędę, to już będzie zasługą. Czegóż więc chcę? Panny Leopard, Teodozji. Proszę bardzo, próbuj! Sławy? Masz talent, będziesz miał i sławę, nie masz go — będziesz przez całe życie włóczykijem. Ale przede wszystkim pracuj. Ach, wszystko bzdura".

Zapłacił i wyszedł. Dzwonki sań mile łaskotały mu uszy. Lekko oszołomiony, z głową pełną przyjemnych myśli, szedł spacerem w stronę domu. Za rogiem Hipotecznej ujrzał parę świetnych łydek. Czyżby. Pośpieszył kroku i zrównał się z kobietą. Tak, panna Leopard. Bezczelna, szaleńcza odwaga.

— Pani... proszę pani.

Przystanęła i spokojnie spojrzała na jego jasną, zażenowaną twarz.

— Proszę, pan chce mi coś powiedzieć?

— Tak... to jest nie... a raczej, jestem przyjacielem Stasia Krabczyńskiego, nawet razem mieszkamy...

Stała przy nim, trochę pochylona, jak głuchawy profesor wysłuchujący prośby ucznia. Czekała cierpliwie, aż się wypowie.

Odetchnął głęboko. Czuł się jak kiedyś, kiedy miał lat piętnaście i zaczepiał pensjonarki w Łazienkach. Wysilił się jednak na spokojny ton głosu.

— Bo widzi pani, idę sam. Jest mi dość dobrze na duszy. Wiem, że pani zna Stasia, a przy tym znam panią z widzenia, z „Ziemiańskiej". Tak. Czemuż nie moglibyśmy pogawędzić trochę. Ot, zamienić słów kilka.

Uśmiechnęła się pobłażliwie. Szli razem.

— No tak, zamieńmy więc te parę słów, skoro jest to panu potrzebne. Jest pan poetą?

— Nie, wierszy nie piszę, próbuję prozy. Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę z panią mówić. Dawno o tym marzyłem. Bo od dość dawna kocham panią tkliwie i szczerze. A mówię to dlatego, ponieważ wiem, że jestem i pozostanę dla pani obojętnym i nie obawiam się, że wbiję panią w dumę moim oświadczeniem. Jest to moja sprawa. Przyjemnie jest mi zawiadomić panią o tym. Jestem więc zupełnie normalnie zakochany w pani, wypełnia pani wiele myśli mojego życia i tak mało spodziewam się od pani, że całe moje uczucie wchodzi w strefę marzeń, a marzenia zazwyczaj są przyjemne. Prawda?

— Tak. Jakże pan ma na imię? Lucjan! Panie Lucjanie, bardzo się cieszę, że taki młody, ładny chłopiec kocha mnie. Że nie znając mnie, podszedł do mnie na ulicy i oświadczył mi to. Niemniej jednak niech pan pójdzie do domu i położy się, dobrze będzie, jeśli się pan prześpi. Trzeba panu wstawać z samego rana, bardzo wcześnie, brać zimny tusz[70] i przez dwie godziny spacerować. Potem pracować. Koniecznie musi się pan wziąć za jakieś studia lub w ogóle systematyczną pracę. To, co mi pan powiedział jest piękne, ale niezdrowe. Nie jest pan człowiekiem naszej epoki. Jeśli będzie pan pamiętał o tym, to proszę powiedzieć panu Stasiowi, że bardzo pragnę go widzieć i żeby zadzwonił do mnie. Ja już tutaj skręcam. Żegnam pana.

I poszła. „Haha!! Miło jej jest, że on ją kocha! Ten ton. Tusz, spacery. Bydlę, bydlę, głupia, nędzna dziwka. Postąpiła ze mną jak ze smarkaczem, głupim, bezczelnym smarkaczem. A, niech tam! Już mnie nie będzie dręczyła myśl o tobie, panno Leopard. Poznałem cię. A może masz rację. Kto wiedzieć może. Głupstwo. Hurra! Precz. Czym skończy się to wszystko?"

Długo szarpał klamkę drzwi. Otworzyła mu je Teodozja. Miała potargane włosy i różową twarz.

— Ale walił pan. Ja spałam.

Stała na progu, a lekka sukienka obciskała jej pełne kształty. Prócz niej nikogo nie było w domu. Lucjan wszedł do pokoju, zdjął palto. Stał przed oknem i patrzył na mrokiem objęte podwórko. Zegar dźwięczał w ciszy. Z lewą ręką w kieszeni marynarki, Lucjan stał i palił papierosa. W głowie kotłowały się myśli, jak gromada niesfornych dzieci. Tak, dzisiaj mam dzień rzeczy ważnych. No, dalej więc, czego tu się namyślać.

Zaciągnął się kłębem dymu i wszedł do pokoju Teodozji. Leżała na wznak, z rękoma podłożonymi pod sploty swych rudych włosów. Zapytała:

— Śnieg pada?

— Nie, nie pada. Wyspała się pani?

— Aha. Całą noc miałam dyżur w szpitalu.

Cisza.

— Pozwoli pani usiąść obok siebie, na łóżku?

— Tak jakby nie było gdzie indziej miejsca. Siadaj pan.

[70] *tusz* — tu: prysznic. [przypis edytorski]

Wcisnął papierosa w ziemię doniczki. Usiadł obok niej i położył drżące ręce na jej piersiach.

— No, tylko z łapami z daleka. Od Miećka się pan naumiał.

Ale nie starała się tych rąk usunąć. Wobec tego, Lucjan ułożył się obok niej, objął kark i począł chciwie całować jej pełne, krwiste usta.

Już nic nie mówiła. Objęła go również, obróciła się na bok i przytuliła do swego ciepłego przez sukienkę ciała. Oddawała mu pocałunki gorącymi, szeroko otwartymi, wilgotnymi ustami. Jej oddech miał zdrowy, młody zapach. Półprzytomna, nie hamowała ręki Lucjana. Gładził ją po nagich, aksamitnie miękkich lędźwiach. Uścisnął pełną ręką wypukły pagórek jej łona i ze skowytem wsunął się między wzniesione do góry kolana. Natrafił na miękki, delikatny opór, potem wszedł w nią dygocąc cały i trwał tak, poruszając się, a jej dłonie przyciskały go za biodra. Stało się. Rozkosznie zmęczony, nakrywał ją sobą, z głową wtuloną między piersi. Było już ciemno i dziewczyna gładziła jego głowę. Potem poderwała się gwałtownie, wysunęła się z jego objęć, usiadła na łóżku i poczęła łkać cicho. Zapalił światło i zbliżył się do niej. Na zmiętej pościeli czerwieniło się kilka plamek. Przerażony, począł wypytywać:

— Słuchaj, proszę cię, powiedz... to ty nigdy przedtem? Nigdy nie miałaś nic wspólnego z mężczyzną?

Kiwnęła głową i płakała dalej. Ale zaraz przytuliła się znów do niego i poczęła szeptać:

— To nic, ja sama jestem winna. Tak bardzo mi się chciało, a nie było z kim. Wszystko to takie chamstwo. Ty jeden jesteś taki grzeczny, dobry. Już mi wszystko jedno, nie mogłam się powstrzymać. Już ja zrobię, że nic nie będzie. Tylko się nie martw. Leż tu przy mnie, ty mój kochany draniu.

I oddała mu się raz jeszcze.

Potem przyszedł Dziadzia. Lucjan, leżąc na swoim łóżku, udał, że śpi. Dziadzia zdjął marynarkę, nałożył swą flanelową kurtkę i wyciągnął się na łóżku. W ciszy wieczornej, słychać było pykanie jego fajeczki. Lucjan, przyjemnie znużony, rozpamiętywał szczegóły dnia. Za oknami, padając na szyby, szemrały płatki śniegu. Upłynęła godzina. Do pokoju wpadł Zygmunt z okrzykami:

— Wyjeżdżam, wyjeżdżam! Już, gotowe! Jutro po południu. Sekretarz pana wojewody, nie byle co. Skończy się wreszcie ta cała komedia z łażeniem bez grosza. Do diabła, jestem doprawdy zadowolony.

I usiadł z rozjaśnioną miną, wykrzykując co chwila.

Dziadzia podniósł się i począł wypytywać Zygmunta o szczegóły. Lucjan rzucił ze swego łóżka:

— Panna Leopard prosiła, abyś do niej zadzwonił.

— A to dobre. Skądże ty ją znasz?

— Oho, dawno już. Tylko milczałem, miałem coś w tym.

— Dziwne. Nie mam tam po co dzwonić. Cała sprawa jest jasna.

— Cóż jasnego jest w tej sprawie?

— Ot, głupstwo. Miły mój, przy okazji kiedyś to ci objaśnię. Widzisz, Zygmunt wyjeżdża.

Dziadzia znów zajął się rozmową z Zygmuntem. Lucjan przypomniał sobie całą historię z panną Leopard i dopiero teraz uświadomił sobie, w jak głupiej był sytuacji. Obok usiadł ktoś z serdecznym westchnieniem.

Jest to Edward. Ma tajemniczą minę. Mówi:

— Nawiązując do tego, co to panu opowiadałem dzisiaj, to wiem, a wiem na pewno, że w Ameryce na przykład, tego rodzaju wypadki są na porządku dziennym. Są to tak zwane „półdziewice".

Lucjan obrzuca natręta nienawistnym wzrokiem.

— Jaka jest pańska specjalność?

— Psychiatria. Rozumie pan więc, że... interesują mnie te sprawy.

— Ależ panie, są to sprawy erotyczne, które mają w ogóle mało wspólnego z psychologią. Interesuje pana to, co jest zupełnie normalne i uważam, że nie warto o tym mówić. Uprzedzam pana, że mnie te rzeczy bardzo mało obchodzą i nie będzie pan miał żadnej pociechy z dyskusji ze mną.

Do alkowy zajrzała Teodozja i roześmiała się. Edward wykrzyknął:

— Wynoś się, małpo jedna! Tu nie twoje miejsce!

Lucjan porwał się.

— Co to?! Panie, jak pan się wyraża! Z jakiej racji pan krzyczy na nią?

— Co jest, do cholery ciężkiej! Przecież to moja siostra. Jest tu pod moją opieką czy nie?

Lucjan zdębiał. Jak to, więc to jest siostra tego potwora. Wiadomość ta przeraziła go prawie. Powiedział:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że jest to pańska siostra. Uważam jednak, że zelżył pan ją niesłusznie. Nic złego nie zrobiła, zajrzała tylko i uśmiechnęła się.

— Zostaw pan mnie to. Ona będzie tak zaglądała, aż wreszcie zajrzy tak, że ja będę musiał bić faceta po mordzie, żeby się z nią ożenił. Dziękuję panu.

Zygmunt podszedł do nich i powiedział energicznie:

— Przestańcie się kłócić w przeddzień mego wyjazdu. Ciebie, Edward, już tu diabli przynieśli, ledwie przyjechałeś, już zaczynasz swoje awantury. Idź no tam do pokoju, a ty Lucjanie wstawaj, zrobimy sobie pożegnalny wieczór. Wstańże z tego wyrka. Dziadzia też idzie.

— Nie, wybacz mi, ale nie mam chęci nigdzie się ruszać. Mamy czas pożegnać się jeszcze jutro, wyjeżdżasz przecież po południu. Będziecie pić, a ja dzisiaj spasuję. Zresztą Lublin nie jest tak daleko i na pewno co jakiś czas przyjedziesz. Daj spokój, naprawdę nie mogę.

— Świństwo. Nie chcesz spędzić ostatniego wieczoru z przyjacielem. Trudno, nie będę cię namawiał. Dziadzia, jesteś gotów?

Wyszli. Lucjan zapalił świecę, postawił ją na krześle obok łóżka, rozebrał się i położył. Czytał świeżo wydaną książkę Parandowskiego, *Król życia*[71].

W pokoju Edward rozstawiał swoje żelazne łóżko obok polowego — studenta. Mieciek czytał jakąś broszurkę. Stukonisowa krzątała się, wycierając kurze. Potem przyszedł student i uradowany Edward taką rozpoczął z nim gawędę:

— Panie Józiu, co pan masz taką głupią minę?

— Bo patrzę na pana — odpowiada spokojnie Józef.

— Dziwi pana moja inteligentna twarz.

— Przestań pan, przestań. Zejdź pan ze mnie.

Edward triumfuje i z werwą zapala papierosa. Rozbiera się, siada w kalesonach na łóżku i zaczyna:

— Panie Józefie, mam pana w d...e, co pan na to?

Student zdejmuje z siebie odzież i ma ponurą twarz. Milczy.

Edward znów:

— Dlaczegoś pan taki głupi, wytłumacz mi pan to.

— Zamknij pan swą krzywą mordę.

— Nie o to chodzi. Cała rzecz w tym, dlaczegoś pan taki głupi i skąd pan doszedł do tego, że ja mam pana w d...e. To właśnie interesuje mnie najbardziej.

— Tralala.

— Gdybyś pan był człowiekiem honoru, zażądałbyś ode mnie satysfakcji.

— Gwiżdżę na pańską gadaninę. Mam pana za idiotę i słów pańskich nie biorę poważnie.

— Wobec tego oświadczam panu, że pierwszego lepszego dnia dostanie pan ode mnie w pysk.

— Widzę, że panu życie zbrzydło. Kompletny idiota. Panu się sperma rzuciła na mózg, to jasne.

Teraz Edward począł krzyczeć, pieniąc się z wściekłości.

— Milcz pan, milcz! Bo za daleko się posuwasz, ty bydlę przeklęte. Co ci do mojej spermy, ty jołopie! Ani słowa... ani słowa, bo jestem bardzo zdenerwowany i kto wie, co może się stać dzisiejszego wieczora. Och, ty grzdylu, ty chamie... chamie... ty...

Student leżał na łóżku i pogwizdywał. Edward sprawiał wrażenie obłąkanego; trząsł się cały i z ust wyrzucał masy nietrzymających się sensu zdań.

[71] *Król życia* — książka biograficzna o Oscarze Wildzie autorstwa Jana Parandowskiego ukazała się w roku 1930. [przypis edytorski]

Lucjan wstał i poszedł do pokoju.

— Panowie, co wy wyprawiacie, na miłość Boską! Czy tu jest dom obłąkanych? Jak można, takie awantury po nocach. Panie Edwardzie, co się panu stało? No, przecież to jest okropne. Co jest z wami?

Student wstał, kiwnął na Lucjana i obaj poszli do kuchni.

— Niech pan nie zwraca na to uwagi. On tak udaje. Chce pokazać, że ma przewrażliwiony umysł nadmierną kulturą. To nałogowy morfinista i onanizuje się w dodatku. Bardzo często prowokuje mnie i potem się awanturuje. Nie ma czym się przejmować.

— Dobrze, ale tu nie można wytrzymać. On nie jest tu sam.

— Kładź się pan spać. Przyzwyczaj się pan do takich awantur.

Wrócili do pokoju. Edward najspokojniej w świecie obcinał sobie paznokcie u nóg. Miał minę, jakby nic nie zaszło.

Już nic nie mówiono i student zgasił światło. Po chwili wszyscy spali.

Nazajutrz rano, skoro Lucjan obudził się, do nosa wdarł mu się zapach chłopskiego potu, kożucha i sera. Rozejrzał się. W pokoju krzątał się chłopak o pucołowatej twarzy, krępy, w swetrze w kratę. Na podłodze leżały toboły, sznury i pogniecione papiery. Gość rozmawiał z Miećkiem i odwijał z gazetowego papieru jajka. A któż to jest znowu, pomyślał Lucjan i w milczeniu śledził ruchy osobnika. Później wstał Zygmunt i wesoło przywitał się z gościem.

— A, Bednarczyk przyjechał, patrzcie państwo. Co, już po wojsku? Będziesz dalej studiował, co?

— Aha. Będę dalej studiował. Zwolnili mnie kilka dni temu, ale byłem na wsi i przywiozłem sobie trochę żywności. Macie dużo lokatorów?

— Tak, jest tego dość. Czekaj, później z tobą pogadam. Lucek, wstałeś już?

Zygmunt, nieubrany jeszcze, siada obok Lucjana na łóżku. Opowiada, że nieciekawie spędził wieczór z Dziadzią, że nic nie pili.

— Słuchaj, co to za facet? To jakiś wieśniak, zasmrodził mieszkanie.

— Bardzo porządny chłop, tylko fujara. Student prawa. Syn bogatych gospodarzy wiejskich, zobaczysz jego matkę, przyjeżdża tu często. Nazywa się Władysław Bednarczyk. Mieszka u nas od paru lat, tylko teraz był w wojsku. Wstawaj!

Lucjan wstał, a w ślad za nim poszedł i Dziadzia. W pokoju krzątanina. Student wykłóca się z Miećkiem o pierwszeństwo do miednicy. Edward klnie na czym świat stoi, oto przerwało mu się sznurowadło, a ponieważ już kilka razy było sztukowane, więc trudno jest tam zmieścić jeszcze jeden węzełek. Lucjan opowiada Zygmuntowi o wczorajszej awanturze, ale ten macha lekceważąco ręką i opowiada Bednarczykowi historię swego wyjazdu. Kobiety poszły do swych zajęć. Pokój jaśnieje od wspaniałej pogody, od słońca i bieli śniegu. Dziadzia jest niepocieszony. Zgubił skarpetkę. „Do cholery, gdzie może być ta skarpetka, wczoraj włożyłem czystą parę i ani mi się śni brać dzisiaj nową. Zresztą zdaje mi się, że nawet nie mam czystej pary". I chodzi zatroskany, klnąc wszystkimi wyrazami świata. Bednarczyk przygotował swoje wiejskie śniadanie i wszystkich częstuje. Jest tam wielki bochen razowego chleba, ser, jajka, masło, wędliny. Na tę wędlinę Bednarczyk powiada, że jest domowa, z własnego wieprza. Siedmiu chłopa obsiadło stół i objadają Bednarczyka, który wydaje się z tego być rad. Lucjan zwraca się do swych przyjaciół:

— Jestem dzisiaj dziwnie wesół, sam nie wiem doprawdy z jakiej przyczyny.

— Prawda. I ja też. W takiej chwili nawet łajno jest piękne, tylko zależy, gdzie leży — powiada Zygmunt.

— No, tak dalece to chyba nie. — I Dziadzia, stary esteta, kręci nosem.

Bednarczyk opowiada o wojsku. Jemu było dobrze, miał rangę kaprala w podchorążówce i pracował w kancelarii. Zdaje się, że jest wyleczony ze swej choroby.

Zygmunt tłumaczy Lucjanowi, że Bednarczyk miał dawniej bzika na punkcie gruźlicy płuc. Ciągle mierzył gorączkę, spluwał i pił litrami herbatę. Ciekaw jestem, czy wyszedł z tego.

— Ach, płuca. — Lucjan czuje się ostatnio doprawdy źle. Dzisiaj nieco lepiej, ale w ogóle ma bóle i gorączki nie mierzy jedynie dlatego, że boi się dowiedzieć o jej istnieniu. Podła rzecz płuca, choroba powoli, lecz systematycznie drąży organizm.

Bednarczyk wie coś o tym. Ale dzięki Bogu, wojskowy tryb życia wypędził z jego organizmu wszelkie bakcyle.

— A byłem ciężko chory, mój panie.

Ukończyli śniadanie i część mężczyzn rozeszła się. Mieciek i student wyszli razem. Edward pisał list. Zaś reszta rozsiadła się na kanapie i poczęli gawędzić o wszystkim. Dziadzia rozgadał się i mówił o swych podróżach. Dla Bednarczyka była to nowość nie byle jaka. Rozmawia z prawdziwym marynarzem i to w dodatku z człowiekiem, który napisał książkę.

Tak więc, po południu wyjechał Zygmunt na swą nową posadę. Obiecał pisać często i przyjeżdżać ze dwa razy w miesiącu. Po jego odjeździe Dziadzia powiedział:

— Co będzie dalej?

Ale Lucjan nie znalazł na to odpowiedzi. Przyszłość przedstawiała się źle.

Rozdział V

Jest niedziela. Wszyscy, za wyjątkiem Lucjana i Dziadzi, są już ubrani lub ubierają się. Ci dwaj dosypiają późne położenie się. Ponieważ kobiety nie poszły do swych zajęć, więc w mieszkaniu jest rozgardiasz i dochodzi do różnych nieporozumień. Panna Felicja na przykład, chciałaby wreszcie umyć się porządnie, coś więcej jak twarz, ale jest to niemożliwe; nie ma czym zamknąć drzwi, a pukanie nie jest w zwyczaju u współlokatorów tego mieszkania. Tedy Felicja bierze się na sposób. Powiada wielkim głosem: „Nie wchodźcie do kuchni, bo będę się myła". Wszyscy to słyszą. Felicja zamyka się w kuchni na klamki i opiera o drzwi do swego pokoju wielką deskę do prasowania, zaś o drugie, od alkowy, opiera sprytnie urządzoną barykadę ze szczotek, krzeseł i mokrych gałganów. Po czym rozbiera się do naga i ochoczo włazi do balii z wodą. Starzy mieszkańcy znają metody panny Felicji i nie próbują przeszkadzać Felicji w obrządku czystości. Czyż ma jednak wiedzieć o jej strategicznych posunięciach nieszczęsny Dziadzia? Wstaje oto z łóżka powodowany nagłą potrzebą, nakłada w pośpiechu swą flanelową piżamę i rześko otwiera drzwi od kuchni. I wali się na nieszczęśnika szereg przedmiotów: szczotka delikatnie muska mu twarz, mokra płachta otula mu głowę, a krzesło i taboret paraliżuje ruchy. Naga Felicja z krzykiem wyskakuje z balii, Dziadzia traci swą powagę i zupełnie oszołomiony drze się wniebogłosy. Rozbudzony Lucjan przychodzi mu z pomocą, wszyscy wyją ze śmiechu, a oburzony Dziadzia z trzaskiem zamyka za sobą drzwi ustępu. Niedomyta Felicja klnie, jak tylko potrafi. Stukonisowa i Teodozja uspakajają ją, a studenci w pokracznym tańcu duszą się ze śmiechu. Wreszcie mija wrażenie incydentu, bowiem na widownię wypływa taka oto rozmowa między matką a synem:

— Mieciek, mówię ci, umyj nogi, bo jak pamiętam, to już dwa tygodnie nie myłeś.

— Co matka tam pamięta, dwa tygodnie, a już! Matka sobie zapisuje?

— Zapisuje czy nie zapisuje, ale umyj kulasy chociaż raz przy niedzieli.

— Nie umyję, w d...e mam, będę się chlapał nie wiadomo po jaką cholerę!

— Skarpetki się przez to niszczą. Mówię ci po dobroci, umyj te brudne giry.

— G...o, niech się matka odczepi. Ani mi się śni!

— Żebyś wiedział, łajdaku jeden, że śniadania nie dostaniesz.

— Gwiżdżę na matki śniadanie. Szykany zasrane.

Stukonisowa pragnie jednak za wszelką cenę postawić na swoim. Dyplomatycznie i łagodnie.

— No, synku, nie bądź taki, bo aż mi wstyd przed wszystkimi. Chodź, naleję ci ciepłej wody.

— O rany boskie! Matka się uparła. Zachcianki jakieś. Gdzie ta woda?

I z boleśnie wykrzywioną twarzą Mieciek zabiera się do mycia nóg.

Dziadzia wychodzi z ustępu, ponuro spogląda wokół i z godnością poczyna nacierać się wodą kolońską. Mieciek z zazdrością spogląda na proste załatwienie kwestii nóg. Dziadzia pokropił je wodą, roztarł, i sprawa załatwiona. Lucjan, ubrany, czyściutki, jadł śniadanie i czytał „Strzelca". Pismo to abonował Mieciek tak, jak zresztą wszystkie, bez różnicy tendencji politycznych. Przysyłano mu je i nie wiadomo, kto płacił za te sterty tygodników. Student siedzi przed lustrem, a Bednarczyk uczy się, pragnie w ciągu lata nadrobić rok zmarnowany w wojsku. Edward podchodzi do studenta z liliową kopertą w ręku.

— Popatrz pan, panie Józefie, jaki liścik dostałem od dziewczynki, jak pachnie.

— Idiotka jakaś — odzywa się zza ściany Teodozja.

— Mogłabyś — cholero jedna — trochę grzeczniej się wyrazić, jak ci się nie podoba. Ty chamico.

Student lekceważąco ujmuje w dwa palce kopertę, przytyka do nosa i powiada:

— Pachnie — łojem.

Edward z gromem w oczach, wyrywa kopertę z rąk studenta i odchodzi ze słowami:

— Z chat kurnych wyszliście, z obór i gnoju i wrócicie tam wykolejeni nauką, bowiem kultura jest dostępna dla umysłów subtelnych.

Pozycja społeczna, Szkoła, Chłop, Obyczaje, Walka klas

— Mówi jak Żeromski albo inny prorok. Panie hrabio, racz pan być dla nas nieco względnym, oświeć nas, prostaków, ty, coś z niebotycznych zamków wyszedł, z komnat i makat drogocennych, i wrócisz tam koleją, ogłupiały obcowaniem z nami. — Mieciek powiedział to na odchodnym, bowiem akurat wychodził.

Edward pogardliwie trzaska drzwiami i wchodzi do pokoju kobiet.

Dziadzia mruczy:

— Psiakrew, co tu robić. Niedziela, wypadałoby gdzie iść, ale gdzie? Chyba do „Małej"; pójdziesz, Lucjanie?

— Nie, zupełnie nie mam chęci wychodzić z domu.

Rzeczywiście, Lucjan nie chciał przerywać spokoju, który odczuwał w to niedzielne przedpołudnie. Było mu dobrze, przeglądał sobie pisma, wymyślające jedno na drugie, palił papierosy i popijał herbatę. Kobiety wyszły do kościoła, Edward pisał w drugim pokoju, a ci dwaj uczyli się. Dziadzia wyszedł sam. Lucjan usiadł wygodnie przy biurku. Czytał oto wiersze jakiegoś Szczapieja i z przykrością zastanawiał się nad brakiem sensu w wąskich, podle rymowanych strofach. W szufladce biurka Zygmunt umieścił książeczki wszystkich swoich kolegów. Był więc wybór, maleńkie tomiki początkujących poetów. Oto świetne, o europejskim poziomie i smaku, wiersze Gałczyńskiego. Podłe i w naiwny sposób gloryfikujące proletariat — wiersze Wolicy. Zawiłe i nielogiczne tasiemce Piechala[72]. Mądre i spokojne strofy Sebyły. Efekciarskie poemaciki Maliszewskiego[73]. Komiczne w swej prostocie i braku inteligencji, sielskie poezje Słobodnika. I wreszcie doskonała, zimna i skoncentrowana proza Flukowskiego. Rzeczy te znał Lucjan od dawna, teraz jednak w ciszy i cieple, przeglądając te utwory, oceniał jasno ich wartość. Za oknami padały krople topniejącego śniegu, mizerne słońce świeciło przez brudne szyby, nie było turkotu wozów i zwykłego, codziennego gwaru. Student wstał, ziewnął szeroko i przeciągnął się.

— Co tu robić, co tu robić — mówił zdławionym przez ziewanie głosem.

Podszedł do Lucjana i popatrzył na rozłożone przed nim książki. Student sprawiał dzisiaj wrażenie prawie że sympatyczne i nie drażnił Lucjana swoim wyglądem. Wyjąkał, wskazując na tomy poezji:

— Co to komu przyjdzie z tych bazgrot, szkoda tylko papieru.

— Trudno, są rzeczy tak dobre, że pokrywają brak wartości innych.

— U nas w miasteczku jeden pisarz od rejenta napisał książkę, nie mógł się potem nigdzie pokazać, bo wszyscy go wyśmiewali. Taki ci był twórca.

— W jakim miasteczku?

— W Rosi, na kresach, jest tam cudowny obraz Matki Boskiej.

— Czym się zajmuje pański ojciec?

— Gajowy.

— Gajowy, przyjemne zajęcie.

— Diabła tam przyjemne. Ojciec jest stale narażony na utratę życia. W zeszłym roku zabił jednego kłusownika, a drugiego ciężko ranił. To dobrze, że on utłucze czasem takiego drania, ale jak oni jego?

— A pan się agronomii poświęcił?

Pozycja społeczna, Chłop, Syn, Nauka

— Tak, właściwie leśnictwu. Nie mam wielkich pretensji, po ukończeniu chciałbym dostać jakąś dobrą posadę i siedzieć na niej.

Do rozmowy wtrącił się Bednarczyk.

[72] *Piechal, Marian* (1905–1989) — poeta związany z Kwadrygą i łódzką grupą Meteor. Chodzić tu może o jego tomy poezji: *Krzyk z miasta* (1929) i *Elegie całopalne* (1931). [przypis edytorski]

[73] *Maliszewski, Aleksander* (1901–1978) — poeta kręgu Kwadrygi; wydał m.in. *Czarna Beatrycze* (1929). Czasy i ludzi opisanych we *Wspólnym pokoju* wspominał w książce *U brzegu mojej Wisły* (1964). [przypis edytorski]

— To źle, że tak skromnie myśli pan o przyszłości, panie Józefie. My, synowie prostych i biednych ludzi powinniśmy starać się piąć jak najwyżej. Skoro już sami głodują i łożą pieniądze na nasze wykształcenie, naszym obowiązkiem jest wykorzystać wszelkie możliwości aż do ostatecznych granic. Powinniśmy osiągnąć wysokie stanowiska w społeczeństwie, aby nagrodzić nędzę tylu pokoleń. Tylko synowie zamożnych i wykształconych rodziców mogą poprzestać na byle czym.

Edward wyszedł z drugiego pokoju i zaczął mówić głośno:

— Mówi pan same brednie. Nie bierze pan pod uwagę różnic czysto naturalnych. Czy zdajecie sobie sprawę z tego faktu, że mózgi wasze są zupełnie inne od mózgów synów kulturalnych rodziców? Bierzmy rzecz jak najrealniej, po prostu u was jest inne unerwienie, zupełnie inny system orientacji. Macie zupełnie inaczej zbudowane tam w głowie to, co jest istotą inteligencji. Musicie pocić się, męczyć zanim pojmiecie to, co pierwszy lepszy panek zgryzie jak porzeczkę, jedynie dzięki inteligencji swoich rodziców, dziadków i tak dalej. Możecie mieć wrodzoną inteligencję, ale nie macie mózgu zbudowanego do pojmowania subtelnych spraw nauki.

— Ale my mamy zdrowe mózgi — powiedział Bednarczyk.

— Ach, panie, panie, powiedział pan teraz rzecz straszną, straszną! Zdrowy mózg, okropność, czyż była kiedyś inteligencja zdrową? Właśnie, właśnie, otóż o to chodzi, że macie mózgi równie zdrowe jak ciała. W tym rzecz. Zdrowy mózg (fe, jakże fatalnie to brzmi) to prostactwo, a prostactwo to brak inteligencji. Właśnie, że te wasze zdrowe mózgi pasują do waszego prostego i zdrowego, wiejskiego życia. Wy nigdy nic nie pojmiecie. I dlatego podoba mi się skromność pana Józefa, wykuje się, wymusi, tego, co mu potrzebne będzie do lepszego życia i kwita. A pan, panie Bednarczyk, wprost przeciwnie, pan się wykolei, zmarnieje i wreszcie zostanie urzędnikiem za dwieście pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Zamiast być tym, do czego pana nakłania prawo dynastii rolnika, wspaniałość dziedziczności, pan wlazł na inną drogę i na niej pan kark skręci. Panu Józefowi wolno, nie jest synem rolnika, on właśnie raczej winien mieć pańskie aspiracje. Tak. Sam...

— Mówisz pan złośliwe rzeczy. Ja sam doskonale czuję, że skończę moje prawo, zostanę adwokatem i całym moim dążeniem będzie być wybitnym adwokatem. Nie wstrzymam się przed żadnym wysiłkiem, by dojść do jak największego stanowiska. Pan mówisz brednie, nie będę panu wyliczał legionu nazwisk, które wyszły z niskiego stanu, a stały się wielkimi w dziejach historii. A czymże pan jesteś w końcu, skąd panu o tym mówić?

— Właśnie, zacząłem mówić, lecz pan mi przerwał. Za chwilę powiem panu, nie czym, ale kim jestem. Lecz przedtem: prawo. Ukończy pan prawo. Czy pan wie, co to jest prawo, właśnie prawo! Prawo Rzymian, prawo Cezarów! Czy zdajesz pan sobie sprawę z tego, że ma kilkanaście wieków kultury, że prawo ma za sobą rasę wysokiej marki. I to prawo chcesz pan przejąć swoim prostackim umysłem, podejść jego tajemnice i na jego grzbiecie wysunąć się na wielkie stanowisko. Hola, stop, to nie tak, to nie tędy!! Tu potrzebna jest orientacja, która jest synonimem inteligencji. Dość. A teraz o mnie. Czy sądzicie, panowie, że to, co teraz powiem, będzie wyznaniem? Gdybym powiedział, że mam długi nos lub krótki oddech, byłoby to samo. Otóż nie jestem synem chłopów. Wprawdzie moja matka była prostą dziewuchą wiejską, bezsprzecznie jednak twierdzę, że dziecko przejmuje od rodziców to, co jest wartościowsze, to znaczy, że nie chodzi tu o dobro lub zło, lecz o pewną ogólną wartość, w tym wypadku o inteligencję. Mój ojciec był arystokratą, człowiekiem o wielkiej kulturze umysłu i równie wielkim jego zdegenerowaniu. Tak więc, jestem owocem kilkudziesięciu poruszeń dwojga ciał ludzkich gdzieś w życie lub stodole, poczętym z ukorzenia się prostactwa przed kulturą. Mój ojciec, ten oficjalny, prosty parobas ożenił się dla majątku z dziewuchą, która była w trzecim miesiącu ciąży. W taki oto sposób jestem synem wieśniaków z okolic Grodna i bratem tęgiej dziewuchy, co się teraz modli w swej bezbrzeżnej głupocie w jakimś kościele i bije pokłony przed bałwanami z gliny lub drzewa różnych panów świętych Antonich, Mateuszów czy Piotrów. Tu jest właśnie moja katastrofa. Ja nigdy niczym nie będę i nie mam żadnych tam fantazji na temat przyszłości. Kultura mego ojca i ograniczenie mojej matki wytworzyły w moim umyśle mętlik nie do opisania. Kryję w sobie wysokie wartości ojca i prostactwa mojej matki w sprawach małej wagi. Popełniam tysiące głupstw i nie-

Seks, Dziecko, Pozycja społeczna, Mizoginia

taktów, jestem często ordynarny, a przy tym mam wspaniale wyhodowaną neurastenię i skłonność do marzycielstwa oraz rozpusty. Przepraszam.

Edward przez cały czas mówił, patrząc w oczy Lucjana. Teraz zapalił papierosa i ciągnął dalej. Był spokojny i głos jego miał nawet dość przyjemne brzmienie.

— Mam więc wady i przykre cechy charakteru. Jestem czasem niepoczytalny w swojej popędliwości. Takim ja jestem. Pan, panie Bednarczyk, jest karierowiczem o chłopskim sprycie i pożądaniu rzeczy drobnych. Jeszcze raz powiadam panu, że nie zajdzie pan daleko. Pan Józef dotrze do tego, do czego zmierza: będzie prowadził spokojny tryb życia i utrzymywał proste, ordynarne stosunki z kobietą, z którą się ożeni. A ja jestem właśnie taki: psychopata drgający boleśnie na granicach nizin i poziomu. Przed chwilą mówiłem o mojej siostrze i o kościele. Dziwnym jest to, potępiam uczucia religijne i ubóstwo intelektu, to jest prostactwo. Ni to komunista, ni arystokrata. Owszem, pod pewnymi względami jestem arystokratą ducha. Jestem bowiem za rozumny na to, aby dać się omamić, dość zresztą sprytnie zorganizowanej polityce religii, jednocześnie zbyt szanuję wartość umysłu ludzkiego, aby wziąć się na lep problematycznej idei równości i braterstwa. Nie mogę być równym człowiekowi, którego natura nie dość zaopatrzyła w odpowiednią ilość płatów i włókien unerwienia w mózgu. Nie znoszę głupoty i gardzę nią. Sprawy zaś socjalne, bieda i tym podobne, są to rzeczy uboczne, zbyt materialne, a przez to samo i ordynarne, abym się nimi zajmował. Jak długo ludzkość istnieć będzie, zawsze będzie większość ubóstwa, a w tym i jego siła, a co za tym idzie i walka ciągnąca się w nieskończoność. Jeszcze jedna ze sztuczek natury, abyśmy mieli się czym zająć. Popatrzmy tedy na Miećka. Kretyn, głuptak, przesączony wstrętną idejką, która dogadza jego pozycji socjalnej i instynktom. Swojej niewiary nie przemacerował rozumem, przeciwnie, wierzyłby może, ale idejka każe bluźnić i nie znać Boga, trza jednak rżnąć burżujów i kwita. Zwyczajny, masowy bandytyzm: przywłaszczanie cudzej własności. Ponieważ jest to bandytyzm masowy, więc zrabowane mienie rozdziela się między masy i tu jest właśnie ten płaszczyk altruizmu z wetkniętym w klapę kwiatkiem fanatyzmu ideologicznego. Śmieszne i tak głupie, że aż wstyd się śmiać. Tego Miećka wolę jednak od pana, panie Bednarczyk. Ordynarne bydlę, które oddało się jednak sprawie, przemyślanej przez setki wybitnych umysłów, będącej przedmiotem ciągłych sporów, sprawie, która może mu dać korzyści nie tylko materialne, ale i duchowe. Bo przecież jest to jego idea i nią żyje. Pan co chce? Wybić się? Wybije się pan d..ą o ścianę.

Chichocząc głupawo, Edward odchodzi i trzaska za sobą drzwiami. Dwaj studenci są zupełnie oszołomieni jego impertynencją. Nawet nie próbują komentować jego wywodów. Ale Lucjan jest zadowolony, wysłuchał bowiem wielu sprytnie skonstruowanych bzdur.

W południe wszyscy mieszkańcy byli w domu. Stukonisowa zaprosiła Lucjana na obiad. Nie chciało mu się wychodzić, podziękował więc i przyjął. O tej porze mieszkanie sprawiało wrażenie jadłodajni, brzęczały naczynia, a gwar rozmów łączył się z zapachem jadła. Dziesięć osób jadło obiad, z tych kilka cieszyło się świętem. Dziesięć dni upłynęło od wyjazdu Zygmunta. W środę przysłał kartę, pełną entuzjastycznych słów dla swego zajęcia. Stukonisowa wspomniała o synu i zaraz rozmowa przybrała obrót na jego temat. Oto młody chłopiec objął zaszczytne stanowisko, matka była z tego dumna, a lokatorzy tę dumę podsycali. Mieciek ponuro utkwił oczy w talerzu i jadł łapczywie. Życie brata nigdy nie było po jego myśli. Lucjan patrzał na Teodozję, a ona odpowiadała mu wzrokiem pełnym ognia i oddania. Myśleli oboje o możliwości zostania sam na sam po południu. Ukończono obiad i Stukonisowa wraz z Felicją wyszły z wizytą do krewnych. Bednarczyk ze studentem mieli pójść do kina, ale to dopiero później. Wszyscy się ułożyli na łóżkach i zapanowała niedzielna, poobiednia cisza. Przyszedł Dziadzia, cichutko zdjął buty i marynarkę, zmienił to na flanelową kurtkę i pantofle, po czym ułożył się na swym łóżku, kopcąc w mroku fajeczkę. Lucjan usiadł obok niego.

— No i cóż, jak ci się tu żyje?

— Znośnie, tylko hołota straszna.

— Tak. I ja też to myślę. Zupełnie niespodzianie znalazłem się między ludźmi, którym podobnych nigdy przedtem nie znałem. Jestem jakby oszołomiony i ciągle spodziewam się czegoś nowego. Dzisiaj na przykład, kiedy ciebie nie było, Edward palnął taką reprymendę

obu studentom, że dziwię się ich spokojowi. Po prostu naobrażał ich od samego spodu, wszystko wygarnął. Jest to jakiś bardzo skomplikowany anarchista.

— W każdym bądź razie nie zatrzymam się tu długo. Lada dzień jadę do Gdańska i stamtąd na morze. Czekam tylko na pewne wiadomości.

— Zazdroszczę ci z całej duszy. Psiakrew, człowiek musi tkwić w tym ponurym mieście, bez nadziei na lepszą przyszłość. Jestem zupełnie zrezygnowany i pełen jak najgorszych przeczuć.

— Tak, to prawda. Warszawa może zniszczyć energię. Morze ma w sobie... Co to?

Z drugiego pokoju rozległo się głośne plaśnięcie i płacz kobiecy. Ochrypły, drżący od zwierzęcej złości głos Edwarda przerwał ciszę.

— Krnąbrna krowo, jak dam jeszcze raz w pysk, to będziesz mnie słuchała. Pierzesz czy nie?

— Nie mogę, za nic nie mogę. Dzisiaj niedziela, jutro mogę, ale dziś nie.

Lucjan wbiegł do pokoju i zapytał:

— Co tu takiego się dzieje, za co pan bije tę nieszczęsną dziewczynę?

— Musi mi wyprać skarpetki, lenistwo jej przeszkadza, a nie niedziela. Zresztą, co to pana obchodzi?

— Nie zniosę, aby pan maltretował ją, mimo że to pańska siostra. Proszę w tej chwili dać jej spokój!

Edward podszedł do Teodozji i wymierzył jej tęgi policzek, potem zwrócił się do Lucjana ze słowami: „Oto jak pomogła pańska interwencja".

Zwinięta w pięść ręka Lucjana opadła ciężko na lewą stronę twarzy Edwarda. Zachwiał się, obrócił i pobiegł do kredensu. Wyjął z szufladki spiczasty nóż, ale zaraz potem otrzymał jeszcze jedno uderzenie pod brodę. Upadł. Lucjan włożył nóż z powrotem do szuflady. Powiedział spokojnie do starającego się podnieść Edwarda:

— Jeśli się jeszcze raz coś podobnego zdarzy, otrzyma pan wiele więcej.

Teodozja płakała w kącie między szafą a ścianą. Studenci wychylili przerażone twarze przez drzwi. Edward wstał i powiedział z pompą i nieszczerze:

— To część matki odezwała się we mnie. Przypomniał mi pan honor, dziękuję. A ciebie, Todziu, przepraszam. Wybacz, zostałem słusznie ukarany.

Po czym ułożył się z gracją na łóżku, oparł obcas prawej nogi na wzniesionym kolanie lewej i zapalił papierosa. Do studentów powiedział:

— Ukryjcie swe tępe twarze w książkach, widzieliście bowiem już, jak nikczemnego ukarał szlachetny. Precz mi z oczu!

Teodozja była tak przestraszona, że zdobywała się tylko na coraz większy płacz. Płakała jednak zdrowo i głośno, bez odrobiny histerii.

Lucjan wrócił do Dziadzi.

— Dałeś mu?

— Słyszałeś przecie.

— No, to kładź się obok mnie, pogadamy.

Lucjan położył się, przypalił papierosa od fajeczki Dziadzi. O całym zajściu zapomniał, bowiem w tej chwili myśli jego zajęła panna Leopard. Leży oto obok człowieka, którego ona kocha, tak, kocha niewątpliwie, a w każdym bądź razie jest nim zainteresowana. Zakochanego zajmuje wszystko, co tyczy umiłowanego przezeń obiektu. Toteż Lucjan czuł pewne wzruszenie i przemyśliwał, jakby tu rozpocząć rozmowę na temat panny Leopard.

— Dzwoniłeś do tej damy?

— Nie. Po co?

— Prosiła o to. Widać ma do ciebie jakiś interes.

— Znam ja ten interes. Widzę, Lucjanie, że cię ta kobieta bardzo interesuje. Pluń na nią. Jest przewrotna i złośliwa. Posłuchaj, co ja z nią miałem.

Dziadzia chwilę milczał, a potem zaczął:

— Parę lat temu, jak mi się dobrze powodziło, miałem trochę lepsze nazwisko, więcej pieniędzy i lekkomyślności aniżeli teraz, zobaczyłem ją kiedyś w „Kresach"[74], kawiarni

[74] *Kresy* — popularna kawiarnia, w której spotykali się młodzi literaci z kręgu Kwadrygi. Mieściła się u zbiegu Nowego Światu i Wareckiej; istniała do końca lat 20. XX wieku. Saliński (powieściowy Dziadzia) opisał ten lokal w książce *Warszawski long-play* (1966). [przypis edytorski]

artystycznej, coś *à la* „Ziemiańska". Ty tego jeszcze nie znałeś. Była ona trochę brzydsza niż teraz, ale mimo to interesująca. Podobała mi się bardzo, poznałem ją wkrótce przez jednego z kolegów i zaczęliśmy się spotykać. Zupełnie zidiociałem. Zachowywałem się jak szczeniak, robiłem tysiące głupstw, a ona mnie lekceważyła. Słowem historia, jakich tysiące znajdziesz w życiu i wszystkich literaturach całego świata. Cała sprawa ciągnęła się kilka miesięcy. Ona była zupełnie samotna, bez rodziców, utrzymywała ją bogata babka, zresztą bardzo miła i kulturalna kobieta. Podróżowaliśmy we dwoje, byliśmy we Włoszech, ponieważ ojciec jej był Włochem i zaciągnęła mnie tam. Brr, jakiż bałwan był ze mnie wtedy. Nic między nami nie było, a ja szalałem. Wróciliśmy do Warszawy. Znów to samo: żale, tęsknoty i sceny zazdrości z mojej strony. Możesz sobie wyobrazić: ja i zazdrość. Lubiła sławę i popularność. Przyczepiała się do pierwszego z brzegu durnia, o którym się trochę mówiło. Koniec końców zachorowałem do tego stopnia, że się jej oświadczyłem, no, i owszem zgodziła się, ale pod tym warunkiem, że nie będzie między nami żadnej fizjologii, ponieważ ona kocha mnie w sensie metafizycznym. Tak powiedziała. Ano, dobrze, zgadzam się. Byłem przecież na progu szpitala dla obłąkanych. Za trzy tygodnie miał być ślub. Któregoś wieczora miał się odbyć taki wieczór artystyczny z wódką, wiesz, jak to zwykle. Dnia tego, po południu, spotkaliśmy się, żeby kupić trochę drobiazgów. Szliśmy właśnie Kruczą, kiedy przyszło mi na myśl, żeby w jakikolwiek sposób zemścić się za jej lekceważenie. Powiedziałem jej, żeby poczekała kilka minut, że wstąpię na chwilę do znajomych, że mam interes. Poszedłem po prostu do burdelu, załatwiłem się z jakąś dziewczynką i po dziesięciu minutach wziąłem moją narzeczoną czule pod rękę i przytuleni poszliśmy dalej. Wieczór odbył się u takiego poety, co już nie żyje, Pecla. Wszyscyśmy się strasznie popili, było z dziesięć osób. Około drugiej w nocy poszedłem do kuchni, aby zagrzać wody na grog[75] i zastałem tam moją ukochaną, siedzącą na oknie, z wdzięcznie uniesioną sukieneczką, przed nią klęczał Pecl, z głową wtuloną między jej gołe uda. Jej mina tak mnie rozśmieszyła, że przez pół godziny ryczałem jak wariat. Potem poszedłem do domu. Chorowałem przez kilka dni. Potem wyjechałem. Wróciłem. No, i kochałem się w tej k...e w dalszym ciągu, nie utrzymując oczywiście żadnych z nią stosunków. Kiedyś, tak mniej więcej jak teraz, tylko sam, leżałem u siebie na tapczanie. Było mroczno i ciepło. Drzemałem. W pewnej chwili przyszła panna Leopard, położyła się obok mnie i leżeliśmy tak z pół godziny w strasznym zakłopotaniu. Nie mówiliśmy ani słowa. Nie widzieliśmy się od tamtego wieczora. Wreszcie znudziło mi się to leżenie, załatwiłem się z nią i jako oznakę wzruszenia, włożyłem jej do torebki dwadzieścia złotych. Potem powiedziałem, żeby wyszła. Pieniądze wzięła, wyszła i tu właściwie kończy się cała historia. Potem starała się nawiązać dawne stosunki, ale unikałem jej jak zarazy. No, i unikam do tej pory. Po cóż więc mam dzwonić. Nie rób głupiej i zrozpaczonej miny, bo ci z tym bardzo nie do twarzy. Opowiedziałem ci tę historię dla twego dobra, bo, co tu gadać, widzę, żeś się w tej małpie zakochał. Jest teraz piękna, wyniosła, to prawda, obraca się w towarzystwie, które ci pewnie imponuje, ale jesteś młody, zdolny i winieneś mieć ważniejsze sprawy na uwadze. Przykro ci, ale trudno.

Zrobił się mrok. Studenci wyszli do kina. Edward kaszlał w swoim pokoju. Teodozja nuciła smutną piosenkę. Co się właściwie stało? Jest smutno, po rynnach ciecze woda, ot, zwyczajne, ponure, niedzielne, zimowe popołudnie, wczesny wieczór. Jest cisza. Ale serce Lucjana bije tak silnie, ból jest tak straszny, że aż pozbawia nerwy sił na jego wybuch. Zawlókł się na swoje łóżko i trwał jak kłoda, w tężcu rozpaczy. Straszliwa żałość sparaliżowała myśl. „Co mi jest, co mnie to wszystko obchodzi, przecież jest mi zupełnie obca, zupełnie obca. Wszystko składa się na to, aby ją znienawidzić. Chociażby wtedy, na ulicy. Zakpiła przecież ze mnie bezlitośnie". Począł płakać bezgłośnie, tylko łzy lały się ciurkiem na poduszkę. Zakalec rozpaczy, całe to nagromadzenie psychicznego jadu, z wolna zaczęło mięknąć, rozpływać się i wreszcie tylko wielkie osłabienie i pustka pozostały w Lucjanie.

Zbliżył się Dziadzia.

— Wybecz się, a potem pójdziemy na wódkę.

„Wybeczał" się wreszcie, wstał podświadomie szczęśliwy ze swego utrapienia. Było mu lekko. Ileż to lat nie płakał? Z pięć chyba.

Dziadzia jakby odgadywał jego myśli.

[75] *grog* — alkoholowy napój podawany na gorąco z dodatkiem cytryny. [przypis edytorski]

— Nie płakałeś dawno, co? Lepiej ci teraz. Tak, i to jest potrzebne.

W zawstydzeniu, obmywał Lucjan opuchnięte powieki. Z tamtą, jakby się coś urwało, pękło i odleciało.

Dziadzia czesał swą bródkę przed lustrem i mówił:

— Pójdziemy gdzieś i popijemy. To będzie niezłe wyjście z tej niedzielnej sytuacji. Mam dzisiaj ochotę na wódkę. Nie piliśmy razem z pół roku, prawda, Lucjanie? No, chodź, popraw sobie krawat i chodź.

Trotuary były śliskie i pokryte grubą warstwą rozpaćkanego brudnego śniegu. Wilgotne płatki bezustannie spływały z nieba. Mimo niepogody, na ulicach było ruchliwie i opatuleni przechodnie starali się utrzymać równowagę na śliskich trotuarach. Z góry padało mętne oświetlenie i widać było wirujące płatki śniegu przy migotliwym świetle latarni. Była przenikliwa, marcowa plucha.

Przez Plac Piłsudskiego maszerowali przygarbieni żołnierze do kina. Ręce mieli schowane w rękawy płaszczy, a twarze ich wyrażały radość oczekiwania rozrywki. Półnagi posąg Poniatowskiego dumnie tkwił w zaśnieżonej atmosferze. W tyle błękitniały języki znicza na Mogile Nieznanego Żołnierza.

— Pójdziemy chyba do „Herbsta", na Moniuszki — powiedział Dziadzia.

— Dobrze, ale możemy po drodze wstąpić do „Małej". Dawno już tam nie byłem.

— Możemy, jeśli chcesz.

Weszli do pustej prawie kawiarni. Niedzielna nuda wyrażała się w bezmyślnie zapatrzonych twarzach kelnerów. Zaledwie kilka stolików było zajętych przez stałych bywalców. Lucjan dojrzał w kącie sali swego przyjaciela, Michała Bove, doskonałego tłumacza włoskiej i hiszpańskiej literatury[76]. Siedział z żoną. Kiwnął przyjaźnie ręką w stronę Lucjana. Obaj podeszli do małżeństwa i Lucjan przedstawił im Dziadzię. Uściśnięto sobie dłonie. Bove uprzejmie odezwał się do Dziadzi:

— Znam pana już od kilku lat, z widzenia i ze słyszenia. Zdaje się, że ostatnio odbył pan wielką podróż?

— Tak, pół roku nie było mnie w kraju. — I Dziadzia począł opowiadać, gdzie był.

Bove miał nieforemną, zniszczoną twarz o spłaszczonym nosie i małych, chytrych oczkach. Był to zdolny, wykształcony człowiek, któremu ostatnio dobrze się powodziło, lecz mimo to wiecznie był zgorzkniały i kogo tylko spotkał, natychmiast roztaczał przed nim swe żale. Najprzykrzejszą jednak cechą jego charakteru, było niesłychane plotkarstwo i zawiść. Toteż mimo powagi jego prac, starsi pisarze unikali go, wobec czego Bove zaprzyjaźnił się z młodymi, tłumacząc to sympatią dla ich idei i postępu. Zależnie jednak od okoliczności, zarówno na jednych, jak i na drugich, wylewał kubły nienawiści i wzgardy. Jedyną jego zaletą było poczucie humoru i groteski. Żona Bove[77] była jakby dopełnieniem charakteru męża. Brzydka, chuda, o małpiej złośliwości w twarzy, starała się w towarzystwie okazać swą inteligencję, co często kompromitowało naprawdę kulturalnego Bove. Zazwyczaj źle dobierała obce wyrazy i określenia, przy czym kpiła z ludzi, których mało znała. Robiła to w sposób ordynarny i nieumiejętnie złośliwy. Lucjan poznał to małżeństwo w Zakopanem. Bawiła go perfidia Bove i prostactwo jego żony. Nie angażując się zbytnio, wypił nawet z Bove na „ty" i dalej wysłuchiwał pobłażliwie jego plotek. Żonę traktował wyniośle i grzecznie.

Dziadzia kończył właśnie opowiadać jakiś epizod ze swej podróży, gdy nagle dama przerwała mu:

— Czy tę bródkę nosi pan dla celów donżuańskich?

Uprzejmy i delikatny Dziadzia odpowiedział:

— Nie, pani, nie mam w tym żadnych celów. Jest to moja drobna i zdaje się nieszkodliwa słabostka.

— No, bo myślałam.

Lucjan zatuszował:

---

[76] *Michał Bove* — pierwowzorem tej postaci był Edward Boyé (1897–1943), tłumacz klasyki włoskiej i hiszpańskiej. Uhonorowany nagrodą Pen Clubu (1936); redaktor „Pro Arte et Studio"; autor reportaży z Hiszpanii *Rajd po czerwonym półwyspie* (1931) oraz artykułów na temat hiszpańskiej wojny domowej (1937-1938) na łamach lewicowej prasy polskiej. [przypis edytorski]

[77] *Żona Bove* — Wanda Odolska z domu Skrzypiciel (1909-1972), dziennikarka. W okresie stalinizmu prowadziła propagandową audycję Fala 49. [przypis edytorski]

— Co tu wiele gadać, my chcemy iść na wódkę. Może się razem wybierzemy?

Bove zwrócił się do żony:

— Lunia, co ty na to?

— Można iść, tylko żeby nie było żadnej rozpusty z naszej strony, a wyzysku ze strony knajpiarzy.

— Zatem płaćmy za kawę i idziemy — powiedział wesoło Lucjan.

Na ulicy Bove wziął Lucjana pod rękę i powiedział:

— Bardzo dobrze, żeście przyszli. Nudziliśmy się strasznie. Tylko ten Krabczyński taki niesympatyczny. Napisał jakąś książczynę o morzu, nowelki jakieś głupawe. Ta jego bródka, nie, nie podoba mi się.

— O ile widziałem i słyszałem, to parę minut temu byłeś dla niego niezmiernie uprzejmy. Kiedy opowiadał, byłeś cały w słuch zamieniony.

— Ale gdzie tam, zdaje ci się. On jest taki jakiś ascetyczny. To musi być fałszywy jegomość. Gdzie idziemy, do „Herbsta"? Dobrze. Flukowski wydał jakąś podłą książkę. Brednie.

— Czytałeś?

— Nie, ale domyślam się.

— Książka jest doskonała. Dziadzia, co tak śpieszysz, jak wielbłąd na Sacharze, który poczuje wodę, a przy tym i pani nie może nadążyć za tobą.

— Aha, już ci się na żarty zbiera. Przeszło. No, dobrze.

Weszli do restauracji, zdjęli palta i zasiedli przy stoliku w małej salce. Zamówili wódkę i kanapki. Żonie Bove zażądało się jednak flaków.

— Nie ma flaków, dziś niedziela — odpowiedział kelner.

— Jak to, w restauracji może nie być flaków? Przyzwyczajona jestem w domu jeść zawsze w niedzielę flaki. Muszą być flaki.

— Co dom, to nie lokal publiczny, proszę szanownej pani, niestety, nie mogę służyć.

— Jak pan śmie mówić, że lokal publiczny to nie dom. To porównanie obraża mnie, jest pan ordynarny.

— Ależ, Luciu!

— Nie miałem zamiaru szanownej pani obrazić.

— Nie, widziałam to po pańskich oczach. Michał, w tej chwili wychodzimy stąd, w tej chwili. Ale panowie znają lokale, nie ma co. Straszne.

Nie pomogły perswazje. Pani Bove była przekonana, że ją rozmyślnie obrażono i wszyscy musieli ubrać z powrotem palta, aby wyjść. Na ulicy poczęto się naradzać, gdzie pójść.

— Nigdzie nie pójdę, nie jestem usposobiona. Michał, idziemy do domu.

Dała się wreszcie uprosić przez męża, aby wejść na krótko „Pod Wiechę[78]". Zaczęli pić i gawędzić, bez żadnych już przeszkód pani Bove.

Po kilku kieliszkach, Bove zaczął opowiadać po raz tysiączny może w życiu, historię ze swoim wydawcą.

— Wyobraźcie sobie, że zapłacił mi wszystko co do grosza, a teraz powiada mi, że nie może na razie wydać, żebym poczekał z pół roku. I jeszcze mnie przeprasza. No, czyż to nie jest łotrostwo?

— Bo ty zawsze oddajesz swe dzieła w nieodpowiednie ręce — wtrąciła dama.

Dziadzia jednak nie zgodził się z tym rozumowaniem.

— O ile wiem, jest to wydawnictwo bardzo duże. Jedna książka, jak pan powiada, będzie kosztować około czterdziestu złotych. Wydawca zapłacił panu pełne honorarium. Więc jeśli prosi pana teraz o zwłokę w wydaniu tej rzeczy, to uważam, że powinien pan poczekać. Zresztą on ma prawo zwlekać do trzech lat.

— Skąd pan jest tak wtajemniczony w te sprawy, skąd pan wie, ile lat, wszystko to po tej jednej książce? — Pani Bove uśmiechnęła się szyderczo.

— Można nie mieć nic wspólnego z literaturą i wiedzieć to, droga pani. Cóż tutaj ma do rzeczy moja książka. Zresztą głupstwo. Lucjanie, napełnijno kieliszki.

Bove żalił się jeszcze chwilę, potem jednak przeszedł w stan zaczepny i swoim zwyczajem począł szkalować znajomych. Lucjan przerwał wesoło:

[78] *Pod Wiechą* — elegancka warszawska restauracja z barem przy ulicy Sienkiewicza. [przypis edytorski]

— Drogi Michale, dajmy spokój naszym bliźnim. Twoje zdrowie. Doskonale. Dlaczego pani tak ponuro patrzy przed siebie? Dość dawno przecież żeśmy się nie widzieli.

— Od czasu, jak pan ciągał mojego męża po knajpach.

— Właśnie. Zatem, Michale, pijemy za pomyślność ciągania cię po knajpach. Dziadzia, jest mi bardzo dobrze.

Pani Bove mimo złego usposobienia, piła tęgo. Zadawała Dziadzi setki kłopotliwych pytań, na które ten odpowiadał grzecznie lub też uśmiechał się łagodnie. Wreszcie odczuła niewrażliwość młodzieńców na swe perfidie i pogrążyła się w medytacji.

Na sali było pusto, na podium smutnie sterczały krzesła muzyków. Gdzieś z końca, zza filarów, słychać było śmiechy niewidocznych gości. Dziadzia wzruszony zwierzeniami Bove zaproponował, aby jeszcze coś wypić. Podano drugą butelkę wódki i jakieś gorące dania. Rozmarzony Lucjan wstał, aby się przejść trochę po sali. Minął filary i raptem stanął w pełnym świetle, na progu drugiej, małej salki. Przy dwóch zestawionych stołach siedziało z dziesięć osób. Towarzystwo było w większości męskie, dwie tylko kobiety siedziały na pluszowej kanapce, roześmiane i piękne.

— Ach, oto mój młody adorator! — Panna Leopard wykrzyknęła te słowa i podeszła do osłupiałego Lucjana.

— Proszę, jak pani może mówić głośno o tym! Jest to sprawa delikatna. Po cóż pani w ogóle wstała i stawia mnie w przykrym położeniu?

— Pocałujże mnie lepiej, zamiast ględzić. Kochasz, tak?

— Niechże pani da spokój, na miłość Boską, jesteśmy przecież na oczach wszystkich. Co się z panią dzieje?

Panna Leopard, trzymając pąsowego ze wstydu Lucjana za rękę, odwróciła się w stronę całego towarzystwa:

— Oto jest młodzieniec, o którym wam opowiadałam. Patrzcie, tam na ulicy odważnie mówił, że mnie kocha, a teraz nie chce mnie pocałować i stoi tak zastrachany, jak chłopczyk schwytany na paleniu papierosów. Co wy na to?

Lucjan czuł się strasznie. Kilku spośród przyglądających mu się mężczyzn znał z widzenia. Byli to znani pisarze i krytycy. Patrzyli na niego wesoło, a on stał odrętwiały, wyglądając wprost żałośnie.

— Chodźcie więc tutaj, miłośnicy. Stoicie jak na scenie — powiedział jeden z mężczyzn.

Panna Leopard pociągnęła za sobą energicznie Lucjana. Był półprzytomny, usiadł ciężko na krześle. Nie mógł się na nic zdecydować.

— Jest mi niewymownie przykro, że jest tak nieobyty, popatrzcie jednak, twarz ma przecież inteligentną.

Lucjan oprzytomniał nagle. Chwycił szklankę i wypił trochę wody sodowej. Rozejrzał się wokół. Było jasno, siedział przy jednym stole z ludźmi o zaniepokojonych twarzach. Nieco dalej widniał drwiący uśmiech kelnera. Odwrócił głowę w stronę panny Leopard i powiedział wolno i dobitnie:

— Bydlę.

Wstał i wrócił do swego stolika. Dziadzia, różowy i wesół, wymachiwał rękoma.

— Lucjanie, jesteś blady, co u licha, dawno nie piłeś?

— Nie, drobiazg. Owszem, chętnie się jeszcze napiję.

Po kwadransie, świetny humor udzielił się i Lucjanowi. Nie myślał już o incydencie w małej salce. Bove właśnie recytował sonety Aretina[79], w swoim tłumaczeniu. Pani Bove wydłużyła w zażenowaniu swą kozią twarz, co jej nie przeszkadzało patrzeć czule na Dziadzię. Wszyscy byli ostro podchmieleni. Dziadzia w pewnej chwili wykrzyknął:

— A może by tak do „Fukiera"?[80]

Zgodzono się natychmiast. Dziadzia zapłacił rachunek, natomiast Bove ofiarował się płacić u „Fukiera". Wsiedli do taksówki i pojechali na Stare Miasto. Wprowadzono ich do niewielkiego, oddzielnego pokoju, gdzie stały wielkie miedziane dzbany, a ściany obwieszone były starymi sztychami. Bove polecił przynieść dwie butelki słodkiego tyrolskiego

[79] *Aretino, Pietro* (1492–1556) — włoski komediopisarz, autor dialogów, sonetów i poematów religijnych. [przypis edytorski]

[80] *U Fukiera* — słynna warszawska winiarnia na Rynku Starego Miasta, o tradycji sięgającej XVII wieku. [przypis edytorski]

wina oraz migdałów w soli. Dama sprzeczała się z Dziadzią, czy się mówi „proszę pani" czy też „proszę panią". W końcu zniecierpliwiony Dziadzia powiedział, że nie ważne jest, jak się mówi, tylko co się mówi. Na co znów wtrącił Bove, że piękna mowa to rzecz główna. W końcu przyniesiono wino i rozmowa przeszła na inny temat. Dziadzia wstał i wzniósł toast:

— Piję zdrowie kustosza Muzeum Brytyjskiego w Londynie.

Wypito. Lucjan rzekł smętnie, patrząc na portret Goethego:

— Pocz-ciwiec.

Bove twierdził uparcie, że nie było na świecie lepszego pisarza nad Cervantesa. A Lope de Vega, Bandello i w ogóle inni, sami najgenialniejsi. Dlatego ich przyswajam językowi polskiemu. Hę.

— Tak, teraz tak. Powiedz mi, Lucjanie, co ty właściwie o mnie myślisz?

Raptem pani Bove zaczęła szlochać. Stało się to po wypiciu trzeciego kieliszka wina.

— Co ci jest, Luciu?

— Ach, bo przypomniało mi się, jakżeś to w zeszłym roku uciekł ode mnie do Poznania.

Bove zaczął mówić przytłumionym od wstydu głosem:

— Ależ, Luciu, co ci przyszło do głowy. Rok już upłynął, w towarzystwie, pana Krabczyńskiego prawie nie znasz. Napij się wina.

Lucia się wina napiła, ale mówiła dalej przez łzy:

— Bo to, proszę panów... uciekł ode mnie w biały dzień i trzy dni go nie było, a potem...

— Ech, dajcie spokój! — wykrzyknął Lucjan. — Nie ma sensu wysłuchiwać zeszłorocznych bredni. Co nas obchodzą wasze tajemnice? Posuń się, Dziadzia, będę leżał na ławce i wył. Dziadzia, zatańcz nago.

— Dobrze, później. Naciśnij guziczek od dzwonka, niech nam przyniesie jeszcze tego wina. No, mili! — jak tam samopoczucie?

— Dobrze — odpowiedział Bove. — Tylko moja Lucusia coś ma smutną minkę.

— Bo tylko znęcasz się nade mną całe życie. Psa mi ciągle bijesz w domu.

— Bo ten twój pies to też ohydne bydlę.

— Milcz!

— Co ja mam milczeć. Ohydne bydlę i kwita.

— Tak, tak, ohyd... nee bydlęę... i kwita — przyśpiewywał Lucjan.

— Jeśli ohydne bydlę, to trzeba go otruć. Znam nawet sposób — dodał Dziadzia.

Pani Bove dostała spazmów. Krzyczała:

— Michał, Michał, w tej chwili od tych ordynusów, w tej chwili, do domu, ale kompania, nie ma co. Już. Och, nikczemnicy!

Bove zdążył się tylko pożegnać i zostawić pieniądze na rachunek. Dwaj młodzieńcy zostali sami.

— Cholera nagła — wyrzekał Dziadzia. — Zmarnowaliśmy tylko wieczór. Skąd ty znasz tę małpią parę? On jeszcze znośny, ale ona! Wariatka jakaś. Pijmy.

— Bardzo cię przepraszam, akurat żeśmy się spotkali. Teraz jesteśmy sami.

— Jak najlepiej. Postąpiłeś dzisiaj bardzo odważnie, opowiadając mi tę historię o pannie Leopard. Popełniłeś przykrą niedyskrecję, dla uratowania mnie od zgubnego uczucia.

— Tak, od zgubnego uczucia. Pijmy. A wiesz, że ja to wszystko wymyśliłem, unikam zaś tej panny dlatego, że winien jej jestem kilkaset złotych, które wyłudziłem od niej na pewne kombinacje. To cudowna kobieta, warta jak największej miłości i poświęcenia. Pijmy. Kochaj ją, chociaż może beznadziejnie, ale ta miłość da ci dużo. Tak, widzisz, ot co.

— Kłamiesz, kłamiesz jak pies! Ach, ty łgarzu, mówiłeś prawdę. Przekonałem się dzisiaj, bo postąpiła ze mną nikczemnie. Ona zdolna jest do wszelkiej podłości. Ach, Dziadzia, śpiewajmy!

Dziadzia o nic nie pytał. Przymrużył oczy i śpiewał:

Pioruny niebo krrajałły
jak okrrwawione noże
niebieskie koty mrruczałły

infernno było na dworze![81]

— Lucjanie, lubisz Conrada?
— Bardzo.
— A ożeniłbyś się z Zarzycką?[82]
— Tak.
— Po co?
— Aby ją oduczyć pisać.
— Tak, to niezła myśl. Ale lepiej daj jej spokój. Co byś zjadł?
— Pierogów z kapustą albo kaszki manny na mleku.
— To już, idziemy jeść, sycić się, napełniać żołądki, pożywiać. Naciśnij dzwonek na płacić. Pipapa.

Wyszli. Noc była ciepła i z dachów spływały strugi wody. Trzymając się pod rękę, nie wiadomo kiedy znaleźli się nad Wisłą. U stóp ich pluskała woda. Gdzieś w oddali błyszczały światełka.

— Kąpieli... co? — wybełkotał Lucjan.
— Nie... za ciemno... jutro... poza tym jestem... eh, czysty.
— Zjedzenia... tu... coś... nie ma, nie ma.

Szli z powrotem w górę. Na Krakowskim Przedmieściu wałęsały się prostytutki. Zatrzymali się przed jedną. Dziadzia począł do niej mówić coś, co miało naśladować język francuski. Mówił długo, taczając się przed nią w miejscu.

— Ależ, panie, ja nic nie rozumiem — powiedziała dziewczyna.
— To... się naucz... cholero.

Dziewczyna odeszła tanecznym krokiem. Poszli dalej. Na rogu Koziej i Krakowskiego Przedmieścia stał wózek z gorącymi kiełbaskami. Mężczyzna w kapeluszu na głowie i wystającym spod palta białym kitlu, zaglądał do buchającego parą wnętrza. Zatrzymali się. Dziadzia, starając się utrzymać równowagę ciała i języka, zaczął mówić z patosem:

— Nocny... bez snu... nocny człowieku... co karmisz zabłąkanych... wygłodzonych trudami... nocy bezsennej... któż ci wynagrodzi twe poświęcenie? Ochch. Tam w górze czeka cię nagroda... wszystkie wózki w niebie... będą należały do ciebie. Sama... samatary... sumartery... samatyra... saramatytaninie... samarytani.. Ech. Bóg cię wysowicie. Daj nam po kiełbasce.

Jedli z apetytem, a dobry człowiek nakładał im co chwila nowe porcje. Potem zażądał sześciu złotych. Dziadzia wręczył mu pieniądze wraz z błogosławieństwem. Ruszyli dalej. Tłukli się po ciemnych, opustoszałych ulicach, aż w końcu jeden zgubił drugiego. Szukali się gorliwie do świtu, aż w końcu wytrzeźwiony i zniechęcony Lucjan poszedł do domu. Zastał Dziadzię przed bramą, prowadzącego dysputę ze stróżem nocnym, była to nawet ostra, polityczna sprzeczka. Weszli na górę i po upływie kwadransa dostali się do alkowy. Leżeli na swoich łóżkach. Lucjan już zasypiał, gdy usłyszał drżący, monotonny głos Dziadzi:

— Widzę... widzę armię olbrzymią. Najpierw jedzie butelka szampańskiego... potem adiutanci... sześć butelek Martela... potem czwórkami jarzębiak... wiśniówka... starka... i inne gatunkowe... Potem przerwa i znowuż... czysta... spirytus... winka różne. W końcu oddział sanitarny... aspirynki Bayera... woda sodowa i różne takie, na potem. Lucjanie, jutro powiem ci wszystko. Śpisz. Ochhohoho. Boże... Boże.

Zasnęli.

Rozdział VI

Nastało lato. Wpadło w miasto i zgubiło swą urodę. Podkreślało swym słońcem szarzyznę domów, a ten sam wietrzyk, co kojąco poruszał zboże i wszelką zieloność poza granicami miasta, tutaj obsypywał kurzem spotniałych przechodniów, czynił harce ze śmieciami i lekceważąco ocierał się o rachityczne drzewka.

---

[81] *Pioruny niebo krajały...* — autorem tekstu piosenki był podobno K. I. Gałczyński. [przypis edytorski]

[82] *Zarzycka, Irena* (1900–1993) — autorka powieści romansowych, który stały się bestsellerami, m.in. *Dzikuski* (1927). [przypis edytorski]

W mieszkaniu na Nowiniarskiej panowało teraz przykre gorąco, a zapach skór z dołu wpadał przez otwarte okna. Studenci chodzili półnago i uczyli się z tępym uporem. Edward chodził rano do kostnicy, krajał nieboszczyków, wracał zdenerwowany, pisał wypracowania i przez resztę dnia przeszkadzał kolegom, wykłócając się z nimi. Dziadzia wcale nie wyjechał, co zresztą wszyscy przewidywali. Tłumaczył to niechęcią do „szarganiа się po świecie". Lucjan jednak widział po jego minie, że po prostu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ciągnęły się więc dni posępne, z rzadka przetykane pijaństwami, ubogie i beznadziejne. Dziadzia zmarniał i żył więcej niż skromnie, całymi dniami leżał na łóżku, w absolutnym lenistwie i abnegacji. Trafiały mu się czasem zamówienia na artykuł lub nowelę, lecz nigdy ich nie wypełniał i żył groszami wyłudzanymi od rodziny. Lucjan przeróżnymi sposobami starał się nakłonić go do pracy. Podsuwał mu wieczorami papier i ołówek, ze słowami: „Jeśli nie napiszesz trzech stron przynajmniej, powiem twojej ciotce, że wcale nie masz dziecka, na którego utrzymanie daje ci pieniądze". Szantaż ten nie robił jednak na Dziadzi wrażenia, ponieważ był często powtarzany, a groźba nigdy nie wypełniona. Tak więc żył z dnia na dzień i powiadał, że „obmyśla plany na przyszłość". Lucjan pisał powieść. Był to jednak wysiłek zbyt wielki na nikłe możliwości młodzieńca. Zabrał się do sprawy, którą znał tylko z obserwacji. Zabrnął mimo woli w jakieś komplikacje psychologiczne swych bohaterów, nie mógł, czy nie umiał wyciągnąć z tego logicznych konsekwencji i coraz bardziej tracił wiarę w swą pracę. Dla zarobku pisać „nie miał głowy", wobec czego jadał rzadko i palił podłe papierosy. Upał uciskał mu płuca, miewał ataki wyczerpującego kaszlu, a źle odżywiany organizm coraz mniej był odporny na drącą go chorobę. Zygmunt, o, temu powodziło się wprost świetnie. Przede wszystkim nie pisał wierszy. Był wysokim urzędnikiem, miał bezpłatny bilet kolejowy i co tydzień, w niedzielę, odwiedzał rodzinę i przyjaciół. Wpadał do domu z humorem, opowiadał szczegóły swej pracy, drobne wydarzenia związane z powagą stanowiska, zabierał Dziadzię i Lucjana do knajpy i tam gawędzili do wieczora. Potem Zygmunt wyjeżdżał, żegnając się do następnej niedzieli. Mówił, że żyje jak normalny człowiek, nie zatruwa sobie umysłu jadem poezji, i czytuje dzieła filozoficzne.

Lucjan miał zły dzień. Wstał późno, z uczuciem bezcelowości swego istnienia. Bolała go głowa, a na oczach osiadł jakiś ciężar. Ciągle myślał o pannie Leopard, a wspomnienia owej marcowej niedzieli nie zatarły się jeszcze. Bo i jakże sobie z nim poczynała? Zadrwiła sobie z niego wobec kilku uznanych matołów, ośmieszyła bezwstydnie jego intymne uczucie, które jej zwierzył w przystępie młodzieńczej szczerości. Nie widział jej od tej pory, ani nie słyszał o niej. Natomiast myślał wiele. Dziadzia cofnął zeznanie pijackiej nocy. W istocie, sprawa tak się przedstawiała, jak to opowiedział poprzednio. Wreszcie Lucjan kochał podwójnie. Bo przecież czuł coś do rudej dziewczyny, do owej Teodozji. Ostatnio często przebywali sami, posiadał ją na zawołanie, zawsze gotową do zaspokojenia jego zmysłów. Ale ileż to razy, kiedy ją nakrywał sobą, rozjaśnioną od rozkoszy, rudymi zwojami otoczoną twarz zamieniał w wyobraźni na pewną kształtną główkę o lśniącej, czarnej czuprynie i wielkich, gorejących oczach. Te urojenia kończyły się bezlitośnie, kiedy Teodozja mówiła gardłowym, ciepłym od zadowolenia głosem: „No, złaźże już, karaluchu". Złaził w istocie, zwlekał się z obfitości tego zdrowego ciała i kładł się z bólem w sercu i niesmakiem na swoim łóżku.

Tego ranka wszystko potęgowało rozstrój. Ów Żyd z dołu śpiewał z jakąś wściekłą radością życia. Słońce tłoczyło się w pokoju, a na ulicach wszystko dźwięczało metalicznie w rozpalonym powietrzu. Student robił wykresy, śpiewając bezwstydną, wojskową piosenkę. Był w koszuli i zwisające u spodni szelki obijały się o bose pięty. Dziadzia w kontemplacji swej rannej neurastenii, leżał odkryty i palił fajkę. W drugim pokoju Teodozja wytrwale szorowała podłogę. Klęczała i jej podkasana sukienka ukazywała twarde, białe uda.

— Tylko nie wliź na mnie jak na klacz — zawołała rubasznie do wchodzącego Lucjana.

Nic nie odpowiedział i stąpając na palcach, by ominąć kałuże na podłodze, podszedł do kredensu. Na łóżku wyciągnął się mały, rudy kotek, ulubieniec Teodozji, i wygrzewał się w słońcu. Było to dziwaczne stworzenie, wychudzone i piekielnie nerwowe. Nigdy nie można było się spodziewać, co uczyni za chwilę. Jako punkt obserwacyjny wybierał sobie zazwyczaj szafę i z tej wysokości, wiecznie zainteresowany, wodząc ślepkami za ruchami obecnych, potrafił nagle skoczyć na głowę studenta lub na zgięty kark uczącego się Bed-

narczyka. Teraz właśnie skoczył na ramię Lucjana i ostrym języczkiem począł gwałtownie lizać go w ucho. Czynił to z energią, jakby od tygodni czekał na tę okazję. Raptem wrócił na swoje miejsce i przewróciwszy się na grzbiet, z wyciągniętymi łapkami, przyglądał się Lucjanowi. Otóż to właśnie. Komiczne stworzenie momentalnie rozproszyło zgorzkniałość Lucjana. Pogłaskał kotka, wyjął z kredensu koszyczek ze śniadaniem, powiedział kilka miłych słów Teodozji, napełnił szklankę kawą i wrócił do pokoju. Jedząc, rozmawiał z Bednarczykiem.

— Jakże panu idzie, panie Władysławie?

— Bardzo dobrze. Doganiam zaległości wojskowe. Aby skończyć, aby skończyć!

— Nie nudzi się panu tak cały dzień ślęczeć nad książką?

— Nie, jestem zbyt zajęty. Mam wielkie zobowiązania wobec swojej rodziny, myślę o przyszłości. Trzeba pracować, aby nie skończyć tak, jak to prorokuje Edward.

Dziadzia wstał i zabrał się do golenia. Pielęgnował swą bródkę i czynił to codziennie. Odezwał się do Lucjana:

— Jest upalny dzień. Miły, może pójdziemy na plażę?

— Świetna myśl, jeszcze w tym roku nie byłem na plaży. Drogo taka historia kosztuje?

— Nie, niedrogo. Zresztą zafunduję ci.

Pomysł spędzenia dnia w wodzie i na piasku spodobał się Lucjanowi. Z radością przyjął propozycję Dziadzi. Ubrali się, zabrali pakieciki z kostiumami i wyszli.

Tramwaj sunął, hucząc, przez rozgrzany most. Niebo było bez chmurki i wysoko warczały motory ćwiczących samolotów. Wysiedli na drugim brzegu Wisły i po kamiennych schodach zeszli w dół, na piaszczyste wybrzeże. Dziadzia kupił bilety, w kabinach przebrali się w kostiumy i wyszli na plażę. Lucjana rozśmieszył wygląd Dziadzi: owłosiony i przeraźliwie chudy, w czarnym kostiumie i poważnym wyrazie twarzy, Dziadzia ponuro się przedstawiał na rozsłonecznionej równinie. Pasował tu bardzo Lucjan, był gładki, gibki i świetnie zbudowany. Stąpali po gorącym piasku, mijając rozwalone, pocące się ciała. Było tu dużo ludzi, przeważnie młodych i ładnych. Grano w piłkę, podnoszono ciężary i biegano. Z wody dolatywały okrzyki kąpiących się. Gdzieniegdzie leżały pary, gładząc się po ciele i patrząc sobie w oczy lub po prostu całując się. Lucjan pociągnął za sobą Dziadzię w kierunku wody, lecz ten wzbraniał się, mówił, że jest za wcześnie, że są zgrzani i tak dalej. Lucjan jednak nie ustępował. Weszli do wody, ale Dziadzia zaraz usiadł w płytkim miejscu i ostrożnie począł się opryskiwać wodą.

— Chodź dalej, na głębszą wodę. Popływamy trochę.

— Ach, nonsens! Co za pływanie może być w rzece. Zostanę tutaj.

— Dziadzia, zaczynam cię podejrzewać, że po prostu nie umiesz pływać.

— Ja, marynarz, hahaha, dobre.

— No więc chodź, przecież to wstyd, żebyś tu siedział jak dziecko.

— Nie zno-szę... rzek. Źle się czuję w słodkiej wodzie. Zostaw mnie.

Wobec tego argumentu, Lucjan sam poszedł na głębsze miejsce. Nurkował trochę, pływał i powrócił do Dziadzi. Siedział już na brzegu, na piasku i rozmawiał z panną Leopard.

Lucjan był już dość blisko, kiedy ją poznał i w porę zdążył zawrócić. Radość, cała beztroska, wszystko to rozwiało się. Powlókł się na sam koniec plaży, gdzie nikogo nie było i położył się na piasku ukrywszy twarz w ramionach.

"...Biedny Dziadzia, wpadł tak niespodzianie. Mówiłem mu, żeby szedł na głębszą wodę. Co to jest, że ona mi zawsze psuje humor. Pobudza we mnie jakieś tęsknoty. Mam takie uczucie z powieści Mniszkówny, albo z tej piosenki: *Ja kocham cię i nienawidzę*. Ta moja miłość do niej jest tak ordynarna i banalna, tak tuzinkowa. Dziadzia miał rację mówiąc, że imponują mi jej stosunki towarzyskie. Sam jestem niczym i spodobało mi się zakochać w drugim, tylko trochę ustosunkowanym niczym. Po cóż ja żyję właściwie, jakie mam prawo kochać się i w ogóle korzystać z przywilejów życia. Nie tylko, że nie mam praw do życia jako bezużyteczna jednostka, ale nie mam również danych, żeby żyć nawet jako pasożyt. Jestem biedny, głupi, bez inwencji, chory, młody i tak dalej. Ubzdurałem sobie, że jestem poetą, człowiekiem wolnym, bez przyziemnych uczuć, a tymczasem nie mam nawet na tyle ambicji, żeby napisać coś, zamydlić ludziom oczy, zbujać ich czymś.

Jestem więc w dodatku wstrętnie leniwy. A jak się już zakochałem, to właśnie w jakiejś dziwce bez czci, bez żadnej wartości prócz urody, która mnie w dodatku lekceważy...

— Proszę się odwrócić, przybrał pan tak nieprzyzwoitą dla nieba pozycję.

Usiadła obok uśmiechnięta, piękna, cudowna.

— Cóż z pana za dziwadło, moje dziecko. Wybaczam panu tę obelgę tam w restauracji, ale nie mogę panu wybaczyć dzisiejszego zachowania, zamiast podejść i przeprosić mnie, polazł pan gdzieś. Staś opowiadał mi właśnie o panu bardzo wiele. Został tam, a ja poszłam szukać pana. Diablo ponurą ma pan minę.

Panna Leopard była istotnie piękną kobietą. Doskonale zbudowana, miała twarz o niezwykle szlachetnych rysach i cudnych oczach o granatowym blasku. Jej czarne włosy odcinały się od białości cery. Kostium opinał smukłą figurę. Patrzyła rozumnie i prawie tkliwie na Lucjana.

— Dobrze, że mogę pani to powiedzieć. Otóż zaszło u mnie pewne nieporozumienie. Ta miłość do pani, to utwór mojej fantazji. Widzi pani, jestem bardzo młody i impulsywny. Nie powinienem był pani tego wszystkiego mówić tak otwarcie, tam, na ulicy. Jest mi teraz bardzo smutno. Bo w gruncie rzeczy żywię dla pani jak największą obojętność. Proszę zapomnieć o moim kłamliwym zwierzeniu. Słusznie pani wtedy zakpiła ze mnie, była to podświadoma zemsta za moje oszustwo. Pozwoli pani, że się położę, jest mi tak gorąco.

Pauza.

— Ach, mój biedny chłopcze, mówisz nie to, co myślisz. Pragnę wszystko naprawić. Już teraz będzie wszystko dobrze.

Przysunęła się do niego i pocałowała go mocno w usta. Leżał odrętwiały, nie mogąc zebrać myśli. Pocałowała go raz jeszcze i patrząc mu czule w oczy, mówiła:

— Dla mnie to wielkie szczęście, ogromny zaszczyt od losu, że mnie ktoś naprawdę kocha. Jestem pewna, że masz dla mnie tę miłość. Tak pięknie zwierzyłeś mi się wtedy z tego, tak prosto. Postaramy się powetować sobie straty spowodowane nieporozumieniem. No, już, nie patrz tak źle.

Ale Lucjan od niczego chyba nie był tak oddalony, jak właśnie od tej czułości i sentymentalizmu. Zaczął się śmiać głośno i tarzać po piasku. Mówił przez śmiech:

— Haha! Jak pani zabawnie wygląda... proszę mi wybaczyć, ale to takie komiczne i niespodziewane... Heloiza... romantyzm. Co? Kocha mnie pani, szaleje pani za mną? Co pani powie? Haha... proszę dać spokój, mnie nawet trochę żenuje to wyznanie, to jest takie komiczne, tak, jak coś z podłego romansiku. Hahaha! Wie pani co? Zatańczmy może! Komedia.

Panna Leopard patrzała na niego ze smutkiem.

— Dziecko, ty jesteś okropnie nerwowy. Kłębek nerwów. Ja doprawdy mówiłam teraz szczerze i poważnie. Proszę się uspokoić, to jest bardzo przykre.

— Proszę pani, wiem wszystko, wiem całą historię ze Stasiem. No?

— Wie pan? To trudno, między przyjaciółmi. Drobiazg, jakieś tam pieniądze!

— Jakie pieniądze?

— No, te pieniądze, które jest mi winien. Głupstwo, będzie miał, to odda.

— Pieniądze?! Odda?! A Pecl, narzeczeństwo?

— Co pan wygaduje, co panu jest właściwie, panie Lucjanie?

Pauza.

— Co między wami właściwie było, między panią a Stasiem?

— Nic nie było. Wie pan przecież. Pożyczył ode mnie dwa lata temu pięćset złotych na coś, na czym miał zarobić. Znaliśmy się, mieliśmy wspólnych przyjaciół, pożyczyłam mu. Nie oddał. Widocznie ciężko mu jest. Przestańmy o tym mówić.

— Tak. Przepraszam bardzo za moje wybryki. Teraz muszę już iść. Czy chciałaby pani zobaczyć się ze mną dzisiaj po południu?

— Naturalnie, koniecznie. Bardzo się cieszę. W gruncie rzeczy, ten Staś to poczciwiec. Powiedział mi, jakżeś przeze mnie cierpiał. Ja tak żałowałam mego zachowania się wtedy, wieczorem. Pijana byłam nieco. Pomówimy jeszcze o tym wszystkim. Przyjdziesz jeszcze do mnie dzisiaj, prawda?

— Staś wszystko powiedział? Tak, przyjdę, tylko gdzie pani mieszka?

— Chodź ze mną w stronę kabiny, to ci dam adres.

Lucjan był tak oszołomiony tym wszystkim, co usłyszał, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy ze swego szczęścia. Powlókł się do tej kabiny, wziął jakiś papierek, potem ucałował kobiecą rękę, usta nawet. Poszedł do swojej kabiny, kazał ją sobie otworzyć, usiadł na ławeczce i siedział tak, z kołowacizną w głowie.

Dziadzia przybiegł, parskając i otrząsając się z wody.

— A, jesteś już! Pływałem, ale swoją drogą morska woda to coś zupełnie innego. Coś, zgłupiał?

Lucjan patrzał na niego błędnie i uśmiechał się jak upiór.

— Wariat, słońce ci na mózg uderzyło. Wariat, słowo daję. Może przekąsisz coś, to ci lepiej zrobi. No, chodź do bufetu.

— Dlaczegoś mnie... tam... tego... okłamał?

— Aha, Leopard. Nie ma o czym gadać, wyjaśniło się, prawda?

— Dlaczegoś kłamał?

— Wariat, wariat, nie wrzeszcz. Improwizowałem trochę, nie kłamałem. Musiałeś zaraz wierzyć. Doszliście do porozumienia. Będziesz miał teraz używanie. Bardzo się jej podobasz. No, chodź do bufetu.

Lucjan zrozumiał teraz, że pozostało mu tylko radować się. Dziadzia. Co mu zrobić? Postawił tak sytuację, że stała się śmieszna. Skłamał potwornie i teraz, gdy to się wydało, stał sobie z najniewinniejszą w świecie miną i wyżymał bródkę z wody. Nawet nie myślał się tłumaczyć. Poszli do bufetu, zjedli coś, potem wrócili do kabin i ubrali się.

W domu zastali dwóch obcych panów, kręcących się po mieszkaniu bez marynarek i narzekających na upał. Panował straszny rejwach. Całe biurko było rozebrane, łóżka porozwalane i sienniki poprute. Na podłodze walały się garnki, książki, stosy gazet i słoma. Stukonisowa wytłumaczyła, że spustoszenia tego dokonali dwaj panowie, ponieważ robili rewizję. „Wszystko przez tego łajdaka Miećka".

Mieciek siedział na wałku od otomany i melancholijnie gryzł pestki dyni. Poruszał lewą nogą, interesując nią rudego kotka, który skakał jak opętany. Od czasu do czasu dawał odpowiedzi na takie pytania:

— Broń jest?

— Broń Boże.

— Rewolweru, sztyletu, żadnych materiałów wybuchowych, nie ma nic?

— Rewolwer był, ale go nie ma, sztylety znajdziesz pan w kredensie, a co do materiałów wybuchowych, to przyjdź pan tu w nocy, posłyszysz pan wybuchy.

— Kawaler sobie dowcipasy sypie. Ja panu też sypnę w defensywie, znajdźmy tylko coś. Gadaj pan, papiery gdzie są, bibuła?

— W ubikacji, na drucie.

Indagujący pan miał niezwykle przykrą twarz i pocił się pod prawą pachą. W dodatku zdenerwował się widać, bo poczerwieniał na twarzy i jął szybko i bezcelowo kręcić się koło porozwalanych przedmiotów. Poszeptał coś ze swoim towarzyszem, a tamten wskazał na portret Piłsudskiego.

Mieciek zrobił minę niemowlęcia.

Dwaj panowie popatrzyli na marsową twarz marszałka, potem jeden z nich wyciągnął z kieszeni jakiś druk i umoczywszy pióro w atramencie, począł ów papier wypełniać. Drugi zwrócił się podejrzliwie do Dziadzi:

— Kto pan?

— Wybaczy pan, mnie nie obchodzi, kto pan jesteś.

— Jestem agentem policji politycznej, co pan tu robi?

— Zdejmuję marynarkę, za chwilę będę leżał na łóżku i wtedy niechże mi pan nie przerywa odpoczynku. Opaliłem się — wie pan — i boli mnie skóra na plecach, pan bywa na plaży?

Ale jegomość się rozgniewał, zagroził aresztowaniem i zarówno Lucjan, jak i Dziadzia musieli się wylegitymować. Potem Bednarczyk musiał coś podpisać, jako świadek, dwaj panowie zostawili poświadczenie, że nic nie znaleziono, po czym ubrali marynarki i zabierali się do wyjścia.

— A kto to teraz będzie sprzątał, coście tu naśmiecili?

Jegomość o przykrej twarzy podszedł do Miećka, nachylił się i powiedział mu w sam nos:

— Poczekaj, ty szczwana kanalio, my cię uchwycimy, jeszcze podowcipkujesz sobie, ty bandyto! — I wyszli.

Teraz dopiero zabrała głos Stukonisowa:

— Ach, ty cholerna gadzino! Ty wyrodku, bodajeś zgnił w więzieniu! Żeby cię wszy zeżarły, ty zbóju, byku! Ty łotrze spod ciemnej gwiazdy. Przez ciebie człowiek się tak męczy. Wynoś mi się, draniu jeden, z domu, wont, natychmiast! Zdechnij jak pies pod płotem. Jeszcze mi tego brakowało, żeby mi tu nachodzili mieszkanie i graty niszczyli. Zabieraj swoje manatki, niech cię tu nie widzę!!

— Niech matka lepiej milczy, bo już mi wszystko jedno, jeszcze jaką krzywdę zrobię. Cicho! Sam jestem zdenerwowany! Milczeć! Psiakrew!

Złorzecząc, klnąc straszliwie, zabrali się oboje do sprzątania. Mieciek poukładał książki i papiery, po czym wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Stukonisowa płacząc zaszywała sienniki. Dziadzia śmiał się szatańsko. Lucjan stroił się na wizytę. Po godzinie mieszkanie przybrało swój normalny wygląd. Dwaj studenci sprzeczali się na temat zarobków agentów policyjnych. Przyszedł Edward i powiedział do Lucjana:

— Chciałbym zapomnieć o naszym zajściu sprzed paru miesięcy. Tutaj była rewizja, prawda? No, czy to nie skandal?

— Nie tyle skandal, ile przykrość.

— Czy pan pojmuje, że człowiek, któremu obcy ludzie mają prawo legalnie grzebać w jego rzeczach, tym samym pozbawiony jest wszelkich praw człowieczych. Że powinna być w państwie doraźna instytucja, która by wieszała takich Miećków. Przypuśćmy, że jako współlokatorzy jesteśmy narażeni na rewidowanie naszych rzeczy. Cóż się wtedy dzieje z naszymi listami, naszą korespondencją? Intymne słowa, czułości, obietnice, zwierzenia, wspomnienia drastycznych sytuacji, wszystko to staje się łupem najbardziej niepowołanych rąk. Ja sam posiadam listy od kobiet, które mnie kochają, których miłość do mnie jest tak wielka, że w zaślepieniu odsłaniają one drobiazgi, szczególiki spędzonych nocy. Przypominają mi — tak rzekę — wymyślne sytuacyjki, słowa, ruchy i tak dalej. Pieczętują to swoim nazwiskiem, często panieńskim, nazwiskiem swego ogólnie szanowanego ojca, poważnej osobistości. Bowiem, mimo, że nie jestem zbyt wybredny, chętniej jednak obcuję z pannami z wyższych sfer. A więc. Dostają się te — łzami rozkosznych wspomnień zlane — liściki do łap takiego draba. Ma przecież prawo je czytać. Czyta je. Podnieca się ich treścią. A ja stoję obok i nic nie mogę poradzić, nie mogę mu wyrwać tych dokumentów mej sprawności fizycznej. Proszę się postawić w takiej sytuacji. Czyż to nie jest okropne?

Lucjan westchnął głęboko. Należało coś odpowiedzieć.

— Ma pan wiele słuszności. Niechże pan spali te listy.

— Co? Ja bym miał je spalić, zniszczyć! Postąpić wedle słów poetki:

Do pieca, miłosny zeszycie!
Do pieca, listy — stos cały!
a żeście z ognia powstały,
więc w ogień się obrócicie![83]

— ...Tak bym miał zrobić? Nie! To się po mnie nie okaże. Kiedyś, na stare lata, będę je czytał, będę żył wspomnieniami. Ach, panie, wspominać rozkosz, jeśli się ją miało, jakież to szczęście! Panie Lucjanie, pan jest jeszcze młody, ale może pan zazna kiedyś szczęścia miłości. Ale z tą rewizją to skandal, prawda? Trzeba będzie coś przedsiębrać...

— Wybaczy pan, ale ja muszę już wyjść. Czego się śmiejesz, ty czarny charakterze?

Dziadzia istotnie podskakiwał na swym łóżku w paroksyzmie śmiechu. Edward poszedł do swego pokoju. Lucjan mimowolnie zaczął się też śmiać.

— Ale jego trzeba wsadzić w gablotkę i podstawić pod mikrofon. Przecież to jest okaz nadzwyczajny. „Dowodów mej sprawności fizycznej", ha, kreatura. — I Dziadzia weselił się w dalszym ciągu.

Lucjan wystrojony, uczesany i świeży, wyszedł z domu. W gardle go coś ściskało z wrażenia. Był jakby lekko naelektryzowany. Jechał długo tramwajem. Wysiadł na

[83] *Do pieca, miłosny zeszycie...* — wiersz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, zatytułowany *Listy* (z tomu *Pocałunki*, 1926). [przypis edytorski]

przystanku, w dzielnicy nieco oddalonej od miasta, w pięknej kolonii o wspaniałych, nowowybudowanych domach z ogródkami. Wszedł do wnętrza białego domu, zatrzymał się przed drzwiami na pierwszym piętrze i drżącym palcem nacisnął guziczek dzwonka. Sama je otworzyła. Powiedziała: „Pójdziemy do mego pokoju" — i wpuściła go przez matowo oszklone drzwi.

Znalazł się w jakiejś rupieciarni. Był tu straszliwy nieład, to znaczy nie było brudno, broń Boże, po prostu nic nie leżało na swoim miejscu. Szafa była otwarta i obok niej, na podłodze, leżały suknie, palta, jakieś książki i wieszaki. Na małym biurku piętrzyły się najróżniejsze przedmioty: puderniczki, pióra, otwarte kasetki, zapisane arkusze papieru. Stała tam niedopita filiżanka herbaty i wazonik z kwiatami. Etażerka uginała się pod ciężarem na pół otwartych książek i pism. Na łóżku leżał jeden pantofel, pończochy i podwiązki. Na poduszce siedział pajacyk z jedwabiu, a obok niego leżała szczotka do ubrania. Pokój był dość duży, ale ciemny i ponury.

— Niechże pan gdziekolwiek usiądzie. Ale lepiej będziemy sobie mówili „ty". Zgoda? No, pewnie. Usiądź, niech popatrzę na ciebie.

Lucjan usiadł na krześle przy biurku. Było mu jakoś dziwacznie. Czuł, że panna odebrała mu jego prawa, że była w stosunku do niego aktywna, pytała go ciągle, sama sobie dawała odpowiedzi i potwierdzenia. Czuł, że przechodzi normalny proces. Wszelkie zamierzenia tracą z chwilą, gdy się mają spełnić, nawet jeśli chodzi o miłość.

A więc panna Leopard usiadła naprzeciw niego i mówiła, patrząc mu w oczy:

— Jesteś taki młodziutki i potrafiłeś pokochać. W twoim wieku to tak trudno. Widzę tę miłość w twoich oczach. Jesteś teraz trochę oszołomiony, zażenowany, zdaje ci się, że to ty powinieneś mówić do mnie czule, poza tym wszystko stało się tak niespodziewanie, że trudno jest ci się radować. Radość ta jest tak skoncentrowana, że trudno ci ją odczuć na razie. Ale poczekaj, niech się to wszystko rozpuści. Te kilka słów, tam na ulicy, wypowiedziały wszystko. Teraz możesz trochę milczeć. Powiedziałeś wtedy: „Kocham panią, a ponieważ pozostanę pani obojętny, więc dlatego pani to mówię". I jeszcze: że jest to twoja sprawa. To było bardzo piękne, tak jakby lekceważenie mego uczucia. Jego sprawa. Byłam pewna wtedy, że mówisz prawdę. Zmroziłam cię potem. Sama nie wiem, dlaczego, taki widać miałam stan psychiczny. Tak.

— Czy ty mnie kochasz?

— Tak, naprawdę tak. Od czasu tej nieszczęsnej knajpy, ciągle myślałam o tobie. Ubliżyłeś mi, a mimo to myślałam. Pragnęłam cię spotkać. Wreszcie Staś powiedział mi, jak bardzo cierpisz przeze mnie. Ach, moje dziecko, to bardzo dobrze, że wreszcie jesteśmy tu razem. A teraz powiedz mi coś o sobie.

Lucjan ujął jej rękę. Opowiedział jej swoje życie. Zakończył:

— Miałem gorzkie dzieciństwo, a młodość to już mam zupełnie ponurą. Obracałem się ciągle wśród ludzi złych i przez to jest mi trudno teraz żyć. Jestem do wszystkich źle usposobiony, kiedy poznaję kogoś, jestem do niego z góry uprzedzony. Nie znałem ciepła rodzinnego, z rodzicami żyłem krótko, odumarli mnie wcześnie. Poznałem przykry i nudny niedostatek, nędzę prawie. Musiałem od najmłodszych lat ciężko i upokarzająco pracować. Uczyłem się wiele, dorywczo i bez systemu. Sam nie wiem, kim właściwie teraz jestem, co mnie czeka. Mam chyba trochę tego talentu, ale brak mi cierpliwości i zdaje się, że nigdy nic nie zrobię. Tak więc, miłość moja do ciebie jest w swoim rodzaju bezczelnością. Jestem człowiekiem bez praw i nadziei. Zresztą, wszystko od ciebie zależy.

Słuchała go. Potem całowali się, spleceni ramionami. Szeptali czule i wymyślnymi słowami. Okna były otwarte, ściemniło się. Z dołu, z ogródka, dochodziły wieczorne zapachy kwiatów. Było ciepło. Daleko, matki nawoływały dzieci do domu. Gdzieś, ktoś, grał melodyjnego walca na harmonii.

— Ten walc nazywa się *Na moście*. — powiedziała panna Leopard między jednym a drugim pocałunkiem.

— Pięknie się nazywa, najdroższa.

A po chwili:

— Będziesz moją?

— Jak?

— Czy oddasz mi się?

— Tak fizycznie? Nie, nigdy. Nie mogłabym, nie potrafię. Mam przyjaciela, z którym to robię, wiesz, takiego specjalnego. Kochany mój, jesteś dla mnie za młody, ja lubię tylko starszych mężczyzn. Z tobą mogę tylko mówić o naszej miłości, pławić się w niej wewnętrznie. Rozkoszować się tkliwymi słowami, które będziesz dla mnie wymyślał. Te sprawy płciowe są tak wstrętne, my jesteśmy za czyści na to, niechaj każde z nas załatwia to na uboczu. Tak, mój jedyny.

— Jak to!!

— O, widzisz! Znowuż poddajesz się bezrozumnej złości. Uspokój się, wyglądasz jak furiat. Nie krzycz przynajmniej. Miałam cię za subtelniejszego.

Przez długą chwilę złość i rozpacz nie pozwoliły słowa wymówić Lucjanowi. Potem jednak wybuchnął:

— Pani jest... tak, świnia pani jest! Czy zdajesz sobie sprawę ze swej podłości?! Masz takiego specjalnego... więc ja mam... och, co za ohyda! Przecież to jest potworne... nie jesteś chyba przy zdrowych zmysłach. W takiej chwili, teraz... to jest cynizm, wstrętny, bezduszny. Och, żebym cię już nigdy nie spotkał w swym życiu. Jesteś naczyniem pełnym nieczystości... ty... ka-nal-io!

Panna Leopard wstała i powiedziała zimno, lecz energiczne:

— Stop. Nudzisz mnie. Już mam cię dość. Jesteś nudny i bardzo źle wychowany smarkacz. Proszę wyjść. Dość tej komedii. Nie potrafisz nawet grać zakochanego. Oddać mu się. Do dziwki przyszedł. Tak prosto z mostu. Na oknie leży pański kapelusz. Proszę. Rada bym zostać sama.

Lucjan wyszedł na ulicę. Raptem wszystko wydało mu się jasne i proste. Szedł w stronę miasta i powtarzał sobie: dziwne, dziwne. Podświadomie uczuwał lekkość, jakby pozbycie się ciężaru. Wybrnął wreszcie z tej sytuacji, uwolnił umysł od zajmowania się pewną, dziwaczną bardzo, osobą. Koniec wreszcie. Zabawne. Wydało mu się, jakby to wszystko odbyło się dawno, zapomniał nawet pewnych szczegółów. Uczuł nawet pewną wesołość. Zbliżał się do centrum miasta, było coraz bardziej ruchliwie. Stanął przed wystawą ze słodyczami. Patrząc na czekoladę, wspomniał dzieciństwo. Wzbraniano mu słodyczy i mawiał zwykle: „Gdy będę dorosłym adwokatem, wówczas będę przy sobie zawsze nosił blok czekolady i jadł". Zadziwiające, jak wszystko pamiętał: słowa, jakie wtedy wyrzekł, minę, jaką starał się przybrać. Wspomnienia zajęły jego umysł i szedł przed siebie w zadumie. Gdy będę adwokatem. Komiczne. Zatrzymał się przed fotosami, wystawionymi w bramie jakiegoś kina. Walczący nad brzegiem przepaści mężczyźni, unieruchomieni zostali martwym uściskiem obiektywu. Piękna kobieta siedziała przy tualecie i widać było jej twarz w lustrze. Mężczyzna trwał w obłąkanej minie. Lucjan przypomniał sobie maleńki fakcik, drobne oszustwo, jedno z wielu oszustw towarzyszących dzieciństwu. Oto znajduje się w wielkim, dziwnie oświetlonym pokoju, stoi przed jakimś potworem o trzech cienkich nóżkach i wielkim, czarnym oku. Właśnie to oko. Ciemne, wielkie oko, z jakimiś kolorkami wewnątrz sprawiało wrażenie, jakby otchłań się tam kryła. Słowem, rzecz nieprzyjemnie tajemnicza. I gdyby mu po prostu powiedziano, że ma stać spokojnie i czekać, aż go dama w czarnej sukni i sweterku sfotografuje. Ale nie, matka go uspokaja, pani w sweterku jest niemile uprzejma. Chłopcu się zdaje, że czeka go jakaś zasadzka i w ogóle nieszczęście. Zaczyna więc płakać. Uspakajają go powoli i obiecują rzecz ważną, mianowicie, że gdy popatrzy przez chwilę prosto w owe oko, zobaczy tam kotka i wiele innych rzeczy. Cóż, ma cztery lata, jest to ponętna propozycja. Patrzy więc w oko, nie chwilę, a całą minutę, coś brzęczy, ale nic się nie pokazuje. Pani w sweterku mówi słodko: „Już". I chłopiec schodzi ze swego miejsca, smutny i zawstydzony, pojął bowiem, że znowuż go okpiono. Mój Boże, gdzież jest ta fotografia? Ach, tak, u ciotki. Muszę ją zabrać. A oto nowy obraz nasuwa wspomnienie. W pokoju jest duszno, w kącie pali się mała lampka, jest noc, obok łóżka Lucjana siedzi z przymkniętymi oczami kiwająca się kobieta. Za oknami piekło: śnieżyca, wicher. Pościel piecze ciało i pachnie gorączką. Właściwie już wszystka minęło, całe to przesilenie, tyfus, ale niemniej noce są bezsenne i koszmarne. Raptem za drzwiami hałas, bieganina, powitania, odgłosy pocałunków, dźwięk dzwonków odjeżdżających sań. Potem cisza, jakieś szepty i drzwi się cichutko otwierają. Wchodzą dwie postaci, jedna z nich pochyla się nad chłopcem. I Lucjan teraz, idąc tą ulicą, smutny, na pół wykolejony człowiek, zadrżał ze szczęścia, bowiem za gardło chwycił go taki spazm radości jak wówczas. Ujrzał pochyloną nad sobą

twarz matki, świeżą, zarumienioną od mrozu i pachnącą powietrzem, piękną twarz kobiecą. Przyjechała z dalekiej Rosji na wiadomość o chorobie syna i stała teraz w futrze, od którego rozchodziła się woń perfum w dusznym pokoju. Pocałunki, szepty i nieco dalej inkwizytorska twarz babki. Potem wnoszą podarunki, koń na biegunach, z rozdętymi chrapami. Kiedyż będzie mógł go dosiąść, pewnie niedługo, bowiem choroba już minęła, poszła sobie precz. Wiele, wiele innych rzeczy. Cymbałki. Drewniane kawałeczki do ustawiania różnych rzeczy. O, szczęście.

Lucjan przeszedł Świętokrzyską, skręcił w Mazowiecką i wszedł do „Ziemiańskiej". Przeszedł salę, i znalazł się w wypełnionym ogródku. Stąpał po żwirze, szukając wzrokiem znajomych twarzy. W kącie, pod drzewkiem, siedział komplet. Olafowie, Dziadzia, Wermel, Brocki, Turkowski i Paczyński. Powitano Lucjana wesoło. Usiadł między Olafową a Wermelem. Omawiano ostatni wypadek z Wolicą.

Wermel mówił patetycznie:

— Nie był nawet pijany, siedział zaś w towarzystwie ludzi spokojnych. To prawda, był podniecony, bowiem jeśli się mówi o Norwidzie, trudno nie być podnieconym. Otóż Wolica rozprawiał o tym geniuszu, mówił o niepojmowaniu go przez naród, jeszcze wiele innych spraw poruszał i skończył tymi słowami: „Wszystko przez tę z...ą — wybaczy pani, ale o to właśnie chodzi — polską rzeczywistość". Natenczas od sąsiedniego stolika powstał jakiś pan, powiedział, że jest przodownikiem policji i że nie może słuchać podobnych określeń na ojczyznę. No, i zamknęli Wolicę. Jak tylko się dowiedziałem, poszedłem do niego, do komisariatu. Pozwolono mi się zobaczyć. Powiedział mi po cichu: „Pyta mnie dyżurny przodownik, o czym ja mówiłem. Odpowiadam mu, że o Norwidzie. Co to za facet, pyta mnie przodownik. Poeta, odpowiadam. Gdzie on mieszka? W grobie, odpowiadam. No to ja przeprowadzę śledztwo i porozumiem się z jego rodziną, powiada przodownik. I kazał mnie z powrotem zamknąć". Pożegnałem Wolicę i prosto przyszedłem do was.

— Bardzo się cieszę, że go przymknęli — powiedział Dziadzia.

— Przyjdzie kryska na Matyska — powiedział żartobliwie Wermel.

Olafowa zwróciła się do Lucjana:

— Muszę panu powiedzieć, że pan bardzo źle wygląda. Dziwacznie pan teraz żyje, nic się o panu nie wie. Komu pan swoją werwę odprzedał? Dziadzia opowiadał o waszym mieszkaniu. Powinien pan być szczęśliwy, bo pan przecież lubi takich ludzi, co nie zachowują form zewnętrznych.

— Tak, oni są dość interesujący. Mam trochę pracy, nie chce mi się przesiadywać w kawiarni, więc rzadko was wszystkich widuję. Klimek, masz minę bogatego poety!

Paczyński milczy ponuro. Olaf wtrąca:

— Przedwczoraj został przez nas dotkliwie pobity. — I Olaf zaczyna opowiadać, jak to dwa dni temu byli z wizytą u panny Szpicer, gdzie Klimek urżnął się do nieprzytomności. Trzeba było w końcu wyjść, a jemu ani się śni. Leży na tapczanie i skrzeczy, powiada, że obok niego jest duch Edgara Poe[84]. Na koniec wyciągnięto go jakoś, ale na podwórzu znika nam z oczu. Szukamy, ani śladu. Idę z powrotem na górę. Z daleka już słyszę wycie Klimka. Oczywiście, jest z powrotem w mieszkaniu. Wyciągamy go siłą, a na schodach krzyczy nieprzyzwoicie, wobec czego dostaje lanie, przyjemnie było, Klimek?

Paczyński mruga pogardliwie.

Pijaństwo

— Miałem z nim kiedyś podobną historię — powiada Dziadzia. — Jakieś cztery lata temu pojechaliśmy do takiego sanatorium dla alkoholików w Miłowodach. Urzynaliśmy się tam razem z lekarzem, którego później przez nas wyleli. Jednego wieczoru, czy w nocy nawet, słyszę ze swego pokoju piekielny hałas na kurytarzu. Otwieram drzwi i wyglądam. Był to bardzo długi kurytarz, kończący się z jednej strony marmurowymi schodami, prowadzącymi w dół. Klimek w pełnym biegu jeździ na rowerze po tym kurytarzu. Kiedy dojeżdża do schodów, zwala się razem z rowerem na posadzkę. I tak w kółko. Widzę, że jest pijany jak bela. Mówię do niego cicho: „Co ty wyprawiasz, pobudzisz wszystkich". „Milcz, brodaczu — odpowiada — i nie psuj mi rozkoszy pędu". Znowuż wsiada na rower i pędzi prosto na schody. W ostatniej chwili go złapałem, bo byłby poleciał na zbity łeb.

[84]*Poe, Edgar Allan* (1809–1849) — poeta i pisarz amerykański, autor utworów pełnych grozy i makabry. [przypis edytorski]

Wówczas zaprowadziłem go do pokoju, wściekły zupełnie i tak nim wyrżnąłem o ścianę, że się wszystko zatrzęsło. Myślałem, że go zabiłem, bo leżał nieprzytomny i blady. Ale zaraz wstał i powiedział: „Z tyranami nie mieszkam, jutro się wyprowadzam". Byliśmy tam jeszcze kilka dni, wyrzucili nas w końcu.

— I dumny jesteś z tego, żeś poturbował kolegę, który był w stanie alkoholicznym? — I Klimek gorzko się uśmiechnął, co jeszcze bardziej spotęgowało ogólną wesołość.

W ogródku było chłodno i zacisznie. Na murze kołysały się fantastyczne cienie gałęzi, poruszanych przez wiatr. Na górze grano jakieś rzewne tango. Tak więc, siedziano sobie tutaj, trochę plotkowano, opowiadano rzeczy wesołe i nudne. Lucjan uprzytomnił sobie dzisiejszą scenę z panną Leopard i teraz dopiero nastąpiła reakcja. Opanowała go bezbrzeżna udręka. Przyszłość widział jak najczarniejszą, myśl o powrocie do domu była mu nieznośną. Wermel zaczął rytmicznie recytować mu Villona. *Wielki testament*[85]. Opowiedział mu o swojej biedzie.

— Nie mieszkam już na Rybakach, korzystam chwilowo z gościny mego kuzyna, stroiciela fortepianów. Jakoś tam się żyje, teraz chętnie bym coś zjadł, nie mam jednak nadziei. Robię przemiłe spacery, chodzę do parku Skaryszewskiego, patrzę na staw, ogromnie lubię wodę wieczorem, patrzeć na nią. Tak, zabrałem się do tłumaczenia dziełka Luciane Samosate, pod tytułem *Miłośnik Kłamstwa*[86]. Okazało się, że mam pewne braki w greckim, które staram się uzupełnić. Na twarzy twojej, Lucjanie, widzę „cierpienie— bakalarstwo wraże". Odrzuć to wszystko, jesteśmy przed, a nie za. Sądzę, że ze zdrowiem twoim jest dobrze.

— Tak sobie, nie bardzo. Może wyjdziemy razem, przekąsić coś, mam parę złotych. Dobrze? Dziadzia, zostajesz?

— Co, idziesz do domu? Ja posiedzę jeszcze trochę, siedź.

Ale Lucjan pożegnał się. Wyszedł razem z Wermelem. Wysoko warczał motor samolotu i widać było czerwone światełko na niebie. Ciszę wieczoru zakłócało radio na ulicy. Na Nowym Świecie wstąpili do baru. Wermel, jedząc bigos, ciągle mówił coś do zadumanego nad talerzem Lucjana.

— Ten stroiciel fortepianów, u którego mieszkam, to jest stryjeczny brat mojego ojca, stary kawaler. Mieszkamy w takiej pracowni malarskiej, co to prócz okna ma jeszcze szklany dach. No i nigdy nie mogę się wyspać. W parku Skaryszewskim jestem do zamknięcia bramy, potem idę pieszo do domu i mniej więcej około pierwszej zasypiam. Ale już o trzeciej budzi mnie kuzyn na mleko. Ma on taki zwyczaj, że w nocy pije mleko i je polewane lukrem sucharki, potem znów się kładzie. Jestem czasem wprost wściekły, półprzytomny ze snu, nie, on mnie dotąd szarpie, dopóki nie wstanę i nie zjem tego przeklętego śniadania. Nie wyobrażasz sobie, co to za tortury. Ten sen do trzeciej jest tak nerwowy, niezdrowy, że spowodował u mnie rozstrój psychiczny. Ciągle tylko czekam: „Kazik, chodź pić mliczko z sucharką, nie marudź, tylko chodź, bo ci stryjuńcio wszystko zeźre... Kazik, Kazik, no chodźże, dokąd będę wołał! Kazik Kazik, no, już, wstawaj na mliczko, na sucharkę, Kazik!" — I woła, i potrząsa mnie, i szarpie, dotąd, dopóki nie wstanę, a jak już wstanę, to wtedy daje mi pół szklanki mleka i kawałek sucharka ze słowami: „Jakbyś się obiadł na noc, tobyś spać nie mógł dalej, kociaczku". Oczywiście, chodzi mu o moje towarzystwo. Rano, o siódmej, naprzeciw naszego okna, tylko o piętro niżej, myje się jakaś urzędniczka, młoda niewiasta, rozbiera się do pasa, i najzwyczajniej w świecie myje się przed pójściem do biura. To on mnie po to budzi, żeby powiedzieć: „Patrz, patrz, ona znów". To: „Ona znów" — powiada szeptem i kiwa głową. Powiadam ci, że ja tego faceta kiedy zabiję.

— Haha, to rzeczywiście ponure... Jakże on wygląda?

— Wygląda — proszę ciebie — jak solidny, niegłupi, dajmy na to kupiec. Jest dość wysoki, ma czerstwą twarz, blond włosy zaczesane do góry. Wcale nie sprawia wrażenia dziwaka. Kiedyś rano, kiedy usnąłem po tej urzędniczce, budzi mnie po raz trzeci i mówi: „Słuchaj, Kazik! Ti wstań i napisz mi wierszyczek na ładną kobietę, bo dzisaj jej imieniny

[85] *Villon, François* (ok. 1431–po 1463) — średniowieczny poeta francuski, jego doświadczenia z paryskiego półświatka i więzień stały się kanwą poematu *Wielki Testament* (ok. 1461). [przypis edytorski]

[86] *Lukian z Samosat nad Eufratem* (113–190) — autor dialogów filozoficzno-satyrycznych. [przypis edytorski]

i ja muszę jej to dać obok prezenta". Czy dasz wiarę, że męczył mnie dotąd, dopóki nie napisałem mu tego wiersza? Kryminał...

— Dlaczego on tak źle mówi?

— To jest taki francuski Żyd, w ogóle mam dość kosmopolityczną rodzinę.

Wermel z rozkoszą popijał piwo. Po chwilowym milczeniu Lucjan zapytał:

— Wermel, co ty chcesz zrobić w życiu?

— Prosta sprawa. Napisać szereg tęgich wierszy. Nic innego przecież nie potrafię.

— Jakich wierszy? Jaka idea w nich tkwić będzie?

— Mój drogi, jestem poetą burżuazyjnym, nie mam żadnych idei. Piszę dla ludzi, którzy potrafią czasem mieć wolną chwilę na przejęcie się moją wizją. Nigdy właściwie nie zastanawiałem się nad ideą w poezji. Przecież to takie proste. Chodzi o dobry wiersz, muzykę słowa, no i piękno. Nie, nie mam żadnych idei, co mi się tam w mózgu urodzi, to hajda na papier.

— To bardzo źle.

— Bardzo źle, tak. A co ty chcesz pisać?

— Ja... ja prozę, realistyczną prozę. Powieść. Nowela.

— Wobec tego, mój drogi: poezja może się obyć bez idei, ale proza nigdy. Prócz talentu, trzeba mieć rozum, który u ciebie jest, Lucjanie, ale prócz rozumu, trzeba wiedzieć, co pisać. Chcesz więc być polskim pisarzem?

— Nie, europejskim.

— Jak to? Pozwolisz jeszcze jedno piwo?

— Nie chciałbym być czytanym przez samych rodaków, którzy by mówili, że mam serce płonące miłością do ojczyzny, że pragnę jak najlepiej i tak dalej. Serce Tomasza Manna też silnie bije dla Niemiec, co mu nie przeszkadza być czytanym przez całą Europę. Te grzecznościowe nagrody Nobla dla Sienkiewicza i Reymonta[87] niczego nie dowodzą. Diabli biorą, kiedy się weźmie do ręki współczesną książkę miernego nawet pisarza Niemiec czy Francji; od razu się czuje tę rasę, poziom, kulturę, i te rzeczy tłumaczy się u nas, czyta się je, oni nie potrzebują robić tak jak my, żeby nasz Pen Club musiał płacić za wydanie w obcym języku jakiegoś Kadena, czy cholera wie już kogo. Czy zastanawiałeś się, że poza kilkoma poetami i jednym Prusem, nie mamy właściwie literatury. A ostatnio to już się zupełnie nie pisze, a jak się wyda coś, to sami to czytamy w chwilach wolnych od cudzoziemskich książek. My nie zdajemy sobie sprawy z tego, że artysta jest przede wszystkim dla świata, a potem dla narodu. Najwyższy czas, abyśmy dogonili jeszcze ten — ogon chociaż — kultury europejskiej.

— Mój Lucjanie, najsmutniejsze z całej tej rozmowy jest to, że obaj nie mamy idei. Nie wiemy, czego się trzymać. Bo widzisz, Żeromski zmarnował swój geniusz dla wielkiej sprawy, niby rozumiemy, że ta publicystyka pozbawiła go wielu możliwości artystycznych, przede wszystkim artystycznych. Każde młode pokolenie literackie dotychczas dawało coś nowego. My, niby ci najmłodsi, nie mamy nic, nie przedstawiamy sobą nic. Jest między nami kilku tych zdolnych i na tym kończy się cała sprawa. Zapłać i chodźmy.

Wermel odprowadził Lucjana do Królewskiej i pożegnał go słowami:

— Ale to może lepiej, że nasz kraj pozostał w tyle, kto wie, czy nie staniemy się nową Grecją w zmurszałej Europie. Bądź zdrów!

Było już po jedenastej, kiedy Lucjan znalazł się w domu. Mimo otwartych okien, w pokoju panował zaduch okropny. Zwłaszcza rzadko prane skarpetki i niemyte nogi studentów dotkliwie dawały się we znaki nozdrzom. Światło paliło się jeszcze i studenci oraz Mieciek rozprawiali gorąco. Edward siedział w bieliźnie na biurku i od czasu do czasu wtrącał jakąś ohydną anegdotkę. Mieciek mówił o piatiletce[88]. Jego przykry głos denerwował Lucjana na równi z upałem i zaduchem. Siedział więc na łóżku i ćmił papierosa w tępej rozpaczy. Dziadzia, który wkrótce też się przywlókł, począł kląć ze względu na powietrze i zaraz zapalił fajkę. Potem rozebrał się powoli i niechętnie. Odezwał się do Lucjana:

— No, i jakże tam wizyta, powiodła się?

[87] *nagrody Nobla dla Sienkiewicza i Reymonta* — Władysław Reymont otrzymał ją za powieść *Chłopi* w roku 1924, Henryk Sienkiewicz za *Quo Vadis* w roku 1905. [przypis edytorski]

[88] *piatiletka* — plan pięcioletni, kolejne fazy planowania gospodarczego w Związku Radzieckim od roku 1928, [przypis edytorski]

— Daj mi spokój, pomówimy o tym kiedy indziej.

Potem uciszyło się. Tylko w mroku zabrzmiał zdławiony od zachwytu głos Józefa:

— Jak zdam egzamin, to pójdę do burdelu, ale do takiego porządnego, za dziesięć złotych.

Nikt mu nie odpowiedział, więc usnął, ziewnąwszy przedtem kilkakrotnie i głośno.

Rozdział VII

W październiku wrócił Zygmunt. Stracił posadę razem ze swoim zwierzchnikiem. Tamten miał swoje zapatrywania, socjalizm czy coś takiego. Usunięto więc i sekretarza. Ale Zygmunt nie ma miny poszkodowanego. Dostał pensję za trzy miesiące i jeszcze jakieś dodatki. Jest dobrze ubrany, pieniądze złożył w kasie oszczędnościowej na imię matki. Ma też co opowiadać. Wojewoda tu, wojewoda tam, czarne kawki, towarzystwo, polityka, samochód. Wiele, wiele zaszczytów.

Od letnich miesięcy Lucjan nie miał dnia, który by mógł nazwać przyjemnie spędzonym. Narastały tylko coraz większe warstwy nudy i zwątpienia. Zarówno on, jak i Dziadzia, mimo biedy, nędzy prawie, cierpieli przede wszystkim na ubóstwo energii, myśli i brak wiary w możliwość podźwignięcia się z tego stanu. Lucjana dręczyły jeszcze inne rzeczy. W nocy się pocił, wieczorami piekły go policzki. Rankami suchy kaszel, zdawało się, że rwie nerwy na strzępy. Dość często przypominał się pewien ciepły wieczór i melodia walca *Na moście*.

Dziadzia dostał pieniądze. Półtora tysiąca złotych na skutek podania do urzędu zajmującego się sprawami sztuki. Obiecał napisać książkę, wyszperał stare recenzje, tyczące się jego morskich opowiadań. Spłacił trochę długów, reszta poszła na kilka upojnych nocy w towarzystwie Lucjana, Zygmunta i Bove. Były to pijaństwa ze śpiewami, pełnymi fantazji toastami i zapomnieniem. Szereg tych beztroskich godzin został uwieńczony jedną nocą, po której Lucjan przestał pić, a zaczął myśleć.

Pewnego popołudnia, w drugiej połowie października, kiedy trzej przyjaciele znajdowali się w stanie kilkudniowej abstynencji i rozważali, jakby ją przerwać, przyszedł Bove i mimochodem napomknął o wolnej setce oraz chęci otrząśnięcia się z szarzyzny życia codziennego. Wyruszono więc do Fukiera, na tanie, tyrolskie wino. Wszyscy czterej byli w świetnym nastroju, co nie przeszkadzało Lucjanowi szepnąć do Zygmunta:

— O, widzisz właśnie, w jakich razach okazuje się u nas młodość. Zauważ tylko, jacy jesteśmy w tej chwili szczęśliwi, pełni fantazji, dowcipu.

— Ach, już kraczesz, ty sentymentalna d...o.

I Zygmunt pierwszy wchodzi do wnętrza winiarni.

W małym pokoiku jest tak przytulnie, że Lucjan nie może się powstrzymać od radosnej uwagi:

— Patrzcie, jak tu będzie przyjemnie gawędzić. Która to godzina, piąta, wszyscy pracują, zajęci są sprawami życia, a my będziemy leniuchować i popijać wino. Czyż nie świetnie?

Rozsiedli się niby do jakiegoś obrządku. Dziadzia, jak zawsze na początku każdego pijaństwa, rozpoczyna poważną rozmowę. Ach, tak, gdzieś w pobliżu Korei, z daleka już widać wielkiego, w skale wykutego szympansa, bożka płodności, ze sterczącym fallusem. Bezpłodne Malajki nadziewają się na kawałek kamienia i trwają tak, z modlitwą na ustach. On, Dziadzia, podglądał i jeszcze jeden marynarz, niektóre prześliczne, młode... cudne. Bove tłumaczy znaczenie miłosnych słów u Aretina. Tak, to coś a la gianetta[89], te Malajki.

Zygmunt ma pragnienie, wypija więc od razu dwa kieliszki, potem mówi poważnym głosem:

— Lepsze się pijało, tam na przyjęciach. Tak, tak, przyjaciele. Człowiek, dzięki przypadkowi, uniknął wykolejenia. Poznałem obowiązek, poczucie odpowiedzialności, godność się u mnie obudziła i poczucie dumy z wagi mego stanowiska. To nie wiersze, to życie... Żywe życie, namacalne.

— Widać nie byłeś poetą, skoro kilka miesięcy biura wytrąciło cię z formy — mówi Dziadzia.

[89] *gianetta* — wierzchowiec rasy hiszpańskiej. [przypis edytorski]

— Ach, nie. Po prostu systematyczna praca okazała mi szereg nonsensów, jakie daje tak zwana zawodowa poezja. Natchnienie to nie chleb, a jeżeli robi się jeszcze coś poza pisaniem wierszy, wtedy jest się małpą. A zresztą, mój kochany, dla kogo będę ja te wiersze pisał? Może tak jak Broniewski, dla proletariatu, a czytać je będą z uśmiechem zadowolenia i, ba, uznaniem nawet, fabrykanci łódzcy po obiedzie, przy czarnej kawie. Czy nasz robotnik zrozumie, jak mu powiem: „Robotniku, twoja przepocona koszula jest puklerzem od hańby lenistwa, które daje posiadanie". Niechby mnie zobaczył, na pewno by mi kamieniem nogę przetrącił. Daj mu tę hańbę, niech ją posiada. Wszystko bzdura, tylko zdrowa zgoda ze współczesnością dać może odrobinę zadowolenia z życia. Pijmy.

Innowacje w mózgu Zygmunta były dla Lucjana i Dziadzi tak przykre, że ominięto ten temat. Bove biadał:

— Ach, upadek, kompletny upadek. Żadnych tradycji literackich, Skamander[90], ohyda, kilku sprytnych Żydków, handlujących wierszami. Klika.

— Z tym się nie zgodzę — przerwał żywo Lucjan. — Skamander pokazał swoje oblicze i stworzył zupełnie nową literaturę. Szczekamy na nich, wyśmiewamy, a sami w gruncie rzeczy naśladujemy ich, i to jak nieudolnie. Tak, oni coś zrobili, zeuropeizowali do pewnego stopnia naszą prowincjonalną literaturę. A zamiast kontynuować dalej ich zamierzenia, wzruszamy pogardliwie ramionami i w dodatku nie umiemy stworzyć nic nowego. To jest wielkie świństwo gadać na nich. To pomniejszanie ich wartości jest charakterystyczne dla naszego beztalencia.

Zygmunt wtrącił niepewnie:

— Co oni nowego zrobili? Wzorowali się na Leśmianie.

— Ach, d..a z kolegi. Ciągle to: wzorowali się, naśladowali, epigoni tego, a spadkobiercy tych. Czcza gadanina. Wzorowali się, ale robili to dobrze i ze smakiem. Nie ma o czym mówić, lepiej wypijmy tego wina.

Kończyli już trzecią butelkę. Bove powtarzał ze smutkiem:

— Jesteśmy skazani na zagładę. Nasz kraj do niczego nie dojdzie.

— Nie gadaj głupstw, Michale, lepiej powiedz, co porabia twoja żona?

— Oj, nie wspominaj mi jej. Wyobraź sobie, że ona chce, abym ja napisał dramat o nas dwojgu. Codziennie są o to straszne awantury. Wymyśla mi od niezdarów i tak dalej. Ona chce się tam otruć w ostatnim akcie. Ja mam ją zdradzić. Baba ma bzika. Nie żeńcie się, moi drodzy, dla pisarza jest to grób.

Następnym dwóm butelkom towarzyszył śpiew. Zygmunt odrzucił swą dostojność precz i ryczał:

— Włoożę spodnie... czarne, cmentarne... iii pójdę w siną dal... nic nie zostanie tu po mnie... jeno ten cichy żaal... jeno te białe modrzewia... jeno ten cichy frasunek... i hen daleko za miastem... w knajpie... niezapłacony rachuunek[91]...

— Przestań jęczeć! — wykrzyknął Lucjan. — Mówcie o czymś poważnym, a nie śpiewajcie bzdur. Czy doprawdy już nic was nie obchodzi?

Dziadzia bawił się jak dziecko. Sól od migdałów wysypał na stół i kreślił palcem przeróżne znaki. Zygmunt, półleżąc na stole, mruczał coś bez sensu, Lucjan bezmyślnie kręcił kieliszek w kółko, a Bove mówił żałośnie:

— Miałem, miałem dawniej majątek, jeździłem sobie po obcych krajach, zwiedzałem tu, siu. A teraz żyje się w tak opłakanym stanie. Teraz jestem człowiekiem pióra i nie mogę sobie nawet pozwolić na małe, nędzne auto. A o willi to już zupełnie nie ma co marzyć. To po to ma się ten talent, żeby chodzić piechotą po błocie. Inni, moi koledzy, rozbijają się, piją szampana, utrzymują piękne kobiety, słowem, używają, co się zowie. Albo we Francji. Każdy prawie pisarz ma willę pod Paryżem, a jak lepszy, to i dwie. Jego sztuki po dwa lata nie schodzą z afisza. A to co? Straszne, straszne.

Nikt z obecnych nie przerwał swych zajęć, tylko Dziadzia szepnął:

— Wot głupi czełowiek.

Bove wychylił kieliszek. Zygmunt mówił kusząco:

---

[90] *Skamander* — najbardziej znana grupa poetycka Polski międzywojennej, była nieustannie obiektem ataków ze strony innych środowisk, i lewicowych, i prawicowych. Zasadniczej krytyce poddawali „bezideową" i „wsteczną" poezję skamandrytów twórcy szukający bardziej awangardowych form. [przypis edytorski]

[91] *Włożę spodnie czarne, cmentarne…* — fragment wiersza K. I. Gałczyńskiego, drukowanego po raz pierwszy w roku 1957. [przypis edytorski]

— Chciałbym kiedyś zostać ministrem oświecenia publicznego. Zbierałbym specjalne podatki dla poetów. Sprawiłbym im wymyślne mundury z niebieskiego aksamitu z haftami, wyobrażającymi ciała kosmiczne. Co tydzień urządzałbym turnieje na najlepszy wiersz. Jadaliby jarskie potrawy. Każdy miałby powóz zaprzężony w wytresowane baranki. Och, wymyśliłbym jeszcze wiele innych rzeczy.

Dziadzia śpiewał na melodię *Uchar Kupiec*:

— Idiota, idiota, żal mi ciebie. Dlaczegoś jest idiota, nikt tego nie wie.

— Nie ma chleba, nie ma winca, nie potrzebno Dalmatyńca — powiedział Zygmunt. — Trzeba zadzwonić, żeby przynieśli jeszcze tej cieczy. Bove, czy kochasz *Pinoccio* Collodiego?[92]

— Lubię wszystko, co włoskie lub hiszpańskie. Te kraje to kolebki literatury. Przysięgnij, że się nauczysz włoskiego.

— Nigdy!

— Dlaczego?

— Upór. Jestem uparty.

— Napijmy się więc, może zmiękniesz.

Wypili duszkiem i przez czas dłuższy panowało milczenie. Wreszcie Bove wyszeptał, sycząc jak wąż:

— Dziadzia, a jednak jesteś fałszywy jak pies.

— Dlaczego? — zapytał Dziadzia obojętnie.

— Już ja wiem.

— Powiedz.

— No, no. Wiem i tyle.

— Nie powiesz?

— Już ja jestem pewien.

Teraz Dziadzia zaczerwienił się i powiedział ostro do Lucjana i Zygmunta:

— Przecież to czelność! Facet powiada, że jak pies, tak, powiedział właśnie tak: że jestem fałszywy jak pies. I teraz nie daje mi wyjaśnienia, dlaczego to powiedział. Żądam wyjaśnienia.

Po chwili milczenia, Bove powiedział szyderczo:

— Kto mojej żonie szeptał na ucho sprośne kawałki?

— Ja? Twojej żonie? Kiedy?

— Tak, ty! Na wiosnę, jakżeśmy tu byli z Lucjanem.

— Ohydne kłamstwo. Przecież ja ją wtedy poznałem i prawie wcale nie rozmawialiśmy.

— Właśnie, właśnie! Ona dlatego od razu wyszła, niby z powodu psa. Nagadałeś jej świństw, ona nie jest do tego przyzwyczajona.

Zarówno Bove, jak i Dziadzia wypili po kieliszku wina.

— Co ja jej wtedy powiedziałem? Mów zaraz?

— Za nic tego nie powtórzę. Fakt faktem, że jesteś fałszywy.

— Nic jej nie mówiłem, wyssała sobie z palca.

— A więc dobrze. Kto jej powiedział: „Ma pani takie miłe futerko koło nóżek". Kto jej to powiedział, no, kto?

— Ja! Futerko! Przecież to jest niesłychane kłamstwo!

— Więc po raz drugi ubliżasz mojej żonie? Zarzucasz jej kłamstwo? Mój panie, za dobrze znam moją żonę, aby nie wątpić w jej prawdomówność. Powtórzyła mi to wtedy ze łzami w oczach. Ja sam oblałem się zimnym potem z oburzenia.

Dziadzia wstał od stołu:

— Wobec tego, w tej chwili jedziemy do pańskiej żony i wyjaśnimy wszystko. Nie zniosę podobnego zarzutu. Proszę, jestem gotów do drogi.

— Nie, mój panie. Nie mam powodu niepokoić żonę teraz, kiedy już to wszystko przebolała i czas zatarł ranę pańskiej obelgi.

— Tak? Więc niechaj koledzy sprawę tę rozsądzą. Lucjanie i ty, Zygmuncie! Powinniśmy jechać, czy nie?

---

[92] *Collodi, Carlo* (1826–1890) — pisarz włoski, autor *Pinokio, przygody drewnianego pajacyka* (1881, wyd. polskie 1912). [przypis edytorski]

— Zmiana miejsca jest nawet pożądana. Myślę, że należałoby jechać i rzecz zbadać na miejscu.

— A ty, Lucjanie?

— Ja też, ja też. Dobrze będzie przewietrzyć się trochę.

Bove wstał:

— Skore uważacie to za konieczne, więc jedźmy. Halo, panie, płacimy!

Wszyscy mieli bardzo poważne twarze. Bove uregulował rachunek, po czym towarzystwo wsiadło do taksówki. Bove mieszkał na Pradze. Skoro auto przejechało most, Zygmunt zaproponował:

— Nieźle byłoby wstąpić gdzieś po drodze na kieliszek koniaku. Zawsze to wzmacnia i myśl czyni jaśniejszą. Zwłaszcza teraz, przy tak ważnej sprawie kieliszek koniaku istotnie nie zawadzi.

— Tak — powiedział Bove, — masz rację, ja sam muszę się uspokoić wobec faktu podobnej brutalności ze strony pana Stanisława.

Zatrzymano się przed jakąś podrzędną knajpą. Stanęli przed bufetem i Bove zadysponował cztery kieliszki Winkelhausena. Lucjan dodał:

— I sałatkę z cytrynki.

— Tak, i sałatkę. Kieliszki mogą być większe.

Wypili i stali tak z twarzami wykrzywionymi od cytryny. Dziadzia szepnął życzliwie:

— Może jeszcze raz tak samo?

Zgodzono się. Zygmunt poradził:

— Możemy wypić tutaj jeszcze po jednym, a prócz tego wziąć buteleczkę ze sobą. Będzie nudno bez alkoholu.

Bove zastanowił się.

— Świetny pomysł. Sprawa jest tak wielkiej wagi, że dobrze będzie mieć jakiś środek na ewentualne podenerwowanie się. Biedna Lucia, padła ofiarą swej urody. Proszę dać butelkę tego samego koniaku. Płacę, plus osiem kieliszków.

Dziadzia zaprotestował:

— O, nie! Ja to zapłacę. Butelka jest sprawą gospodarza, ale to, cośmy tu wypili, do mnie należy. Ja załatwię.

— Drogi panie, jesteście moimi gośćmi. Ja pokryję, proszę mi to zostawić.

— Przenigdy! Nie życzę sobie, żeby pan za mnie płacił. Panie bufetowy, ile to będzie?

— Więc tak! Nie dość, że jedziemy wyjaśnić sprawę pańskiego nietaktu, pozwala pan sobie na kwestionowanie moich możliwości płatniczych? Jesteś pan niepoprawny impertynent?

Zygmunt zawyrokował:

— Już, zapłacę ja.

Poszli na ten kompromis. Wsiedli znowuż do taksówki i ruszyli dalej.

Bove przed naciśnięciem dzwonka swego mieszkania, zaproponował:

— Pozwolicie, że ja żonie rzecz całą przedstawię. Może uda się sprawę załatwić przeproszeniem ze strony pana Stanisława. — To mówiąc, zadzwonił:

— Nie mam za co przepraszać — warknął Dziadzia. Ale Bove już tego nie słyszał, bo właśnie otwarto drzwi.

Przyjaciele zdjęli palta i weszli do saloniku. Bove poszedł do pokoju obok. Długą chwilę trwała cisza. Ale raptem rozległ się przeraźliwy głos kobiecy:

— Co! Kiedy! Zwariowałeś! Futerko! Kiedy, ty pijaku ohydny!! On mnie by śmiał coś podobnego powiedzieć! Ja ci to mówiłam!? Na wiosnę? Precz, wynoś się, alkoholiku!! Obrzydliwiec!

W saloniku stanął zmieszany Bove i oświadczył:

— Moja żona okazała się żmiją. Zaparła się wszystkiego. Stasiu, Dziadzia kochany, czy możesz puścić ten wstrętny incydent w niepamięć? Zapomnijmy, ach! Ona teraz wypiera się wszystkiego, komu wierzyć... komu wierzyć?

— Trudno mi będzie przeboleć tę insynuację. Tak, kobieta, język. Pocałujmy się. Czy poleciłeś, aby otwarto koniak?

— W tej chwili, sam to uczynię. Widzieliście coś podobnego? Sama mi to mówiła, jeszcze pamiętam, w łóżku mi to mówiła. I teraz powiada, że ja pijany jestem, że ubzdurałem sobie to. Umhh, Boże.

Podczas kiedy Bove był zajęty korkiem butelki, weszła pani Bove. Była czarująco uśmiechnięta i zawołała ze słodyczą:

— Co za radość, że panowie mnie odwiedzili. Tacy goście! Michał? Aha, otwierasz butelkę. Panie Stanisławie, przecież pan mi nic nie mówił.

— Właśnie, właśnie, takie... nieporozumienie. Już zresztą załatwione.

— Tak, ale jest to fantazja mego męża. Jakoby pan miał powiedzieć, że... że co?

— Że masz koło nóg futerko.

— Też coś, taki drobiazg. Może mi lis upadł na podłogę. Tak, to nieporozumienie. Mój Boże, ten lis już do niczego, sama nie wiem, czym w zimie szyję otulę. Panie Lucjanie, to moja bielizna, niechże pan ją zostawi w spokoju.

Lucjan rzeczywiście w roztargnieniu przeglądał jakieś jedwabie, leżące w kącie sofy. Pani Bove schowała rzeczy te do szafy i poszła do kuchni.

Poczęli pić koniak. Po upływie pół godziny, pani Bove wniosła zakąski, a za nią dziewczyna kawę. Nastrój był wyśmienity. Bove został nawet ucałowany przez żonę. Lucjan nakręcił patefon i w saloniku rozległ się ochrypły głos Ordonki[93]. Zygmunt pochłaniał sardynki i chwalił je. Dziadzia, pijąc kawę, opowiadał jak to będąc dzieckiem, na Korei, widział zderzenie się dwóch pociągów. Hałas, straszny hałas i jęki rannych. Zdruzgotane wagony, krew.

Bove dyskretnie wyszedł do przedpokoju i rezultat tego okazał się po kwadransie w postaci jeszcze jednej butelki koniaku oraz dwóch białego wina francuskiego. Zygmunt szalał z radości. Pani Bove skarciła męża żartobliwym spojrzeniem, na co on ucałował jej policzek. Dziadzia patrzył na butelki jak szatan na niewinne duszyczki. Lucjan zapamiętale cyrkulował między stołem a patefonem. Upływały godziny pełne nieprawdopodobnej wesołości. Atmosfera saloniku nabrzmiewała od śmiechu i zdawało się, że lada chwila coś trzaśnie. I trzasło.

Bowiem w pewnej chwili pani Bove nachyliła się do ucha Dziadzi i powiedziała, rozkosznie grożąc mu paluszkiem:

— Uratowałam pana od niemiłej sytuacji. Na przyszłość nie będzie mi pan mówił podobnych świństewek?

Ach, Bove, Michał Bove akurat to usłyszał. Napełniał kieliszek czy coś takiego, dość, że był pochylony i usłyszał. Dziadzia spoważniał nagle.

— Tak, wydało się! Słyszałem. Więc on ci to powiedział.

Dziadzia wyrzekł z godnością:

— Nic podobnego nie miało miejsca. Pani widać zasugerowała się tym i teraz mi to powtórzyła. Nic podobnego.

Pani Bove starała się żartować:

— Czego podsłuchujesz, ty szelmo. Ładnie tak?

— Oho, pamiętam, teraz widzę to plastycznie. W łóżku, wieczorem w łóżku, powiedziałaś mi o tym futerku. Ha, świństwo jedno, a potem się zaparłaś. Hej! Chodźcie panowie z tego domu, który nie jest już moim domem!! Dziadzia, powiedziałeś, miałeś rację, wiedziałeś do kogo to powiedzieć. Chodźmy panowie! Do palt, do palt!

Nie pomogły szlochy pani domu. Wszyscy wyszli, wsiedli do taksówki i pojechali na drugą stronę mostu. Dziadzia zaklinał się, płacząc prawie, że naprawdę nie mówił nic takiego. Nagle Bove zastanowił się, a potem wykrzyknął:

— Ona sobie to zmyśliła, żeby wzbudzić we mnie zazdrość! Żeby poróżnić mnie z przyjacielem. Podła, ale nie! Nie jest podła, skoro chciała wzbudzić zazdrość. Znaczy, że jej zależy na mnie. Panowie, ach, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Kocha mnie, Lucia mnie kocha. Jedziemy do „Moulin Rouge", tam będziemy się radować. Najdrożsi, wybaczcie, jestem tylko Michał Bove.

Zajęli miejsca przy okrągłym stoliku w jakiejś wrzaskliwej sali, wytapetowanej na czerwono. Większość publiczności stanowili młodzi, eleganccy Żydzi, z arogancją na wy-

[93] *Ordonka* — Hanka Ordonówna (1904–1950), popularna piosenkarka, do 1932 roku nagrała już pięć płyt. [przypis edytorski]

pudrowanych twarzach i potwornie kolorowymi towarzyszkami u boków. Było tu duszno, gorąco i bardzo hałaśliwie. Bove jednak nie zwracał na to uwagi. Podano im koktaile i tak zajęli się rozmową, że zapomnieli, gdzie są.

Podczas, gdy Dziadzia niesłychanie skomplikowanymi zdaniami uświadamiał Bove o nieokreślonych możliwościach perfidii kobiecych, a ten słuchał tego jak ewangelii, Lucjan i Zygmunt tańczyli. Obydwaj byli bardzo pijani i obejmowanie kobiet sprawiało im przyjemności pobudliwe. Ilekroć wracali do stolika, zastawali Bove i Dziadzię pochylonych ku sobie i spowiadających się ze swego życia. Dziadzia mówił rzewnie:

— ...i ani kwiat, ni owad w słoneczny dzień letni nie powstrzymał mnie od okropnego nałogu. Ksiądz mi zawsze mówił: nie branzluj się. Lecz ja nie, zatruwałem sobie młodość samogwałtem.

Na to Bove:

— Czy sądzisz, że ja się czymkolwiek różnię od ciebie? Od dziecka miałem ohydne skłonności do kłamstwa i obłudy, obrywałem przy tym skrzydełka muszkom i przywiązywałem je do nitki. Ach...

— Coście, powariowali! — wykrzyknął Zygmunt. — Tyle łotrostw czynicie w życiu codziennym, a teraz muszki wspominacie. Fałszerze uczuć. Paniee... jeszcze jeden koktail!

Lucjan czuł w sobie wielkie ciepło i rozochocenie. Wrócił właśnie od tańca i pochylił się nad stolikiem, słuchając słów Dziadzi:

"...i ręce wsadzałem siostrom pod sukienkę...". kiedy nagle uczuł słony smak w ustach, a w chwilę potem poczuł, że ma je pełne czegoś gęstego. Usiadł więc i przybliżył chustkę do ust. Była to świeża, spieniona krew. Bove wykrzyknął: „Czerwone wino nie posłużyło ci!" Ale nie było to wino, była to krew. Pierwszy zorientował się Zygmunt i polecił kelnerowi przynieść drobno tłuczonego lodu. Lucjan połykał kawałki lodu i czuł przyjemne osłabienie. Wszyscy otrzeźwieli, przestano się śmiać i Dziadzia zaproponował odwiezienie Lucjana do domu. On zaś szedł wycieńczony, ale mimo to lekko pijany, z przyjemnym szumem w głowie i pięknymi, kolorowymi widziadłami przed oczami. Co chwila przykładał chusteczkę do ust, ale teraz krew spływała tylko za kaszlnięciem i niewiele. Było mu dobrze i lekko. Czuł pewne zawstydzenie wobec przyjaciół i powtarzał co chwila: „To głupstwo, drobiazg, popsułem wam tylko zabawę". Dojechali wreszcie do domu. Przed bramą pożegnał ich Bove, po czym weszli do domu w milczeniu i trosce. Lucjan napił się jeszcze wody, chciał zapalić papierosa, ale Zygmunt stanowczo zaprotestował. Po czym, gdy Lucjan wlazł już pod kołdrę, usiadł na brzegu jego łóżka Zygmunt i począł go niepewnie uspakajać.

— Wiesz, taka krew niczego nie dowodzi. Może być z gardła, z przepalonego wódką gardła z papierosów; słowem, ranka jakaś zrobiła się i stąd ta krew. Czy nie zdarzyło ci się kiedy, żeś rano wypluł trochę krwi? Zdarzyło się. Widzisz więc, że to jest po prostu z nosa lub z gardła. Nic ci nie będzie, jutro przyjdzie doktor, to — zobaczysz — powie, że to głupstwo. Jak się czujesz?

— Zupełnie dobrze, jak najlepiej. Wiem doskonale, że to był krwotok płucny, miałem go już kiedyś, taki sam. Bo widzisz mój kochany, ja przecież już dość dawno choruję. Ile to? Aa, trzy lata. Więc trzy lata, a miałem już raz krwotok, potem długi czas krwioplucie. No, a teraz, ostatnio bardzo nienormalnie żyłem, właściwie w naszym pojęciu bardzo normalnie. Tak. Prócz tego pod każdym względem kiepsko się czułem... i przyszło. Drugi raz już mi się chyba nie uda wywinąć cało. Takie to sprawy.

— Nie myślę cię pocieszać — rzekł Dziadzia — ale powinieneś się orientować, że krwotok to jeszcze nic takiego strasznego. Hoho, ilu to bez krwotoku wyciąga nogi. A znowuż znałem gościa, co miał piętnaście krwotoków i żyje do dziś dnia. Są to rzeczy bardzo nierówne. Naturalnie, jeśli jest to sprawa płuc, to będziesz musiał pokurować się trochę. Niekoniecznie jednak musi to być groźne dla życia.

Rudawy blask świecy drgał na sprzętach. W pokoju słychać było oddechy śpiących. W pewnej chwili Józef gwałtownie usiadł na łóżku, szepcząc z przerażeniem: „Nie strzelajcie, nie strzelajcie... jutro, ale nie dziś...". Potem opadł na poduszkę i spał dalej. Zygmunt palił papierosa i przyglądał się smugom dymu. Lucjan mówił cicho:

— A najbardziej szkodzi mi alkohol. Czuję to, wiem o tym, że byłbym zupełnie innym człowiekiem, gdybym nie pił. I czyż mi to smakuje? Nie znoszę przecież smaku trunków, z trudnością i odrazą przełykam koniak czy też wódkę. Ale jest tam we

środku jakaś potrzeba, coś, czego nie można sobie wytłumaczyć i co nakłania do picia. Już kiedy miałem czternaście lat, w gimnazjum piłem systematycznie wódkę. Była nas taka czwórka. Dwa razy w tygodniu zamiast do szkoły szliśmy do Łazienek, kupowało się dwie butelki wódki, trochę wędliny i gdzieś na uboczu, z powagą i namaszczeniem upijaliśmy się. Pewnie, że nie był to jeszcze nałóg, ale w każdym bądź razie skłonność. Chodziliśmy tedy alejami, zamroczeni, i zaczepialiśmy pensjonarki. Byliśmy największymi przyjaciółmi, łączyła nas ta zakazana rozkosz. O, bo piło się przez i dla towarzystwa. Jest taka powieść Londona, pod tytułem *John Barlecorm*[94]. Autor powiada tam, że nigdy nie miał skłonności do alkoholu i wpadł w ten nałóg jedynie przez kolegów, po prostu pił dla towarzystwa i przez warunki stał się alkoholikiem. To samo jest z nami, upijamy się wspólnie, mimo że często każdy z nas nie ma do tego chęci. Ja, bo nie znoszę alkoholu, ileż jednak razy w życiu nadużywałem. Fatalna sprawa.

— U nas rzecz ta przedstawia się zupełnie inaczej — zaczął Dziadzia. — My jesteśmy młodzieżą okresu, w którym normalne zazwyczaj objawy młodości są skryte, zwiędłe. Wyłaniają się one dopiero pod wpływem narkotyku, olbrzymieją i kwitną. Podczas kiedy na trzeźwo jesteśmy ponurzy, nieprzyjemnie poważni, w trakcie urżnięcia się jesteśmy diablo młodzi, wyłania się wtedy cały bagaż przywilejów młodości, tężyzna, fantazja. Oczywiście, nie wszyscy młodzi ludzie piją, ale wszyscy są diabła warci w porównaniu z dwoma pokoleniami wstecz. Tak, moi drodzy, społeczeństwo nie będzie miało pociechy z tych przedwcześnie zneurastenizowanych, zerotomanionych i przedwcześnie wyprutych z wariactw młodości bubków. Pomogła temu w lwiej części wojna, trochę błądzenie w poszukiwaniu ideału, no i chorobliwe przeintelektualizowanie, które prowadzi myśli na manowce, a nie pozwala widzieć istotnych potrzeb epoki. Ja myślę, że z tego gnoju wyjdzie wreszcie jakiś geniusz, który wskaże naszym mętnym łbom, co mamy robić. Najpierw prawda, a potem niech się zło i dobro jak mogą, wykręcają, powiedział Sainte-Beuve[95]. Spójrzmy na tę naszą polską rzeczywistość. Nie mamy polityków, nie mamy artystów, nie wiadomo, czy jesteśmy krajem konserwatywnym czy postępowym. Nasze miasta są wstrętnie prowincjonalne w porównaniu z zagranicą. Ktoś powiedział niedawno, witając zagranicznych gości, literatów zdaje się, że jesteśmy młodzi, że mamy dopiero dziesięć lat i nie mieliśmy czasu wiele zrobić. U diabła, więc cała nasza prawie tysiącletnia kultura jest mitem? Niewola. Ha, trudno. Włochy to cierpiały, kraje bałkańskie. Jesteśmy źle położeni geograficznie, taki los. Po cóż jednak, u pioruna, ten optymizm, po co to zakłamywanie się? Róbmy coś wreszcie: malarze niechaj malują, literaci niechaj piszą, politycy niech się przestaną wodzić za łby. Wiecie co, ja myślę, że tacy Francuzi albo Anglicy, to muszą sobie z nas kpić tęgo. To nasze odbudowywanie się nasuwa mi na myśl analogię z gmachem, koło którego kręcą się pijani mularze i zwariowani widzowie, wołając: „Ależ to będzie piękne, już jest wspaniałe, a co będzie dalej!" Jesteśmy w mrocznej pustce i nie widzimy wartości, które można by wyszukać, potrzeba faceta, który by nam poświecił. Tak, Lucjanie, ten twój krwotok może ci zrobić bardzo dobrze; po prostu zaczniesz racjonalnie żyć, może zaczniesz myśleć trochę. Ja tam gwiżdżę na wszystko. Moja piosenka prześpiewana. Nie zrobię już nic, a mam lat trzydzieści.

— Ja myślę, że właśnie to twoje wmawianie w siebie prześpiewania piosenki doprowadziło cię do tak pesymistycznych poglądów. Nie jest tak podle. Niewątpliwie, przeżywamy fatalny okres dziejowy, ale myślę, że warunki naszego życia specjalnie nas uprzedziły do wszystkiego. Tak, trochę światła przydałoby się.

— Brednie, mój przyjacielu, nie wierzysz w to, co mówisz. Lepiej wiedzieć niż się dowiedzieć. Zygmunt, gdybyś mi podał szklankę wody, byłbyś porządnym chłopem.

Zygmunt poszedł do kuchni po wodę. Lucjana porwał kaszel, na chusteczce ujrzał znowu kilkanaście czerwonych żyłek. Było mu teraz wszystko jedno, czuł nawet pewną ulgę na myśl o kilkudniowym, przymusowym leżeniu. Wyciągnięty na wznak, oddychał szybko i chrapliwie.

Zygmunt podał wodę Dziadzi, mówiąc:

— Ja osobiście postanawiam nie pić już. Do d..y z takim życiem od kieliszka do kieliszka. Zapisuję się na uniwersytet, na filozofię. Trzeba coś skończyć.

[94] *John Barlecorm czyli wspomnienia alkoholika* — powieść amerykańskiego pisarza Jacka Londona (1923, wyd. pol. 1926). [przypis edytorski]

[95] *Sainte-Beuve, Charles Augustin* (1804–1869) — francuski krytyk literacki. [przypis edytorski]

— A skończ. Bove też skończył, jest doktorem filozofii i ledwie koniec z końcem wiąże. Tę dzisiejszą wycieczkę odpokutuje przez cały miesiąc. Nie chciałbym być na jego miejscu, ma pewnie teraz słodką przeprawę z żonką. Milasek baba, nie ma co. Wymyśliła sobie historyjkę, że ja jej coś tam powiedziałem, to drańst wo dopiero, mogliśmy się jeszcze pobić z Bove. Co mu przyszło na myśl żenić się z taką sekutnicą[96]. Och, jakież to wszystko jest idiotyczne.

Właśnie Zygmunt zaczął coś mówić, kiedy z kuchni rozległ się przenikliwy głos Stukonisowej:

— Co tu u nagłej i niespodziewanej śmierci, jest hotel u mnie albo burdel jaki?! Trzecia w nocy, a oni sobie rozmówki prowadzą i nie dadzą spać człowiekowi, co haruje od rana do nocy jak wół! Za te marne parę groszy człowiek musi cierpieć takich draniów łajdackich, pijusów zapowietrzonych, co to snu człowieka pracującego nie uszanują. Ażebyście nieroby jedne, nic dobrego w życiu nie odczuli! Żeby was...

— Może mama przestanie krzyczeć w nocy. Proszę iść spać z powrotem!

— A już, bo tobie się zachciewa łajdaczyć po nocach, że cię już na mordę wyrzucili z roboty, jużeś się doigrał tam, że cie nawet roku nie potrzymali. Po com cię, cholero jedna, do szkół posyłała, że tylko we łbie ci się przewróciło i zdaje ci się, żeś już taki inteligent, że nawet matce, co cię krwawą pracą wychowała, będziesz jeździł po nosie. Patrzajcie go, pętaka, łachmaniarza, wszystkie rozumy pozjadał!

— Jak mama dostała ataku szału, to ja zaraz zrobię, co należy. Proszę się uciszyć w tej chwili, nie jesteśmy tu sami!

— Milcz! Mówię ci milcz, ty wyrodku, ty przeklęty przez wszystko na ziemi łotrze. Oszalałam! Teraz to ci już oszalałam, jużeś za wielki pan, że się swej matki wypierasz! Wyrzucę ciebie i tych twoich zatraconych kompanów na zbitą mordę. Ten chudzielec, ten brodacz parszywy już mi za dwa miesiące winien, a teraz jeszcze po nocach wyszczekuje na kraj ojczysty. Już ja sobie dam z wami radę, wycieruchy, obijknajpy!

Z pościeli wyłoniła się ponura twarz Miećka:

— Zamilczycie wy, czy nie, może dacie spać do nagłej cholery!

— Leż tam, ty drugi gagatku, bolszewicki wychowanku. Ha, doczekałam się synalków: jeden bandyta, a drugi wielki pan, co bez portek chodzi. W tej chwili gasić mi te świece, bo wam tu garnkiem łby porozbijam!

Stukonisowa równie szybko uciszyła się, jak wybuchła. Dziadzia, o, musiał spać i nic nie mówić, bowiem istotnie zalegał z opłatą tego kąta. Przykro jest płacić za to, co człowiekowi się słusznie od życia należy, za prawo do przespania. I miał przecież pieniądze, owe półtora tysiąca złotych, ale rozeszły się, zapomniał nawet, że winien jest Stukonisowej. Ach, teraz przykrość i obelgi. Brodacz parszywy — straszne.

Zygmunt rozebrał się i ze słowami: „Możesz gasić", ułożył się obok Dziadzi. Lucjan zdławił palcami płomień świecy. Zapach kopciu podrażnił mu nozdrza i znowuż porwał go kaszel. Cierpliwie przeczekał szarpnięcia płuc i czując, że nieprędko uśnie, otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w ciemność. Co miał od życia? Dało mu ono tak skąpą porcję radości, iż zginęła ona w nawale zła. Dzieciństwo było przecież bolesne i otoczone mrokiem nieporozumienia jego stron dodatnich. A potem młodość. Otrzymał lotność umysłu, jak na drwiny, aby bardziej pojmował nędzę i cierpienia, jakie mu towarzyszą. Ach, Boże, w piętnastym roku życia, w rozkwicie chłopięctwa los zmusił go do ciężkiej i nędznie opłacanej pracy. Przypomniał sobie potworne dni, gdy jako praktykant ślusarski w garażu, po kilka godzin leżał na śniegu pod automobilem i odkręcał skrzynki biegu; palce sztywniały mu i przymarzały do wielkich, żelaznych francuskich kluczy, gęsta oliwa i błoto padały na twarz. Nędzne pożywienie i nauka po nocach, kiedy o szóstej rano trzeba było wstać, aby na siódmą zdążyć do warsztatu, wycieńczały młody organizm. Potem w amerykańskiej misji metodystów pół roku przesiedział zgarbiony nad starym obuwiem w jakimś warsztacie szewskim, w zaduchu skór i klejów. I nigdzie nie mógł wytrzymać długo. Kolejno pracował w sklepie kolonialnym, w fabryce guzików i w sklepie z wyrobami skórzanymi. Z trudem zdobywane wykształcenie umożliwiło mu wreszcie pracę w biurze. W dusznym pokoju cierpliwie przepisywał jakieś akta. Już kaszlał, już przeszedł pierwszy krwotok. W tym biurze próbował pisać swoje opowiadania, kradnąc

[96] *sekutnica* — złośnica, awanturnica. [przypis edytorski]

godziny firmie. Udało mu się coś wydrukować, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Dostał stałą współpracę w tygodniowym piśmie. Przystał do grupy młodych poetów, chwalono jego talent, lubiano go. Ciągle pogłębiał swą wiedzę, uczył się, czytał masę. Do czegóż wreszcie doszedł tą swoją wytrwałością? Jakież rezultaty dało mu ciężkie borykanie się z losem od lat najmłodszych? Wśród kolegów nie znalazł wzniosłych myśli i dążenia do rzeczy wielkich, wśród ludzi zaś napotkał na pustkę i chęć jak najintensywniejszego użycia. Nie spotkał ludzi mądrych i prawdziwych poetów. W poszukiwaniu czegoś istotnego, osłabił swoje nerwy i przeoczył młodość. Kimże jest wreszcie? Wstrętnie okpionym przez rzeczywistość, w nędzy umierającym młodzieńcem. Porzucił wyjaławiającą pracę w biurze, utrzymywał się z pensji ofiarowanej mu przez pewnego bogatego mecenasa, ale teraz cofnięto mu to i wszystko się skończyło. Brak mu było energii, wszystkie plany w łeb wzięły, zdrowie się pogorszyło i oto leży teraz w tej ciemności, w dusznym kącie, pełen zwątpienia i rezygnacji.. Ojciec, matka, opuścili go i taką mają pociechę, że nie widzą jego upadku. Zamknął oczy i próbował usnąć, ale w głowie brzęczały mu natrętnie gdzieś przeczytane czy zasłyszane słowa o potędze umysłu ludzkiego, o wielkości, o radosnych celach życia, triumfie intelektu i możliwości osiągnięcia ideału i nasycenia się istnieniem. Ach, gdzież są ci, którzy to widzą lub posiadają. „Dążyłem do wyżyn, ale po kilku krokach spostrzegłem, że nigdy tam nie dojdę. Takich jest wielu i dojdzie jeszcze, żeby już nie czuć i nie myśleć, żeby usnąć".

Odurzony pracą mózgu i wyobraźni, znękany rozpamiętywaniem przeszłości, zapadł się wreszcie w jakieś tępe osłupienie, pełne majaków i wizji, w coś, czego nie można by nazwać snem człowieka szczęśliwego.

Nazajutrz Dziadzia i Zygmunt mieli ponure twarze, kręcili się leniwie po mieszkaniu, mówili głupstwa albo pili herbatę. Jesień już była w pełni, słońce blade, a powietrze jakby rzadsze. Koło południa przyszła do łóżka Lucjana Teodozja i zapytała gburowato:

— Nie wstyd ci to tak leżyć? Dzień jak wół i wszyscy na nogach.

— Wstyd mi, ale niezbyt dobrze się czuję. Wczoraj miałem krwotok.

— Niby krew ci ustami poleciała? Przecież możesz umrzeć od tego! Trzeba, żeby doktor przyszedł.

— Ano, trzeba. Musiałby ktoś to załatwić.

Do łóżka podeszli Zygmunt i Dziadzia, na pół ubrani i bladzi. Zygmunt zawołał:

— O, już nie śpisz. Nie chcieliśmy cię budzić. No i jak się czujesz?

— Chyba mam gorączkę. Boli mnie lewa strona piersi i ciężko mi oddychać.

— Nie moglibyście to, wałkonie, skoczyć który po doktora? Jak miał krwotok, to teraz ma ranę w płucu. Jesteście koledzy, ale do wypitki — wykrzyknęła Teodozja.

— Pójdę zaraz po doktora. Poszedłbym z samego rana, ale musiałem się jeszcze z tobą porozumieć, a nie chciałem cię budzić. To, że się źle czujesz, to nic dziwnego, wypiłeś wczoraj niezgorzej. Myślisz, że my to jesteśmy zdrowi? Popatrz na Dziadzię, wygląda jak sczerniała tyczka od chmielu. Myśmy wczoraj z powodu twego wypadku za wcześnie wytrzeźwieli i teraz ten zepsuty alkohol, który nie zrobił swego, pokutuje w nas. Zaraz się ubiorę i wyszukam doktora. Internistę trzeba. Bądź pewien, że pojutrze pójdziemy na wódkę. Wszystko będzie dobrze.

Zygmunt ubrał się i wyszedł. Dziadzia usiadł na łóżku Lucjana, a Teodozja obok na krześle. Prócz nich w pokoju byli jeszcze Józef i Bednarczyk, obaj zajęci nauką.

Teodozja zrzędziła:

— Jak kto tak wódkę chla, to pewnie, że mu się płuco przepali, a jeszcze te papierosiska, a nie doje, nie dośpi. Przejedzie się pan na tamten świat, to dopiero zobaczy. Te chłopy, to naprawdę, nie wiedzą, czy na łbie stawać, czy już sama nie wiem co. Pan Dziadzia to pewnie też z jednego płuca nie ma, taki suchy.

— Ja się urządziłem zupełnie bez płuc — odpowiedział Dziadzia ze śmiechem. — Już mam taką umowę z Panem Bogiem.

— A już. U nas na wsi jeden chłop młócił żyto i jak mu się nie puści krew z gęby, chyba ze dwie kwarty, całe klepisko ufarbował. To potem doktor powiedział mu, że ma suchoty. I ten chłop zaczął jeść psi szmalec, cały taki garnuszek na dzień zjadał. Z początku zaczął chudnąć, ale potem to tak zgrubiał, że jeszcze więcej jak przedtem. Pan Lucjan też powinien jeść psi szmalec. To te pęknięte płuco zarośnie tłuszczem i człowiek może żyć sto lat.

— Panno Todziu, niech się pani zajmie swymi porodami, proszę nie mówić takich obrzydliwości, trudno mi wierzyć w chłopskie przesądy.

— Przesądy, pan już w nic nie wierzy. A co pan będzie jadł na obiad?

— Nie wiem, chyba nic.

— A tak, już, zaraz nic. Zrobię panu kaszy na mleku i parę jajek usmażę. Tylko żeby pan jadł, bo... trzeba dużo jeść.

Poszła do kuchni i zaczęła się krzątać koło paleniska. Dziadzia zaczął coś mówić, ale wszedł Zygmunt z jakimś małym, czarnym Żydkiem, o dość młodym wyglądzie i niezwykle żywym spojrzeniu swych błyszczących oczu. Doktor zdjął palto, usiadł na brzegu krzesła, naprzeciw Lucjana i patrząc mu w oczy zapytał:

— Więc jak to było?

— Po raz pierwszy dowiedziałem się o swojej chorobie trzy lata temu. Wychodząc z biura po południu, było to w zimie, poczułem w ustach coś ciepłego i splunąłem na śnieg. Zobaczyłem krwawą plamę. Znowuż nabrało mi się w usta. Z chusteczką przy ustach pobiegłem do apteki, gdzie mi krwotok zatamowano. Od tego czasu czułem się to lepiej, to znów gorzej. Gorączkowałem okresami. Cztery razy wyjeżdżałem do Zakopanego. Ostatnio wróciłem tu na wiosnę, po półrocznym tam pobycie. Czułem się dobrze. Ostatnio znowuż było gorzej, ale zdawało mi się, że to nerwy, lub w ogóle niedyspozycja psychiczna. No i wczoraj, po wypiciu większej ilości alkoholu, dostałem drugiego krwotoku.

— Dużo tego było?

— Dość dużo... szklanka krwi może. Plułem potem.

— Tak. Będzie pan łaskaw zdjąć koszulę i uklęknąć na łóżku, ot tak.

Doktor począł opukiwać Lucjana. Robił to bardzo skrupulatnie i długo. Mówił czasem: „Proszę zakasłać", albo: „Wstrzymać oddech, wypuścić", i wtedy przykładał ucho do ciała Lucjana i słuchając, patrzał swymi ruchliwymi oczkami na stojącego obok Dziadzię. Wreszcie skończył badanie, usiadł z powrotem na brzegu krzesła, ujął przegub ręki Lucjana i patrząc na zegarek, trwał nieruchomo przez minutę. Potem uwolnił rękę, schował zegarek do bocznej kieszeni spodni i dość długo patrzał w oczy Lucjana. Wreszcie powiedział dobitnie:

— Z panem jest źle.

I patrzał na niego w dalszym ciągu.

— Co mam robić, żeby było lepiej?

Doktor wstał i oparł się plecami o ścianę.

— Przede wszystkim poleży pan tutaj, w łóżku, z dziesięć dni. Przez ten czas unikać będzie pan wszelkich wzruszeń i podenerwowania. Nie będzie pan jadł potraw zbyt gorących ani ostrych. Zapiszę panu odpowiednie lekarstwo, które będzie pan używał. Potem przyjdzie pan do mnie i pomyślimy o wyjeździe. Jeśliby pan czuł się źle, proszę mnie zawezwać do siebie. Trochę duszno tu jest, trzeba by częściej okna otwierać. Nie palić, papierosy zarzucić koniecznie. Jeść dużo i tłusto, możliwie mlecznie.

Usiadł przy biurku, wypisał nazwy lekarstw na podłużnym kawałku papieru i wręczył receptę Lucjanowi:

— Trochę tiocolu i codeiny, wapna trochę. Bądź pan dobrej myśli, nie lekceważ pan choroby. Do widzenia.

Lekarz wyszedł, a Zygmunt zawołał:

— Jak temu facetowi umarł ojciec, to ja mu napisałem taki wiersz w formie epitafium. Znaliśmy się i poprosił mnie o to. Teraz się przydał. Powiedział, że źle z tobą? To znany kpiarz, on ma taki system — proszę ciebie — że trzeba przerazić trochę pacjenta. O, już pierwsza godzina! Dziadzia, może pójdziemy trochę do „Małej"? Postaram się przynieść ci trochę książek, Lucjanie.

Dziadzia ubrał się, po czym wyszli obaj. Teodozja wsunęła się do alkowy i zapytała:

— Może zjesz teraz trochę tej kaszy na mleku, już jest zimna... nie zimna, a taka ciepła, tak jak mówił ten doktor. Zjesz?

— Owszem, możesz przynieść. Psiakrew, fatalnie się czuję, mam po prostu kacenjammer przede wszystkim, a potem dopiero gruźlicę. Ach, może mi ta kasza zrobi lepiej, nic dzisiaj jeszcze nie jadłem. Panie Józefie, czy rzeczywiście jest już pierwsza?

Student chwilę jeszcze trwał nad wielkim arkuszem papieru, na którym coś kreślił, wreszcie podniósł głowę do góry jak obudzony ze snu, przymrużył oczy i wyrzekł, ziewając:

— Dzie...esięć. Dzie-sięć po pierw...szej. Oj, jak ten czas leci. Co to, choruje pan? Zdaje się, że doktor był u pana, zajęty byłem... był, co?

— Owszem, był lekarz. Czuję się trochę kiepsko. A, trzeba będzie poleżeć trochę.

Student powiedział jeszcze mrukliwie:

— Czort wie, kiedy co na człowieka przyjdzie — po czym pochylił się nad pracą.

Lucjan usiadł na łóżku, opierając się plecami trochę o poduszkę, trochę o żelazne pręty. Teodozja przyniosła kaszę i usiadła na krześle. Lucjan jadł trzymając talerz na kolanach.

Teodozja patrzała na niego, przechyliwszy głowę, jak ptak nadsłuchujący. Wreszcie zaczęła mówić smutnym głosem:

aborcja

— Jeszcze umrzesz, to potem zostanę sama. Musisz się starać wyzdrowieć. I tak miałam przez ciebie trochę kłopotu. Żebym nie miała znajomej akuszerki, to nie wiem, co by było. Dobrze, że już przeszło.

— O czym ty mówisz?

— O czym bym miała mówić, jak nie o dziecku, co je od ciebie dostałam.

— Pleciesz brednie jakieś. Kiedy to było, dlaczego mi nic nie mówiłaś?

— Kiedy było? W lecie było. Co ci miałam mówić, twoja to rzecz, czy co? Dobrze, że miałam znajomą, to mi zepsuła tę biedę. Teraz mówię ci, bo jeszcze umrzesz, to żebyś wiedział.

— Ach, Boże, weź tę kaszę, już mi się odechciało jeść. Teraz mi to mówisz dopiero? Czy teraz jest już wszystko dobrze? Jak to się stało, że ja tego nie zauważyłem?

— Teraz dobrze. Jak mnie w lecie raz dwa dni w domu nie było, co to niby wyjechałam na wieś, to wtedy leżałam u tej akuszerki. Ale nie smuć się, bo to już przeszło. Tylko żebyś wiedział. No, muszę już iść, bo o drugiej mam dyżur.

Wstała i wyszła swoim wspaniałym krokiem, dumna i wyniosła. A on pozostał sam, nie mogąc ochłonąć jeszcze z wrażenia. Mało brakowało, a jeszcze to dołączyłoby się do szeregu jego kłopotów. Wzruszyła go rozumna dobroć tej dziewczyny. Wspomniał kobiety, jakie znał i pojął, że ta prosta dziewczyna zakasała wszystkie zdrowym rozsądkiem i wrodzoną szlachetnością. Leżał tak w ciszy, a różne najdziwniejsze myśli jęły mu się przesuwać przez głowę. Raptem przyszła na niego fala zawstydzenia. Z niebywałą jasnością i wbrew woli, zaczął sobie przypominać wszystkie nietakty, jakie popełnił w przeszłości. Stawały przed oczami różne epizodziki z życia, w których bądź to śmieszną, bądź to żałosną odegrał rolę. Głupie słowa, gafy kiedyś wypowiedziane, wszystko to tłoczyło się do umęczonego mózgu. Ukoronowało to wspomnienie pewnej wizyty letnim wieczorem, zapach kwiatów, dźwięki harmonii. Ach, policzki zapłonęły, a wstyd oddech czynił cięższym.

Rozdział VIII

— Nie...

— W Krakowie jest łagodniejsza cenzura.

— Tak, ale ludzie o innych nastrojach.

— Bo tutaj trzeba poczekać, zamknęli ostatni numer, trzeba będzie z miesiąc cicho siedzieć, a potem wyda się coś nowego.

— Oj, kiepsko jest, bo kiepsko.

Była szósta rano. Zamglony świt martwo jaśniał w mieszkaniu. Lucjan dosypiał noc lekką, ranną drzemką. Z daleka jakby słyszał szeptem prowadzoną rozmowę, jednak, przy melancholijnie wypowiedzianych słowach: „Oj, kiepsko jest, bo kiepsko", odwrócił się w stronę pokoju, odchylił głowę i spojrzał tam. Mieciek leżał na kanapie, z rękami podłożonymi pod głowę. Obok, na krześle, siedział różowy blondynek w krótkim kożuszku, z czapką na kolanach. Miał może z dziewiętnaście lat, a jego piękna, chłopięca twarz jeszcze bardziej podkreślała bryłowatą gębę Miećka. Lucjana opuściło pragnienie snu, uzyskał wygodną pozycję, aby przyglądać się i przysłuchiwać tym dwóm.

Mieciek usiadł, przeciągnął się i spojrzał na zegar. Wykrztusił, ziewając:

— Ho... już... po... szóstej. — Złożył ręce na skrzyżowanych pod kołdrą kolanach i kiwając się, powiedział wolno:

— Łazarewiczówna siedzi już drugi miesiąc.

— Tak, już będzie.

— A we Lwowie jakoś dawno nie było wsypek, jak tam? Dobrze zbierają się, czy też wcale nie?

— Tam są nieważni. Łódź to tak.

Pauza.

— Toś całą noc jechał?

— Calutką, oka nie zmrużyłem, już tak, aby ci jak najprędzej oddać to i mieć spokój.

— To dobrze. Ale lepiej schowaj to pod dziadka[97] — ciągnął kilka arkuszy papieru spod poduszki i patrzał na maszynowe pismo. — A jechałeś spokojnie, szpicla jakiego nie zauważyłeś?

— Skąd, sam byłem w przedziale. Nic nie było.

— To dobrze. Ale lepiej schowaj to pod dziadka, wsuń tam, bo ja jestem nieubrany, zimno jak cholera.

Blondynek spojrzał na portret Piłsudskiego, wziął papiery do ręki, chciał się podnieść, ale w tej chwili skoczył mu na kolana kotek z podniesionym do góry ogonkiem, łasząc się i mrucząc. Chłopak wsadził papiery do kieszeni kożuszka i począł gładzić kotka. Mieciek siedział i kiwał się. Obaj nic nie mówili, widać wypowiedzieli już sobie, co było najważniejszego. Od strony kuchni doszło ich pukanie we drzwi. Mieciek powiedział do blondyna:

— Idź no i otwórz, to pewnie ci z.....i literaci wracają pijani. Otwórz, po co matka ma się wściekać?

Blondynek zsadził kotka na podłogę i poszedł w stronę drzwi. Lucjan spojrzał w przeciwną stronę alkowy, ale zobaczył w mroku Dziadzię i Zygmunta, śpiących na swoim łóżku. Właśnie ziewnął szeroko, kiedy w kuchni usłyszał nerwowy, męski głos:

— Stać... stać... stać... Łapy, łapy w górę!!... Obmacaj go tam... ja pójdę dalej.

W tej chwili Lucjan ujrzał uważnie posuwającego się mężczyznę z rewolwerem w ręku. Stanął przy łóżku, przybliżył swą wygoloną twarz z błyszczącemu oczami do twarzy Lucjana i powiedział swym nerwowym, ochrypłym głosem:

— Śpisz pan?

— Przecież widzi pan, że nie śpię. Kto pan jest?

— Chyba widzisz pan, że nie bandyta, a policja. Proszę leżeć na łóżku i nie ruszać się. Eee! Stukonis, siedzieć tam w miejscu!

Mężczyzna szybko podbiegł do starającego się wciągnąć spodnie Miećka.

— No, no... spokojnie... spokojnie.. jeszcze się pan ubierzesz... sam każę. Oleś, chodź no tu z tamtym, ja jeszcze zajrzę do tego pokoiku. Ach, przepraszam, tam kobiety, ja tak przez drzwi: może panie się ubiorą, bo będę musiał coś niecoś przejrzeć. O, to jeszcze tam dwóch śpi, gniazdko, nie ma co.

Mężczyzna wsadził rewolwer do szerokiej kieszeni palta i powiedział wesoło:

— No, blondasku, a żeśmy cię przyskrzynili. Już od samego Lwowa mamy cię na oczku. Ładny pan jesteś, łatwo pana poznać. No, Oleś, co tam przy nim znalazłeś? Broń miał?

Chudy, niezmiernie drobny, rudy człowieczek odpowiedział sepleniąc:

— Nie, nie, bloni nie miał... nie miał bloni... ale... ale bibułki tlochę... w kiesonce futelka... doblej... waltościowej bibułki. Mas tu... więcej nic... więcej nic nie miał.

Mieciek rzucił na blondyna piorunujące spojrzenie, potem kopnął leżącego u stóp kotka.

Mężczyzna wziął papiery z rąk drugiego agenta i zawołał:

— Nie kop zwierzaka, bolszewiku jeden. Tak byś pan tylko wszystko dręczył. Ej, Stukonis, mamy teraz w biurze dokumenciki... aa... palce lizać. Posiedzisz pan aż miło. Dawnośmy na to czekali. Zrobi się małą rewizyjkę i pójdziemy do biura.

Lucjan zaczął kasłać. Zygmunt stanął na progu pokoju w bieliźnie, okryty pledem. Miał wściekłą minę.

[97] *pod dziadka* — chodzi o portret Józefa Piłsudskiego, zwanego „Dziadkiem". [przypis edytorski]

— Czego panowie sobie życzą?

— Hola, co za mina. Proszę, oto nasze ordery. A teraz kładź się pan z powrotem.

— To do mnie należy, czy mam się kłaść, czy nie. Rób pan, co do pana należy.

— Kładź się pan... kładź się pan, bo skuję jak bandytę. Grzecznie pan nie rozumie?

Zygmunt wrócił do łóżka. Z drugiego pokoju wyszła przerażona Stukonisowa, a za nią wyjrzała Teodozja. Felicja wyszła do pracy przed nadejściem agentów.

Mężczyzna zawołał:

— Oho, panie już gotowe. Skoczę tam na chwilę.

Wszedł do pokoju kobiet, powierzchownie przejrzał szufladki, po czym wrócił i tak samo niedbale przeszukał biurko i etażerkę, następnie zwrócił się do leżących w łóżku:

— Ubierać się, panowie, pójdziemy razem. Raz... dwa, trzy!

Zygmunt zaprotestował:

— Nie ma sensu, żeby pan nas ciągnął, z samego rana. W ciągu dnia przyjdziemy sami, gdzie trzeba.

— Proszę pana, jesteś pan przecież człowiek inteligentny, co panu będę tłumaczył? No trudno, trzeba iść, ubierać się, panowie! Eee, panie tłusty, co pan tak śpisz twardo?

Zadziwiające, że studenci przez cały czas spali, mimo hałasów i okrzyków energicznego agenta. Może udawali, w każdym bądź razie Józef patrzał błędnie dokoła, a Bednarczyk krzyknął z przerażenia. Edward od razu zaczął się ubierać, zastrzegając się:

— Jestem asystentem, studentem medycyny przy uniwersytecie, o godzinie dziesiątej muszę być na sekcji, żeby panowie wypuścili mnie przed tym czasem.

— A pan dlaczego się nie ubiera? — Zawołał agent do pokasłującego Lucjana.

— Ja, proszę pana, nie mogę wstawać, jestem chory, dwa dni temu miałem krwotok płucny.

Dziadzia i Zygmunt zaświadczyli, że tak jest istotnie. Wobec tego agent przybliżył się do Lucjana i zapytał:

— Co pana łączy z tym domem?

— Nic, mieszkam tu, jestem sublokatorem.

— Aha, no, jak pan wyzdrowieje, wezwie się pana. No, wszyscy gotowi? Idziemy, proszę! W razie próby ucieczki, użyję broni. Śpieszcie się, śpieszcie, panowie.

Biedny Dziadzia, miał minę prowadzonego na szubienicę. Zygmunt i reszta zachowywali się spokojnie, tylko Edward wykrzyknął przechodząc obok Lucjana:

— Widzi pan, oto skutki mieszkania pod jednym dachem ze smarkaczem o zbrodniczych instynktach. Człek musi się włóczyć po biurach policyjnych. Proszę być dobrej myśli, panie Lucjanie, już my pana wykurujemy, do widzenia.

Wyszli mężczyźni. Zostały tylko dwie kobiety. Stukonisowa płakała, szykując się do wyjścia do pracy, Teodozja zrzędziła:

— Zawsze mówiłam, że taki koniec będzie. Tym tam nic nie zrobią, ale że Mieciek będzie gnił w więzieniu, to głowę daję. Lucek, co wolisz, herbatę z mlekiem, czy kawę?

— Wolę herbatę, jeśliś taka łaskawa.

— Uhmm, jeszcze kpij sobie tutaj, ty umarlaku.

Lucjan nic nie odpowiedział. Ta dziewczyna zawsze opacznie rozumiała jego grzeczność. Położył rękę na swej gołej piersi; ciało było gorące i Lucjan wiedział, że ma gorączkę. Nie mógł się jednak zdobyć na termometr, żeby ją zmierzyć. W gardle, ale gdzieś głęboko, charczała z oddechem bezustannie zbierająca się flegma, bulgotała niby gorąca lawa w kraterze wulkanu. Pod łóżkiem stała niebieska flasza z korkiem; Lucjan wychylił się, odetchnął gwałtownie i wypluł do flaszy sporą ilość czegoś różowego, z mocno czerwonymi żyłkami. Potem leżał na wznak, z głową nisko opuszczaną, z kołdrą okrywającą go do pasa i rozchełstaną na piersiach koszulą. Cała historia z aresztowaniem przejęła go nieco i czuł teraz ostry puls w skroniach oraz duszność. Palce jego bawiły się strzępkami, wyłażącymi z kołdry. „To dobrze — myślał — że mnie nie wzięli z sobą. Mógłbym to ciężko przypłacić — ha, jeszcze jednym krwotokiem bodaj. Przy tym nie znoszę wszelkich biur policyjnych, komisarjatów, ach, okropne są te brunatne meble, te stępione obowiązkiem twarze urzędników — okropność. A te pytania: A dlaczego? A kiedy? Czy widział? O której? Skąd wie?... To łapanie za słowa... tak, dzięki Bogu, ominęło mnie to.

Jaki dziwny ranek jest dzisiaj, prawda, nie ma tych krzyków, śpiewów, kłótni o pierwszeństwo do miednicy, poszukiwań szczotek... tego zwykłego rannego gwaru. Ach, Boże, dopiero teraz mam złudzenie samotności, o ileż lepiej działoby mi się, gdybym miał swój pokój, ciszę, powietrze, a tak... cierpi się w tym mrocznym, dusznym kącie. I pogodnie jest".

W kuchni rozległo się głośniejsze łkanie, trzasnęły drzwi i płacz jeszcze krótko zabrzmiał na schodach, potem umilkł. To Stukonisowa wyszła do pracy. Teodozja krzyknęła przez ścianę: „Zaraz, zaraz, studzę herbatę". Lucjan wyjrzał na pokój: był nieład, łóżka nieposłane. Za zamkniętymi oknami mżył deszczyk, widać było szary skrawek nieba. Na dole ktoś trzepał mimo deszczu dywan czy odzież; słychać było głuchy trzask trzciny. Weszła Teodozja, wyniosła i dumna jak zawsze, postawiła na krześle szklankę z mlecznym płynem, talerzyk z chlebem i wędliną, trochę masła tam było. Powiedziała:

— Masz...

— Bądź tak dobra i otwórz trochę okna, jest strasznie duszno.

— Tylko okryj się wyżej kołdrą, bo się przeziębisz.

Zjadł śniadanie, bez apetytu, nie czując smaku. Przewietrzyło się, dziewczyna zamknęła okna i usiadła na krześle. Popatrzył na jej zdrową twarz, na piersi ścieśnione sukienką, założyła nogę na nogę i uda jej uwydatniły się. Uśmiechała się do niego, poprosił:

— Usiądź tu koło mnie, na łóżku...

Usiadła i oparła się plecami o jego wzniesione kolana. Powiedziała:

— To dobrze, że chorujesz, bo już nie włóczysz się nigdzie, latawce i chociaż można cię zobaczyć raz na dwa dni. Nigdy nie usiedzisz na miejscu.

Oboje myśleli o jednym, czuli niepokój i podniecenie. Wreszcie Lucjan zaczął:

— Widzisz, nie można już tak, jak dawniej... szkoda.

— Dlaczego nie można, przecież wszyscy wyszli, Stukonisowa też.

— Mógłbym cię zarazić suchotami, albo co...

Ale już błądził ręką koło jej piersi. Odpowiedziała:

— Jakbyś miał zarazić, to i tak blisko siedzę, mogłabym już. Tylko dziecka mi znowuż nie zrób.

Wsunęła się pod jego kołdrę. Odkrył jej piersi i począł ją gryźć niemal do krwi. Nigdy jeszcze nie czuł tak wściekłego pożądania. Dygocąc, obsunął się na nią. Mgła przysłoniła mu oczy i był bliski omdlenia z rozkoszy. Wreszcie spoczął, oddychając i rzężąc okropnie. Zakasłał się, wszystko wirowało przed oczami i czuł ogromne wyczerpanie. Ona wstała i wyszła do kuchni. Lucjan wreszcie przyszedł do siebie, fakt jednak tak dużego zmęczenia przeraził go wielce. „Ach, widać istotnie jest źle ze mną". Leżąc tak, starł z czoła zimne kropelki potu. Westchnął i jakby mu coś tam w piersiach zaskrzypiało.

Teodozja wróciła z zadowoloną i tajemniczą miną. Wytłumaczyła Lucjanowi, że mogą się nie obawiać, jej znajoma nauczyła ją, jak zapobiegać ciąży. Potem usiadła na łóżku, położyła głowę na jego piersi i tak trwali razem w milczeniu. Ciszę przerywało bulgotanie wody w rurach od wodociągu i uderzenia trzepaczki na dole. Po kwadransie milczenia Teodozja wstała, mówiąc: „Trzeba trochę posprzątać, bo bałagan jak w stajni". I wzięła się ochoczo do słania łóżek.

Była dziewiąta. Z sąsiedniego mieszkania dochodziło skwierczenie tłuszczu na patelni. Obok łóżka Lucjana stanął kotek i miauknął kilka razy. Lucjan wyciągnął rękę i poruszając palcami, zawołał:

— Kici... kici... chodź tu... zdrajco, hop!

Kotek wskoczył i wtulił łepek pod pachę Lucjana. Miał zimne łapki. Wyciągnięty, burczał jak tajemnicza maszynka. Z zainteresowaniem patrzał na guziczek od koszuli, wreszcie począł go gryźć ostrymi ząbkami, mrucząc nerwowo. W końcu dał spokój, obrócił się na grzbiet i leżał tak z niedbale złożonymi łapkami.

Lucjan głaskał go i mówił pieszczotliwie:

— ...Nie wzięli cię ze sobą... nie siedzisz w ciupie, mały łotrze. Przez ciebie znaleźli papiery u tego chłopca... co, zabawiłeś go... odwróciłeś jego uwagę... nie drap... tylko nie drap... bo uduszę...

Teodozja zawołała energicznie:

— Zliź no, to ci trochę to wyrko przetrząsę, tylko prędko, poleż tymczasem na tamtym łóżku.

Stanął bosymi stopami na podłodze. Oh, czuł istotnie wielkie osłabienie. Dowlókł się na drugie łóżko, z kotem na rękach. Teodozja zrzędziła:

— Tyle pieniędzy przepija, żeby to nie mógł sobie sprawić siennika albo kołdry porządnej, tylko śpi pod takim wywłokiem. To łóżeczko też mizerne, pewnie trzaśnie lada moment. Oj, źle to, źle, jak kto ma we łbie siano. No, możesz się kłaść, tylko poduszki podłuż sobie wyżej pod głowę.

Położył się. Rzeczywiście było teraz wygodniej leżeć. Ale poduszkę położył nisko, mówiąc:

— Musze mieć głowę w dole, żeby łatwiej było oddychać.

— A nie zgnieć̀że tego kota. Potrzeba ci co, bo ja wychodzę na miasto?

— Wychodzisz? Nie, nic mi nie trzeba. Nalej mi trochę herbaty. Kiedy wrócisz?

— Aż wieczór. Nie wiadomo, czy tych aresztantów wypuszczą dzisiaj. Ale po czwartej przyjdzie Stukonisowa, to ci zrobi jaki obiad. No, idę, tylko nie wyłaź z łóżka, bo się zaziębisz.

— Dobrze, do widzenia, Todziu, jesteś poczciwa dziewczyna.

Mruknęła jeszcze coś i wyszła. W całym mieszkaniu było cicho, a w alkowie panował półmrok. Lucjana porwał kaszel, znowu porwał za flaszę, wypluł flegmę i leżąc na plecach, zamknął oczy i pogrążył się w rozmyślaniach. Pod kołdrą drzemał kotek, rozkoszując się ciepłem i burcząc z zadowolenia. Ledwie dosłyszalny szmerek za oknami świadczył o drobnym deszczu. Zegar pracował uporczywie.

„— ...Nigdy, nigdy, proszę pana. Nie chcę ryczałtem, proszę mi dać po piętnaście procent od każdego egzemplarza sprzedanego. Jestem tak biedny, że mogę zaryzykować na procent, a suma jaką mi pan ofiaruje, nic mi nie pomoże. Jestem młody, nieznany, to prawda, ale a nuż książka pójdzie. A więc zgoda, piętnaście procent od każdej sprzedanej książki. Do widzenia panu, panie redaktorze.

— Młodzieńcze, pańska książka jest na wyczerpaniu, w ciągu miesiąca poszło dwa tysiące egzemplarzy, jak na nasze stosunki i na młodego pisarza, to bardzo dużo. Ileż pan zarobił, zaraz, egzemplarz kosztuje sześć złotych, piętnaście procent, no, tysiąc osiemset złotych. A teraz będzie drugie wydanie, przy tym recenzje ma pan świetne, napisze pan coś nowego, jest pan zdrów, młody... życie wskazuje panu drogę do swych wysokich celów, słowem, doskonale.

— Ach, panie Lucjanie, tyle się ostatnio słyszy o panu, sławny jest pan strasznie. Podobno pańska powieść rozeszła się w osiemdziesięciu tysiącach egzemplarzy, trzy wydania, tłumaczona jest na obce języki, pisze pan podobno jakiś dramat, ma to być tęga, psychologiczna historia, tak, tak, mówią coś pisma o tym, istotnie, w tak młodym wieku osiąga pan wyżyny niebywałe, aby się pan tylko nie przejął zbytnio powodzeniem, by nie stać się zarozumiałym... tak, tak, winszuję panu z całej duszy...

— Nie, nie mam na razie zamiaru ruszać się z kraju, tyle tu jest do zrobienia. Chodzi więc panu o wywiad, służę panu.

— Tak, przyszedłem właśnie w sprawie wywiadu. Pański dramat po olbrzymim sukcesie w kraju, od roku jest już grany w Paryżu z niesłabnącym powodzeniem, a więc do rzeczy: co pan myśli o sztukach scenicznych polskich autorów?

...Są po większej części doskonałe. Wyspiański... Fredro... Bałucki, że już nie wspomnę o Słowackim... i tylu, tylu innych, są to rzeczy olbrzymiej wartości. Jesteśmy jednak w tym nieszczęśliwym położeniu, że sztuki nasze nie odpowiadają gustom europejskim, nie tylko zresztą sztuki teatralne, ale i książki, w ogóle cała nasza literatura jest... rzekłbym.... szowinistyczna, niedostępna umysłom cudzoziemców. Przy tym nie mamy szczęścia, jesteśmy krajem niepopularnym, język nasz jest trudny do tłumaczenia, nieco nudny nawet, nie staramy się pisać stylem mocnym i jasnym, za dużo jest frazeologii...

— Czym więc tłumaczy się powodzenie pańskiej sztuki za granicą?

— Myślę — wie pan — iż rzecz ta jest po prostu i zwięźle napisana, przy tym porusza zagadnienia tyczące nas w sposób ogólnoludzki, to jest interesujący wszystkich ludzi bez różnicy narodowości. My piszemy za bardzo po domowemu, a literatura to nie ploteczki dla kucharek. Przy tym nie umiemy znaleźć owego subtelnego połączenia spraw swoich z międzynarodowym pojęciem literatury. Widzi pan, Rosjanie umieją to robić.

— Co słyszę, więc pan neguje wartość naszej literatury?
— Broń Boże, jest ona wartościowa dla nas, ale nie popularyzuje kraju za granicą.
— Takie więc jest zdanie pana. Czy długo pracował pan nad swoim dramatem?
— Pół roku...
— Po ile godzin dziennie?
— Ach, różnie... czasem godzinę, a czasem dziesięć.
— Jakiego pisarza, z prozaików, ceni pan najbardziej u nas?
— Bolesława Prusa.
— Jakie jest pana ulubione zajęcie?
— Czytanie dobrych książek.
— Prócz tego?
— Pisanie dobrych książek.
— Pańskie zapatrywania polityczne?
— Żadne... zdrowy rozsądek i zrozumienie potrzeb kraju.
— Sądzi pan, że polityka nasza jest zła?
— Tak.
— To by było już wszystko. Dziękuję najmocniej... sługa uniżony".

Ktoś silnie pukał do drzwi. Lucjan ocknął się i wyskakując z łóżka, o mało nie przygniótł kotka. Otworzył. Na progu stał Wermel.

— Ach, drogi Lucjanie, przerwałem ci chyba sen, bo dość długo pukałem. Jeszcze się przeziębisz.

— Głupstwo, zamyśliłem się o jakichś bzdurach; przepraszam, żem tak długo nie otwierał. Siadaj.

Lucjan się położył, a Wermel usiadł na krześle. Począł mówić szybko:

— Słyszałem, że jesteś chory, krwotok miałeś, czy coś takiego. Nie złożyłem ci jednak wizyty z powodu stanu swego zdrowia. Naglony potrzebą, chciałem cię prosić, abyś mi podarował parę skarpetek i pozwolił umyć nogi. Od dwóch tygodni nie zdejmowałem butów, jest straszna bieda. Z kuzynem klapa, pokłóciliśmy się i wyrzucił mnie na łeb. Nie chcę nikomu z dalszych znajomych mówić o tym, sypiam więc na dworcu lub na skrzyniach w znajomej drukarni. Ale będzie dobrze, idę właśnie do pewnej redakcji celem podjęcia honorarium za tłumaczenie pewnej noweli angielskiej, pragnę jednak mieć dobre samopoczucie i chciałbym odświeżyć to, na czym tam pójdę, to jest nogi.

— Bardzo cię proszę, otwórz dolną szufladę szafy, wybierz sobie jakieś skarpetki, a jak z bielizną? Widzisz, ja mam trochę tego jeszcze z dawnych, dobrych czasów.

— Mój kochany, jeśli masz jakąś wolną koszulę, to również mi się przyda, jak skarpetki.

— Tylko czy będzie dobra dla ciebie?

— Noszę trzydziesty ósmy numer kołnierzyka.

— No, ja dziewiąty, weź może i kalesony.

— Porządny z ciebie chłop, Lucjanie. Więc w tej szufladzie?

Wermel wyjął bieliznę, pokazał Lucjanowi, co wziął, po czym myjąc i przebierając się w kuchni, rozmawiał z Lucjanem przez otwarte drzwi.

— Mam świetny pomysł na poemat, wszystko już w głowie, całe strofy, lubię jednak pisać z pełnym żołądkiem i przy wygodnym stole. Na razie więc muszę zrezygnować z twórczości. Nowelę przetłumaczyłem w parku Skaryszewskim, możesz sobie wyobrazić kongenialność tej roboty. Powiedz mi teraz, co z tobą jest właściwie?

— Czort wie, jakieś komplikacje z płucami, czuję się bardzo podle.

— Nie chcę być optymistą i pocieszycielem, ale czuję, że dojdziesz do zdrowia. Hej, Lucjanie, będziemy jeszcze pisali, brali nagrody i honoraria. Biedzie sprzykrzy się wreszcie nękanie nas, weźmie się do innych. Zdrowie jednak jest najważniejsze, musisz starać się odzyskać je.

— Niewielkie mam szanse, czuję to. Zresztą doszedłem do takich wyżyn zobojętnienia, że nie chcę myśleć, jak się to wszystko skończy.

Wermel stanął przed łóżkiem. Miał włosy zmoczone i przylizane do góry, a twarz jego była radosna i mina pewna siebie.

— Lucku, innym razem odwiedzę cię na dłużej i z mniej materialnymi zamiarami. Teraz śpieszę się, bo mi jeszcze zamkną kasę. Żegnam cię, przyjdź do zdrowia jak najprędzej. Do zobaczenia.

Wykręcił się na pięcie i wyszedł. Lucjan myślał o nim chwilę z serdecznością. Potem wyrzucał sobie marzenia przed przyjściem Wermela. „Nędzarzu, leniwcze, co ci do łba przychodzi? Książki, dramaty, wywiady. Co komu przyjdzie kiedy z twego zdania, kto się o nie zapyta? Zdycham w tym kącie i śmiem jeszcze marzyć o wielkości, istotnie osobliwa megalomania. O, nic już nie zrobię, ciekaw jestem, czy wspomni kto o mnie, jak skonam. Co by jednak było ze mną, gdybym żył, gdybym nawet coś osiągnął? Ot, pytanie. Dobrze jest sobie tak pomarzyć, leżę, myślę, co mnie to kosztuje, nic innego nie mam do roboty. Był wywiad, doskonale, zobaczymy czym się to skończy, przemyślę wszystkie możliwości, jakie by mnie mogły spotkać w życiu przyszłym, przy najpomyślniejszych warunkach, i co by mi to w końcu dało?"

Znowuż splunął. Wypił trochę zimnej, słodkiej herbaty, podciągnął sobie kołdrę pod szyję i przymrużył oczy. Kot skoczył na łóżko i zwinął się w kłębek.

„...Scena, to niewdzięczna rzecz. Nie można się tam wypowiedzieć, wszystko jest skoncentrowane, nerwowe, daje wrażenia chwilowe, za mocne i bezpośrednie. Dam spokój z dramatami; wezmę się za powieść mocną, psychologiczną rzecz o jaskrawie realistycznym podkładzie. Jakieś konflikciki, trochę tragedii. Mam sławę, duże nazwisko i pieniądze. Trza mi się teraz stać nadczłowiekiem, takim książkowym Napoleonem. Zabieram się więc do pracy, ha, zobaczymy, co będzie za rok.

— Czy wiesz, kim pan jesteś, panie Lucjanie? Być akademikiem w dwudziestym szóstym roku życia... ohoho, toć to wielka sztuka, mój panie! A przy tym jesteś moim kochankiem, wszyscy o tym wiedzą. I to musisz mieć na względzie, bowiem nie jestem stworzona dla byle kogo. Życie i los ugięły karku przed tobą, mój chłopcze.

— Trudno, by natura dała piękniejszą oprawę rozumowi. Kiedy cię nie widzę, Leonio, wydaje mi się, żem śnił, iż cię kiedykolwiek posiadałem, a kiedy jesteś obok mnie, duszę się z braku odwagi, by się zbliżyć do ciebie. Kiedy rozmawiam z tobą, czuję ból w głowie od natężenia umysłu, który stara się pojąć zawiłą genialność twych myśli. Tak początkowo do ciebie mówiłem, takie uczucia mną owładnęły. Ale teraz minęło. Jesteś — moja droga — taką samą kobiecinką, jak i wszystkie inne, para twych piersi jest równie rozkoszna jak piersi telefonistki lub panny sklepowej, oddajesz się normalnie, leżąc na wznak z rozłożonymi nogami, za wyjątkiem tych chwil, kiedy rozpusta czyni cię bardziej interesującą. Jesteś inteligentna, to prawda, ale — mój Boże — tyle ludzi jest inteligentnych, a nawet kobiet, toż to — panie święty — psi obowiązek człowieka, być inteligentnym. Tak, moja urocza Leonio, znudziłaś mi się. Dawniej, bywało, siedziałaś przy pianinku, a ja patrząc na twoje bioderka, że tak rzekę, o małom ze skóry nie wyskoczył. Teraz! Siedźże po całych dniach przy czarnym pudle muzycznym, nago, jadaj nawet obiady na klawiaturze, ani nie spojrzę na ciebie. Więc żegnaj, Leonio i znajdź sobie bardziej stałego kochanka. Ja... ach, ja, — ja mam ciężkie obowiązki znakomitego człowieka... wyjadę może gdzieś...

— Zmęczony pewnie jesteś, przyjacielu? Wczorajszy bankiet na twoją cześć przeciągnął się do późna w nocy... mów za wiele było. Czy pamiętasz, jakżeś to kiedyś darował mi skarpetki i koszulę, i gacie... a teraz, teraz jestem sławny dzięki tobie, kąpię się w poświacie twego imienia. Wydawcy drukują moje wiersze, wiedząc, że jestem z tobą w przyjaźni. Tak, siedziałem sobie we fraku, słuchając peanów na twoją cześć...

— Ach, Wermel, choć ty jeden nie pochlebiaj mi".

Raptem załomotało u drzwi wejściowych. Weszli studenci, Dziadzia i Zygmunt. Byli bardzo rozbawieni i komentowali żywo swoją przymusową eskapadę. W mieszkaniu powstał gwar, jak na jakimś publicznym zebraniu. Zygmunt usiadł obok Lucjana.

— Ładna historia, nie ma co. Brat mój posądzony jest o udział w zamachu bombowym. No i siedzi razem z tym swoim koleżką. Nas wypuścili, jak widzisz, sprawdzili tylko nasze alibi. Edwarda mało nie przytrzymali, Bóg wie, czego on tam nie wygadywał: że jest człowiekiem nauki, że nie po to trawi czas dla dobra społeczeństwa, aby być ciąganym po policji. Tym gadaniem wzbudził tylko podejrzenie i może zawdzięczać tylko dobremu humorowi przesłuchującego nas urzędnika, że go nie zamknął. Sądzę, że Mietek jest niewinny, posiedzi jednak, bo znaleźli tam przy nich jakieś kompromitujące papiery.

Do łóżka zbliżył się Edward, podniecony, z rozwichrzoną czupryną.

— Co, kompromitujące papiery, powiadasz? Portret Lenina, dużą pocztówkę, przedstawiającą Lenina na trybunie znaleźli, przy tym zwierzaku. Pojmuje pan, panie Lucjanie, takie rzeczy ten łotrzyk nosił przy sobie. Lenina, niby podobiznę kochanki. Jakżeż potworny jest fanatyzm tych ludzi, trawionych przez morderczą ideę. Ha! I ja, asystent profesora Hopli, przyszły koiciel cierpień ludzkości, ja musiałem się tłumaczyć, dlaczego ob-cu-ję, dlaczego mieszkam razem z tym zbrodniarzem. Uważa pan, zamach bombowy na wysokiego urzędnika sztabu generalnego, w tym wieku tak on zaczyna, a co będzie za lat dziesięć? Ach, racja, wiem co będzie za lat dziesięć, on przecież nie dożyje, powieszą go. Panie Lucjanie, pan, którego natura obdarzyła talentem pisarskim, powinien ostrzem swego pióra zadać cios w serce tej przeklętej idei.

— Dlaczego, to bardzo ciekawi ludzie, robią jakiś ruch, pokazują nowe rzeczy. A co do mojego pióra, to zostaw je pan w spokoju, niech ono sobie tam w spokoju rdzewieje.

Edward przybrał pobłażliwą minę.

— Czy pan sobie mierzy temperaturę?

— Nie, ale czuję, że mam gorączkę.

— To widać. Czy pan oddawał plwocinę do analizy?

— Nie, nie warto.

— Owszem, warto, dowiemy się, czy pan prątkuje. Pan może być niebezpieczny dla otoczenia. Jak widzę, pan spluwa dużo.

— Ach, daj pan spokój! Nic nie będę badał ani mierzył. Chcę mieć spokój i kwita, zresztą, nie mam na to wszystko pieniędzy.

— Wobec tego pozostawiam pana w spokoju i życzę jak najszybszego wyzdrowienia.

Zygmunt ujął dłoń Lucjana:

— Słuchaj, ty się nie kłopocz o utrzymanie, czy o to, że tu leżysz, ja już mówiłem z matką. Wprawdzie to narwana kobieta, ale bardzo dobra. Wyzdrowiejesz, uzyskasz równowagę ducha... zwrócisz, co się będzie należało. Co zaś do tych prątków, to pluń na gadaninę Edwarda, my się tam żadnych prątków nie obawiamy.

— Dziękuję ci za dobre słowa. Jak tylko dojdę do siebie, zwrócę wam co do grosza.

— Nie ma o czym gadać.

Dziadzia zdążył już włożyć nocne pantofle i piżamę. Popatrzał krytycznie na Lucjana.

— Cóż tak patrzysz? Jakże cię tam przyjęli w biurze śledczym? Ty masz taką anarchistyczną postać, że za samą bródkę i długie włosy mogli cię wpakować do więzienia.

— Gorzej bywało, gorzej bywało... w Szanghaju siedziałem pół roku za przemytnictwo, nie... nie nastraszysz mnie paką.

— To ci się bardzo chwali. Powiedz mi, mój kochany, co to będzie dalej?

— Nic nie będzie. Ty umrzesz, ja się powieszę, Zygmunt zostanie ministrem i dalej pójdzie wszystko swoim trybem. Źle jest, jeszcze nigdy nie było tak źle. Żadna myśl, żaden pomysł nie przychodzi do głowy. Mój umysł jest zupełnie odrętwiały. Ale to przejdzie, miewałem już w życiu okresy podobnej abnegacji, potem było znowuż dobrze.

I Dziadzia smętnie pyka ze swojej fajeczki.

Stukonisowa wróciła ze swego zajęcia. Zdławionym od przejęcia głosem zapytała Zygmunta:

— Czego oni chcą od Miećka?

— Ano, chcą, żeby posiedział trochę za swoje sprawki.

— Mój Boże, zawsze mówiłam, że się w końcu doigra. Co on im zrobił?

— Nic nie zrobił, zajmuje się szczeniak antypaństwowymi sprawami i teraz siedzi. Myśli mama, że będą tak przez palce na to patrzyli. Tam batami wypędzą mu ze łba tę ukochaną ideę.

— Ale to wstyd na całą kamienicę. Już mnie stróżka zaczepiała. Człowiek całe życie pracował, żeby toto wychować, a teraz takie dranisko po więzieniach się włóczy, a nie ma nawet dwudziestu lat. Już jak komu nie idzie, to nie idzie. Ojciec też, ciągle do jakiejś partii należał, włóczyli go po cyrkułach[98] i żyło się w ciągłym strachu. Teraz ten. Ach, żeby już skonać raz i nie patrzyć na to wszystko. — I gderając swym jękliwym głosem, Stukonisowa zabrała się do gotowania obiadu.

[98] *cyrkuł* — komisariat policji w czasach zaboru rosyjskiego. [przypis edytorski]

Edward wpadł do pokoju i purpurowy ze złości, wyrwał pióro z rąk Józefa.

— Mówiłem panu do jasnej cholery, żeby mi pan nie brał pióra, nie masz pan poczucia cudzej własności!

— Stul pan gębę, bydlaku jeden, bo mógłbyś pan z kozami żyć, a nie z ludźmi. Ugryzłem tego pióra kawałek, czy co, u k...y mamy?

— Pan Edward to tylko swoje widzi, a jak stale używa mój proszek do zębów, to o tym nie pamięta — wtrącił Bednarczyk.

— Właśnie akurat pański proszek potrzebny mi do szczęścia. Wsadź sobie go pan w d..ę, ten swój proszek.

— No i o cóż chodzi? Bednarczyk wsadzi proszek, pan pióro i wszystko będzie w porządku — powiedział Zygmunt. Tylko ciekawym, komu będzie wygodniej.

— Mógłbyś się pan nie wtrącać do spraw studenckich. Pisz pan lepiej te swoje wierszydła. Oh, cóż za bydło.

— Panie Edwardzie, bo będzie źle. Zamilcz pan.

Edward nic nie odpowiedział i poszedł z odzyskanym piórem do drugiego pokoju. Bednarczyk przepisywał coś z kodeksu Napoleona[99], drapiąc się ustawicznie piórem w głowę. Józef bezradnie opuścił ręce i wyjęczał:

— Tylu pisarzy i nie ma czym pisać. Edward nie ma morfiny i dlatego taki wściekły. Trzeba będzie sobie coś upitrasić.

Bednarczyk podniósł głowę:

— Schodzi pan na dół?

— Aha... kupię coś na obiad.

— Kup pan boczku i chleba, a ja dam jajka i zrobimy sobie obiad.

— Ile jajek?

— No, po cztery, osiem.

— Zaraz, czy mi się opłaci? No, dobrze, cztery jajka.

Józef leniwie wciągnął palto i wyszedł. Bednarczyk przestał pisać i podszedł do Lucjana.

— Powinien pan dużo tłuszczów jeść.

— Tak, powinienem.

— Myśli pan, że ja nie mam suchot? Hee... ja się tak męczę, jak idę po schodach, albo w nocy to mi tak nieraz duszno. Mnie wojsko trochę podleczyło, ale teraz znowuż.

— Męczy się pan z powodu tuszy, a co do duszności, to tutaj każdemu jest duszno, a zwłaszcza w nocy.

— Akurat jak ja jestem tłusty, nalany jestem i tyle. Mam bardzo delikatną budowę. Wrażliwy taki jestem.

Zygmunt oderwał wzrok od książki.

— Okropnie... ty byku. On jest wrażliwy, ale na kawał boczku. Delikatny... bizun, psiakrew.

— Co ty tam wiesz. Sameś zdrów jak koń, to myślisz, że i wszyscy. Żeby ci tak zaszumiało w głowie albo zakłuło w piersiach, tobyś wiedział dopiero, co to znaczy wrażliwość. Mój ojciec umarł na nerwy.

— Zdenerwował się, że mu jałówka zdechła — wykrzyknął przez ścianę Edward.

— Siedź tam cicho, Edward, bo baty dostaniesz — wykrzyknął Zygmunt.

Józef wrócił z dołu i zażądał jajek. Wtedy Bednarczyk przerwał rozmowę z Lucjanem, wyciągnął kluczyk z kieszeni i otworzył mały, drewniany kuferek, w którym mieściły się wiktuały. Odliczył jajka i wręczył je Józefowi, mówiąc:

— A nie zbij pan z jednego.

— Wszystkie będą rozbite... hehe... frajer z pana, brak panu orientacji.

Bednarczyk wziął się znowuż do pisania. Tymczasem w kuchni wybuchła wielka kłótnia między Józefem a Stukonisową.

— Cały dzień mnie nie ma w domu, to teraz musisz mi pan włazić w garnki!

— Kiedy miałem zjeść obiad, jak mnie z samego rana ściągnęli z łóżka przez pani synalka.

[99] *Kodeks Napoleona* — zbiór praw cywilnych, wprowadzony w Księstwie Warszawskim, zachowany w Królestwie Polskim. Część jego przepisów obowiązywała jeszcze w niepodległej Polsce po roku 1918. [przypis edytorski]

— Synalkiem pan sobie gęby za bardzo nie wycieraj. I tak pana jeszcze kiedy zamkną.

— Zamkną, czy nie zamkną. Ale teraz niech pani odstawi ten garnek na chwilę, tylko jajka usmażę, no, chwilkę będzie trwało.

— Cholera nadała i z lokatorami. Smaż pan, tylko prędko.

Po kilkunastu minutach student wniósł patelnię z jajecznicą. On i Bednarczyk usiedli przy stole, po czym zaczęli jeść.

— Lepiej by było rozdzielić to na talerzach, bo wyłapujesz mi pan co większe kawałki boczku.

— Ja panu... większe kawałki. Dzięki mnie jesz pan ten obiad. Ja dałem jajka.

— Samżeś mi pan to zaproponował.

— Z litości.

— A jedz pan sam, niech pana cholera ściśnie z pańskimi jajkami. Myśli pan, że nie obejdę się bez obiadu. Udław się pan.

Dziadzia zaczął rechotać ze swego kąta. Zygmunt wstał z kanapy i powiedział, pobłażliwie kiwając głową:

— Mój Boże, co tu się dzieje w tym nieszczęsnym domu. Stare chłopy, chcecie coś zdziałać w życiu i jak dzieci kłócicie się o byle głupstwo. Jak Boga kocham, ja już wariacji dostaję. Przecież gdybym to komu powiedział, to by nie uwierzył. Przecież wy kiedy pozabijacie się o jakieś pióra czy jajko.

— A w d...e mam to wszystko, już mi się jeść odechciało.

— Właśnie, i tak żeś pan zdrów... ja potrzebuję tłuszczów, jestem chory na płuca.

Bednarczyk zajadał z apetytem, a Józef zabrał się do jakichś wykresów. Zrobiło się ciemno. Zapalono światło. Stukonisowa przygotowała obiad, podała go Lucjanowi, który się właśnie obudził, po czym zawołała na Dziadzię i Zygmunta, by przyszli jeść. Podczas obiadu Stukonisowa ciągle mówiła o Miećku, a Dziadzia ją pocieszał, jak umiał. Mimo swej niewypłacalności Dziadzia był lubiany przez gospodynię i przestał zwracać uwagę na jej obelgi, wymawiane w czasie złości. Zjedzono obiad. Zygmunt zaproponował grę w preferansa. Usiadł do stołu on i trzej studenci. Przed rozdaniem kart, ułożono się po groszu za dziesięć punktów. Dziadzia uwiązał szpulkę na sznurku i wlokąc ją po podłodze, bawił kotka. Stukonisowa, jak zwykle po południu, szyła na maszynie i śpiewała nabożne pieśni. Lucjan usiadł na łóżku i przeglądał rękopis swej powieści. Widział w niej teraz masę błędów konstrukcyjnych, wielką ilość przydługich i nudnych dialogów oraz podły styl. Zniechęcony położył plik papieru na krześle, zwiesił głowę i pogrążył się w medytacji. Ale po chwili ocknęły go dzikie okrzyki.

— Podglądnąłeś pan renons, do stu piorunów! W ten sposób chcesz pan grać!!

— Powiedziałem pas, a potem zajrzałem do renonsu, jakżeś pan głuchy, to pana huknę w ucho, a od razu słuch powróci.

— No, już cicho, cicho, gram proste piki.

— Nie możesz grać prostych, boś licytował do trzech.

— Dobrze, niech będzie siedem pik.

— Wist.

— I ja wist.

— No, masz, on musi też wistować. Łaszczysz się pan na tę jedną lewę, a tak byśmy go położyli.

— Naturalnie, króla obrobił.

— Moja rzecz.

Uciszyło się. Lucjan poddał się nastrojowi wieczoru. Przyszło mu na myśl szereg wspomnień. Kiedy miał lat szesnaście i pracował w sklepie kolonialnym, utrzymywał stosunek z pewną szwaczką, drobną, piętnastoletnią blondynką. Miała na imię Klara. Spotykali się co wieczór po wyjściu z pracy i szli na spacer na mały skwer nad Wisłą. Tam, siedząc na ławce w cieniu drzew, całowali się do późna w nocy. W mroku błyszczały ogniki papierosów i rozlegały się rzewne melodie gitar i ustnych harmonijek. Wisłą przejeżdżały rzęsiście oświetlone statki z orkiestrą na pokładzie. Były to piękne wieczory, jaśmin pachniał...

— Dobrze, już dobrze. Dziewięć w treflach.

— Jakże — u wielkiej cholery — chcesz pan grać z dwunastoma kartami w ręku. Renons odrzuć pan! Panie Edwardzie, pan jest nieprzytomny.

— Pas.

— Kto na rękę?

— Rozłoż się pan, wszystko jedno. Oo, co ja tu widzę, nie ma karo... zaraz, co on zrzucił... acha, ma mariaż w pikach, wyjdziemy w piczka, buch go trefelkiem, o, już po mariażu, teraz w karko, ciach go trefelkiem, a teraz, znowuż w piczka, bęc go trefel--kiem... hoho... trzy małe trefelki wzięły; bez dwóch przy dziewięciu. Tak, tak, panie Edwardzie, i to przy kogutku, podwójnie... a, świetnie!

I oto stała się rzecz dziwna. Edward wstał od stołu trupio blady, zachwiał się i runął jak długi na podłogę. Kiedy go ocucono, szeptał nerwowo:

— Ja tak nie mogę, panowie, ja doprawdy nie mogę... to tak mnie zdenerwowało, mieć pewnych dziewięć i... takie przebitki... jestem sercowy... och.., zaraz przyjdę do siebie.

O ile Dziadzia wsadził głowę pod poduszkę i tam konał ze śmiechu, o tyle Zygmunt czynił to samo na oczach wszystkich, z tą tylko różnicą, że śmiech jego przy akompaniamencie ryku studentów, wstrząsał całym pokojem. Edward siedział na krześle i łapał powietrze jak ryba wyrzucona na piasek. Jego zemdlenie było naturalne i teraz z wolna przychodził do siebie. Stukonisowa wyjrzała ze swego pokoju z kawałkiem płótna w ręku i w okularach na nosie.

— Wielki Boże, co mogą karty zrobić z człowieka. Spalę te drańskie karty i raz będzie koniec. Słyszał to kto coś podobnego, żeby aż mgleć[100] z kart. Jak żyję tyle lat na tym świecie, jeszcze nic podobnego nie widziałam.

— Ohjojoj... niechże mama wraca do swojej roboty. Przecież to można skonać ze śmiechu. Lucek, widziałeś coś podobnego, facet zemdlał, że mu dwie lewe zabrakło.

Edward mamrotał, przewracając oczami.

— Ach, panowie... to przecież może się zdarzyć... wzruszenie, nadmierne wzruszenie. Proszę się nie śmiać... jestem tak osłabiony... taka niespodzianka.

Zaprzestano nieszczęsnej gry w preferansa. Edward położył się do łóżka niezmiernie zgnębiony. Zygmunt przeglądał program roku uniwersyteckiego. Miał zamiar zapisać się na filozofię. Dziadzia rozbierał się opieszale, mrucząc jakąś piosenkę. Przyszła Teodozja razem z panną Felicją i zaczęły hałaśliwie, jedna przez drugą, opowiadać, co widziały w kinie:

— Kowboj zakochał się w jednej Arabce. No, dobrze. To te Arabowie złapali tego kowboja i przywiązali go do konia i tak puścili. I ten kowboj się odwiązał.

— Nie, nie tak było, — przerwała Teodozja. — Arabka w kowboju się zakochała, a oni chcieli ją wydać za szejka i dlatego go, tego kowboja, przywiązali do konia. A to nie on się odwiązał, tylko go ci bandyci odwiązali, żeby wziąć okup, bo to był bogacz ten kowboj...

— ...ale ona taka głupia, ta Arabka... tak się zakochać.

— ...Daj pani spokój, przystojny mężczyzna.

— Jaki tytuł tego obrazu, panno Todziu? — zapytał sennym głosem Bednarczyk.

— Zaraz... Błę... nie pamiętam. Jaki był tytuł, panno Felu?

— A bo ja wiem, jaki tytuł. Śliczny obraz.

W końcu wszyscy uciszyli się. Dziadzia czytał nowele Zoszczenki[101] i chichotał co chwila, Lucjan odpluł swą zwykłą, wieczorną porcję i otumaniony gorączką, przewracał się z boku na bok.

...Ach, Boże... spotkał kiedyś tę Klarę, to jest widział ją z daleka na Nowym Świecie. Jej kusy ubiór składał się ze stu jaskrawych kolorów... kołysała się w biodrach, wywijała torebką i chodziła w tę i z powrotem, w tę i z powrotem...

Rozdział IX

Istotnie, coraz podlej działo się mieszkańcom wspólnego pokoju. Zło tworzyło się powoli i systematycznie, obficie zasilane nudą, skutkami przepicia i musem przebywania ze sobą ludzi o odmiennych charakterach. Zaszło kilka wypadków, które nawet Józefa wytrąciły z równowagi. Dziadzia i Zygmunt zagmatwani zupełnie w bezbrzeżnie nienormalnym

[100] *mgleć* (gw.) — mdleć. [przypis edytorski]

[101] *Zoszczenko, Michaił* (1895–1958) — pisarz rosyjski, mistrz satyrycznych nowel. [przypis edytorski]

trybie życia wewnętrznego, zatracili ów pion regulujący psychikę każdego człowieka, pogrążyli się w jakiejś tępocie, przerywanej od czasu do czasu wypryskami nienaturalnie chorej wesołości. A obok leżał człowiek umierający, na swój sposób przeżywający ostatki swego istnienia.

A więc znów zaczął się posępny, miejski dzień. Lucjan wyczerpany rannym atakiem kaszlu, leżał na wznak i obcierał chusteczką załzawione oczy. Dziadzia siedział na swym łóżku i cierpliwie cerował skarpetkę. Była godzina dziewiąta i Bednarczyk śpiesznie czyścił ubranie i buty. Ważny to dzień był dla niego, bowiem zdawał na pół dyplomu[102]. Edward też szedł na sekcję do prosektorium. Właśnie otwierając drzwi schodowe, spotkał młodą kobietę o pałających policzkach, która zapytała go o Dziadzię, przeto Edward wszedł do alkowy i zawołał: „Panie Krabczyński, pewna dama pragnie pana widzieć... jest nawet niebrzydka... co tu gadać". I wyszedł. Dziadzia przerwał pracę, pozapinał pętelki swej wzorzystej piżamy, podczesał bródkę i wszedł do kuchni, zamykając za sobą starannie drzwi. Lucjan z początku słyszał szepty, coś jakby przekomarzania się, wszystko to przeszło powoli w zaognione zdania, wreszcie z gęstwiny niewyraźnych dźwięków wyłoniły się wyraźne, te oto słowa:

— To... to tak... a dzieciaka to mam Żydom na wychowanie oddać?

— Miła, nie unoś głosu... ja już sam coś obmyślę. Widzisz, mnie to równie boli i obchodzi... jako ojca.

— Ja tam w żadne sentymenty bawić się nie myślę. Jak się panu chciało mieć przyjemność z porządną dziewczyną, co ją pan namówił na różne świńskie praktyki... to teraz łóż pan na jej wstyd. Już mnie tam nigdy żaden literata nie nabierze na swoje gryzmoły. Głupia byłam i tyle. Służyłam u dobrych państwa i ani w głowie był mi chłop. Jakżeś mnie zwiódł pan, to zajmij się teraz dzieckiem... bo ja nie mam na to ani zdrowia, ani pieniędzy. Życie mi tylko pan zeszkaradził.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Kobieta płakała rzewnie, co bardzo wzruszało przysłuchującego się Lucjana. Wreszcie cichy, rozklekotany głos Dziadzi:

— Nie płacz, błagam, przecież tu ludzie są... słyszą... koledzy moi... Załatwię... za kilka dni załatwię...

— Znam te kilka dni... już pół roku szukam pana po mieście... albo i więcej... gdzieś do Arabii pan uciekł i zostawił mnie w pohańbieniu. To i nawet wstyd, żebym jak Żydówka jaka, co jej się należy za szycie, latała za panem... do swojego własnego dziecka pan się nie poczuwa. O, ja głupia, że mnie Pan Bóg tak pokarał, a pewnie pokarze i jeszcze!

— No, Julciu, nie rób mi takich awantur, bo mi się samemu serce kraje... zobaczysz, że wszystko będzie jak najlepiej... jak już mówiłem, za kilka dni będę miał pieniądze, to się gdzieś dziewczynkę umieści. Przyjdź na przyszły tydzień... albo nie przychodź... ja sam cię zawiadomię. Idź już... jestem bardzo zdenerwowany... za kilka dni dam ci znać...

— Pójdę, ale jak się pan dzieciakiem nie zajmie... to do Wisły razem z nim wskoczę... człowiek tyle cierpi i nie wiadomo za co.

Trzaśnięto drzwiami, Dziadzia jak furia wbiegł do alkowy i z pasją zabrał się do cerowania dziurawej skarpetki. Zygmunt podniósł się na łóżku.

— Dręczą cię zjawy dawnych zbrodni, Dziadzia?

— Żebym ja cię nie podręczył, nie wtykaj nosa do cudzych spraw!

Zygmunt obrócił się na drugi bok, ziewnął i powiedział jeszcze:

— Dziękuj Bogu, że nie bliźniaki, jeden to tak miał.

— Zdarza się — dorzucił Józef znad książki.

Lucjan przywołał Dziadzię, gdy ten usiadł obok łóżka, zapytał:

— Kto była ta kobieta?

— Słyszałeś... Mam kłopot, jak się ma pecha, to już w każdym przypadku, żal mi jej, ale jakże mam pomóc?

— Przecież ciotka daje ci na utrzymanie tego dziecka.

— Daje... no, daje, ale przecież sam muszę z czegoś żyć.

— Hm, jakże to było, powiedz, niech wiem.

[102]*pół dyplomu* — w międzywojennej Polsce odpowiednik dzisiejszego ukończenia studiów licencjanckich. [przypis edytorski]

— Dawna historia... Półtora roku temu mieszkałem u Dumkiewiczów, ona była tam pokojówką... ładna dziewczyna, stało się. Na jakie trzy miesiące przed moim wyjazdem urodziło się dziecko. Pomagałem jej wtedy, bo mogłem, ale teraz... skąd mam brać, przecież wiesz, jak jest.

— Omotałeś ją swymi szarlatańskimi nowelami; jakaś artystyczna dusza z niej, niech mi kto powie, że proletariat nie ma poczucia słowa pisanego — rzucił Zygmunt ze swego kąta.

— Milcz tam, ty z.....y cyniku. Ciekaw jestem, co byś zrobił, gdybyś się znalazł w moim położeniu. Kpić to każdy potrafi.

— Gdybyś był umysłem wyższej marki, nie rżnąłbyś kobiet w ogóle, dzieci robić to każdy głupiec potrafi.

Rozgoryczony Dziadzia nic nie odpowiedział. Załatwił się już ze skarpetką i począł w zamyśleniu nakładać ją na nogę. Po czym zabrał się do śniadania. Teodozja przyniosła śniadanie Lucjanowi i szepnęła z poczciwym uśmiechem: „Widzisz, ty masz lepiej, niedojdo," — i wyszła pełna życia i energii. Zygmunt włóczył się po pokoju w bieliźnie i nucił jakieś piosenki kabaretowe. Józef zamknął z hukiem książkę, wykrzyknął: „Gotowe, tylko zdawać!" — potem zawołał jeszcze: „Chciałbym pochędożyć oryginalną arystokratkę, taką szczupłą blondynkę, to byłaby frajda, na tym punkcie jestem snob". Po czym przeciągnął się i ziewnął szeroko. Teodozja otworzyła komuś drzwi. Drobny staruszek, o zżółkłych od dymu tytoniowego siwych wąsach, stanął na środku pokoju, w futrzanej czapce, w zwisającym jesiennym palcie, z wypchaną teczką pod pachą, przegiął się na szeroko rozstawionych nogach i zawołał wesoło:

— Krabczyński, pan Stanisław Krabczyński jest mi konieczny, młodzieńcy kochani, gdzie jest pan Stanisław Krabczyński, któryż to, który?

— Czego się pan wydzierasz w cudzym mieszkaniu! — krzyknął Zygmunt. — Tutaj jest pan Krabczyński, ten z bródką. Dziadzia, bogaty wujaszek z Ameryki przyjechał.

Dziadzia z pędzlem od golenia w ręku patrzał nieufnie na staruszka.

— To ja jestem... bardzom rad... pan do mnie?

— A właśnie, właśnie... szesnaście czterdzieści, jeśli się nie mylę, a zresztą zaraz zobaczę, mój kochasiu.

— Co szesnaście czterdzieści?

Staruszek z czarującym uśmiechem skrzętnie przeszukiwał wypchaną teczkę, w końcu wyciągnął z niej kilka spinaczem złączonych papierów i wymachując nimi przed nosem Dziadzi, przedstawił się wreszcie.

— A ja to jestem egzekutorem, a te dokumenty to to, że szanowny pan jadł, siedząc w pewnej knajpce zaswędzonej, mianowicie w „Saskiej" restauracji[103] pan spożywał czy pił może, a nie uiścił się za to siedzenie i papiery te zawierają w sobie konsekwencje tej biesiady na siedząco i, co za tym idzie, summa summarum złotych szesnaście czterdzieści groszy zapłacić pan musi. Urosło, panie, urosło, a żeby wówczas półtora złotego pan... no, nie byłoby tego.

— Panie drogi, kiedy to było, chyba z rok temu, nie pamiętam nawet?

— Smutną masz pan twarz, ale ja przyzwyczajony jestem do tego, takich jak pan mam setki ma głowie. Cały ranek biegać i żyłować trzeba od ludzi te parę groszy, tyle tylko, że się człowiek trunkiem od czasu do czasu pokrzepi, jakoś ten dzień schodzi. A zatem szesnaście czterdzieści.

— Co, niby zapłacić mam panu?

— Właśnie, tyle akurat od szanownego pana magistratowi się należy.

— Ani mi się śni, ja grosza — do ciężkiej cholery — nie mam przy sobie, a pan mi za jakieś zeszłoroczne siedzenie każe płacić. Daj pan spokój, bo to śmieszne i nudne jest zarazem.

Powiedziawszy to, Dziadzia schylił się nad lustrem i począł mazać brodę spienionym mydłem. Zygmunt patrzał na staruszka wzrokiem zwiedzającego ogród zoologiczny.

— Zapłać pan, nie będę pana więcej nachodził — wyrzekł staruszek zgaszonym głosem.

[103] *Saska* — restauracja przy Hotelu Saskim na ulicy Koziej w Warszawie. [przypis edytorski]

— A nachodź pan, co mnie to obchodzi — nie będę płacił za jakieś tam bzdury, zresztą nie mam tych pieniędzy.

— Zatem zajmiemy ruchomości szanownego pana.

Tutaj wtrącił się Zygmunt:

— Chyba mózg mu pan zajmiesz.

Staruszek nałożył na nos jakieś niebywale pokancerowane binokle, pełnym wdzięku i wprawy ruchem dłoni zmiótł okruchy chleba ze stołu, poślinił maleńkim różowym języczkiem ołówek i wesoło spojrzał na Zygmunta.

— Co on tu ma?

— A, ma! Dwa kołnierzyki, jeden sztywny, drugi miękki, dwie agrafki i rękopis przetłumaczonej sztuki japońskiej. Uważa pan, jeden samuraj czy jak mu tam, kocha się w córce ambasadora, potem ten samuraj nie robi sobie harakiri, tylko wystrzałem pozbawia się życia. Kwintesencja: szkodliwy wpływ kultury europejskiej na pełen wdzięku konserwatyzm krainy wschodzącego słońca.

— A, tak, to bardzo piękne. Ale czy on nie ma jakiejś szafy na przykład?

— Szafy... szafy... Dziadzia, zdaje się, że ty nie masz szafy?

— Stul pysk, błaźnie!

— No, widzi pan, daje mi do zrozumienia, że nie ma szafy.

— Nie ma. Wobec tego napiszemy tu, że jest to człowiek ubogi, nader delikatnej profesji, który nie posiada nic takiego, na co by można areszt położyć. Ot tak. Mój Boże, wprawdzie skromnie jest tutaj, lecz od razu odczuwa się ową czystość intelektu, która cechuje natury materialnie niezasobne. Więc panowie wszyscy, tu obecni, są kapłanami słowa.

— Tak, panie, prócz tego różowego studenta.

— Prócz pana... hm, ja też, kiedyś... napijmy się sznapsa!

Dziadzia odjął brzytwę od policzka.

— Wódki — powiada pan?

— Tak, pozwolę sobie ofiarować pewną kwotę na ten cel. To egotyzm, drodzy młodzieńcy, po prostu pragnę wskrzesić wspomnienia mych studenckich czasów. Tak, trącimy się, pogwarzymy.

Staruszek pełnym wdzięku ruchem wyjął z wypłowiałego portfelu dziesięć złotych i wręczył je wywołanej ze swego pokoju przez Zygmunta Teodozji. Zanim dziewczyna wróciła, rozrzewniony egzekutor w taki mniej więcej sposób opowiedział młodzieńcom swoje życie.

— Muszę wam powiedzieć, że urodziłem się na Bednarskiej z ojca zawiadowcy stacji na Dworcu Brzeskim, a matki, co to właściciela sklepu z konfekcją męską córką była, poza tym byłem bratem urzędnika z pierwszego cyrkułu na trzydziestu rublach miesięcznie. Wcześnie miałem pociąg do płaskorzeźby i malarstwa na szkle, ale okazało się później, że zdolności do tego nie miałem i po ukończeniu gimnazjum w Warszawie pojechałem na uniwersytet do Kijowa, bo rodzicom zachciało się, żebym wyższego poziomu był człowiekiem. Uniwersytetu tego nie ukończyłem, a to z tego powodu, że medycyna, którą sobie za przedmiot obrałem, okazała się nielojalną z boskimi prawami natury. Po dwóch latach babrania się w trupich wnętrznościach, filologię klasyczną studiować począłem, aż wreszcie jako urzędnik siódmego stopnia magistratu miasta Kijowa, aż do rewolucji w Rosji pozostałem. Po powrocie do kraju, brat mój komisarzem policji się okazał, a rodziców w ogóle nie było, bo nie żyli. Dostałem się do magistratu i mówię panom, że gdybym był pisarzem, tomy całe mógłbym opisać o ludzkiej nędzy, jakiej codziennie mimowolnym świadkiem jestem, a to z tytułu swego przykrego socjalnego urzędu, ale nie o tym chciałem mówić...

Ale w tej chwili weszła Teodozja z wódką i jakąś zatłuszczoną paczką, a staruszek na jej widok wykrzyknął ochoczo:

— Otóż i Dziewanna z naręczem odpowiednim naszym czasom, zamiast kwiecia!

Dziadzi rumieńce padły na policzki. Zarówno on, Zygmunt i staruszek uczuli ową charakterystyczną radość przed wypiciem. Student mrukliwie odmówił kieliszka i zabrał się do kreślenia. Teodozja szyła w drugim pokoju na maszynie, nucąc jakąś piosenkę z rewii. Za oknami tkwił przykry, blaszany jakby dzień. W pewnej chwili do łóżka Lucjana podszedł egzekutor i zawołał chrapliwie:

— Zdaje się, że nieźle by zrobił panu kieliszek?

— Dziękuję panu, doprawdy nie mam chęci.

— Ożyje pan, energii pan nabierze.

Ale w drzwiach stała Teodozja i krzyczała:

— Idź pan na zbity łeb, będziesz go pan do wódki zmuszał, żeby parę dni wcześniej pojechał na Bródno![104]

Staruszek wrócił do stołu, a Teodozja pochyliła się nad Lucjanem:

— Odwróć się do ściany i nie patrz na to łajdactwo z samego rana. Bóg ich pokarze, tych zatraceńców.

Mimo woli usłuchał. Odwrócił się i otulił kołdrą. Ale zaraz począł go dusić kaszel, więc usiadł bezradnie na łóżku i zwiesił głowę, plując do chusteczki. Potem wyczerpany bardzo, wcisnął twarz w poduszkę. Był spocony, a jednocześnie uczuwał chłód. Od samego rana głowę zaprzątały mu myśli ponure, a teraz jeszcze bardziej spotęgowało się poczucie niedoli. Ostatnio bowiem wiele przemyślał i pojęcie dobra na tej ziemi zdawało mu się być coraz bardziej względnym. Marzenia jego koncentrowały się we wszelkich ewentualnościach, jakie go przy najdłuższym życiu spotkać mogły. Imaginował więc sobie to życie i to dość plastycznie. Leżąc teraz, bez sił i nędzny, wymyślał historie swej przyszłości i co by mu one przy najlepszych warunkach dać mogły. Obok szargało się życie tamtych, jak brudna ścierka po podłodze. Głosy trzech pijących, zaprawione fałszywą radością, mieszały się z turkotem maszyny i boleśnie kłuły przewrażliwiony umysł Lucjana. Nie mogąc pisać, snuł swą opowieść epizodami — w wyobraźni.

„...Losie! Po to żeś mi tyle szczęścia dał, żeby mnie ono aż nudziło? Boże, obdarowałeś mnie tak rzadkim u twórcy poczuciem zadowolenia ze swych dzieł! Boć wiem przecież, że to, co daję ludziom, jest doskonałe. Ha, ha — doskonałe, niezłe słowo, bardzo zalecane w katechizmie. Leżę wygodnie w swej pracowni i obmyślam ratunek dla ludzi pogrążonych w złośliwej narkozie neurastenii. Właśnie o tym mam zamiar pisać, bowiem istotnie, odkryłem tego bakcyla. Ha, sam uchwyciłem za łeb kwintesencję radości życia, te kilkadziesiąt latek umiejętnie spędzić na ziemi, to sztuka nie lada. Trzeba na to być wielkim głupcem, czyli optymistą lub też mędrcem, co to terminów „optymizm" i „pesymizm" nie nosi w swej czaszce. A jakże, i kochać też potrafię, bez żadnych tam werteryzmów[105]. Każda minuta jest dla mnie ożywczym nabojem szczęścia. Tak tom sobie ułożył pobyt na tej ziemi. Myślicie, że mam chwilę zwątpień może? Nie, mój umysł emanuje z siebie światło istotnie bardzo czyste. A jakim wielki, a jakim bogaty, jestem doprawdy człowiekiem doskonałym. Chodzę jak olbrzym po ziemi i wybieram sobie co najlepsze kęsy, czasem zawadzę nogą o któryś ze swoich pomników, ulepionych przez maleńkich ludzi. Gdyby mnie ktoś napisał, tak jak Goethe Fausta[106], mógłby się może porwać na dosięgnięcie wyżyn myśli mojej. Osiągam, osiągam!! Hehe, osiągnę chyba jeszcze więcej!"

Twarz Lucjana owiał ostry zapach wódki. Pochylał się nad nim tułów Dziadzi w wahadłowym ruchu. Za nim stały przyczajone w zaciekawieniu postacie staruszka i Zygmunta. Dziadzia wyszeptał:

— Bredzisz, miły? Gorączkę masz, hę?

— Stójcie, może on jest zakochany? — powiedział egzekutor.

— Zakochany jest jak człowiek w lesie, który zapatrzył się w jedno drzewo — wyrzekł posępnie Zygmunt.

Lucjan utkwił rozpalony wzrok w Dziadzi i krzyknął:

— Odejdźcie ode mnie. U...ć się na waszą mentalność! Ja bredzę, ale to bredzenie ułatwi mi pożegnanie się z waszą bezjajowatością. Całe wasze istnienie to jedna wielka bzdura, pijcie swą wódkę i dajcie mi spokój!

Zygmunt odepchnął Dziadzię, mówiąc:

---

[104]*pojechać na Bródno* — chodzi o cmentarz bródnowski na Pradze, założony w 1884 roku, największy w Warszawie. [przypis edytorski]

[105]*werteryzm* — postawa pełna melancholii, pesymizmu i poczucia niezrozumienia; termin pochodzi od bohatera powieści Johanna Wolfganga Goethego *Cierpienia młodego Wertera* (1774, wyd.polskie 1822). [przypis edytorski]

[106]*Faust* — imię bohatera słynnego dramatu Johanna Wolfganga Goethego (1833). Wybitny uczony, dla przekroczenia ludzkich ograniczeń zawiera pakt z diabłem. [przypis edytorski]

— Zostawmy go, te resztki płuc zasilają bardziej jego wyobraźnię, aniżeli nasza butelka, którąśmy wypróżnili, chodźcie!

Wrócili do pokoju. Dziadzia ze staruszkiem poczęli tańczyć walca. Zygmunt stanął przed oknem i wyrzekł z determinacją:

— O, Boże, Boże! Gdybym cię mógł dostać w swoje ręce!

Staruszek zaproponował pójście do baru „Zamkowego"[107]. Zygmunt i Dziadzia ubrali się pośpiesznie, po czym wszyscy trzej wyszli, śpiewając coś ponurego.

Zadymiony pokój śmierdział zimnym tytoniem. Na stole leżał papier powalany musztardą, na nim skórki od wędliny i kawałki chleba. Weszła Teodozja i otworzyła okno, mrucząc pod nosem:

— Pijusy cholerne! Żebyście się już raz napili tak, aby wam bokiem wylazło. Chłopak dusi się, a oni chleją wódę i kurzą papierosiska!

— Dla suchotnika taki dym bardzo niedobry — powiedział student.

Teodozja sprzątnęła ze stołu i podeszła do Lucjana:

— No, jak ci tam?

— Nieźle, osłabiony tylko jestem.

— Żeby tego tam nie było, to bym ci te siły wskrzesiła. Ślepia ci świecą jak piece. Herbaty z cytryną chcesz?

— Zimnej.

Usiadł na łóżku i spojrzał na swe zwisające, wychudłe ręce. Ostatnie dni wyczerpały go bardzo, przy tym gorączka nie opuszczała go ani na chwilę. Nie używał termometra, ale czuł trawiącą go suszę w organizmie. Opuścił nogi na podłogę i powlókł się w stronę ustępu. Kiedy naciskał klamkę, napadł go ostry, terkotliwy kaszel. Zgrzany, zadyszany zamknął za sobą drzwi i usiadł. W ciało wpijało mu się zimne, kamienne pobrzeże sedesu. Drewnianą pokrywę zużył Mieciek, kiedyś bowiem nie mógł znaleźć drzewa do napalenia w piecu. Mimo niewygodnej pozycji, Lucjan oddał się słodkim rozmyślaniom. Przypomniał mu się przewiewny, drewniany wychodek na wsi, kiedy był jeszcze zdrowym i silnym chłopcem. Przez świetnie umieszczone dziury w przegródce, można było widzieć wspaniałości córki rejenta, Zosi, marzącej tutaj przez długie chwile w ciepłe i ciche popołudnia letnie. Ta Zosia. Ileż to sztuczek rozkosznych wyuczyła go ta słodka blondynka o twarzy Madonny. Gdzieś na miedzy, w wąskim kurytarzyku[108], dzielącym łany wysuszonego, żółtego zboża, przedsiębiorcze dziewczę swymi ruchliwymi paluszkami potrafiło wydobyć z piętnastoletniego chłopca pełną sumę męskich możliwości. Gdzieś w górze trwał skowronek i akompaniował do śpiewu ich ciał. Pasożytnicze kąkole kiwały dobrotliwie kielichami. Co się stało z Zosią, czy też wyszła za mąż, za oficera? Zawsze mówiła: jeśli chcesz, żeby w przyszłości było tak, jak teraz, musisz zostać oficerem. Haha! Ale ja nie zostałem oficerem. To się już zdarzyć nie może. Chętnie bym zaszedł jeszcze raz do tego wiejskiego wychodka, ale to mi się też zdarzyć nie może. Wspomnienia młodości i zdrowia, chociażby były nie wiem jak wulgarne, są zawsze miłymi wspomnieniami. Hejże! Toż to podobizna Piechala!

Istotnie, na wprost, mocno przyklejona do drzwi znajdowała się doskonale wyretuszowana fotografia obiecującego poety Piechala. Zrobiło to na Lucjanie wrażenie komiczne, bowiem znał dobrze tego małego spryciarza, perfidną ręką — Zygmunta chyba — zaszczyconego tak sympatycznym zaciszem.

Znów to wstrętne, nudne łóżko. Wsunął się pod kołdrę z ponurym uczuciem jakiejś przynależności do tego martwego przedmiotu. Napił się herbaty i leżał tak z głową opartą o żelazną ramę, pełen posępnych myśli.

Teodozja otworzyła komuś drzwi. Zostało wymówione nazwisko Bednarczyka. Po chwili do pokoju weszła stara chłopka o pomarszczonej twarzy, w stroju łowickim, z pełnymi nieufności, wąskimi, chytrymi oczami. Nie mówiąc ani słowa, usiadła na krześle. Wyglądała jak ponury posąg zawziętości i uporu. Wrażliwy nos Lucjana został od razu zaatakowany całą gamą najwymyślniejszych zapachów. Nawet student, człowiek pobłażliwy dla spraw tego rodzaju, spojrzał niechętnie na babę i z całym swoim materiałem

[107] *Zamkowy* — według B. Farona, bar ten znajdował się na ulicy Podwale w pobliżu Placu Zamkowego. [przypis edytorski]

[108] *kurytarzyk* (daw.) — korytarzyk. [przypis edytorski]

kreślarskim przeniósł się na biurko. Teodozja postawiła przed chłopką szklankę z herbatą i zaczęła się rozmowa:

— Synaś pani przyjechała odwiedzić?

— Gdzieta, macice mam powiększoną.

— Co wy też mówicie! Na stare lata?

— A na stare.

— I przez co tak?

— Chłop za pazerny.

— Bajacie, czy co?

— Juścić bajam, kiedym dwadzieścia lat od niego starsza.

— Takiego młodego męża macie?

— Samam stara.

— A pan Władysław ma już przecież ze dwadzieścia parę lat?

— Nie z tego chłopa.

Z dalszej rozmowy Lucjan wywnioskował, że stara chłopka ma zamiar zamieszkać tutaj przez czas swego pobytu w Warszawie. Napełniło go to przerażeniem. Dość tu duszno, do diabła! Czyż nie zaczyna się to wszystko robić koszmarne?

Około południa wrócił Edward. Usiadł obok Lucjana i powiedział:

— Coś kiepsko pan wygląda.

— Zastanawiam się właśnie, czy wezwać lekarza.

— Po diabła panu lekarz! Wiadomo, co powie. Wyjazd zaleci.

— Co pan tak ssie palec, skaleczył się pan?

— Tak, sam nie wiem, gdzie i kiedy.

— Należałoby zajodynować.

— Iii, głupstwo.

Edward miał niewyraźną minę. Ssał małą rankę na środkowym palcu lewej ręki i oczy jego wyrażały roztargnienie. Chwilami wpatrywał się badawczo w twarz Lucjana.

— Wie pan, panie Lucjanie, ta baba to matka Bednarczyka.

— Wiem już, słyszałem.

— Cierpi ma jakąś obrzydliwą, kobiecą chorobę.

Edward nachylił się do ucha Lucjana:

— Chciałbym się panu z czegoś zwierzyć, mam do pana zaufanie.

— No!

— Przyszedłem dzisiaj wcześniej do prosektorium. Mieliśmy robić sekcję zwłok pewnej młodej dziewczyny, która się otruła. Ujrzałem ją, leżała na marmurowej płycie. Powiadam panu, czegoś tak pięknego nie zdarzyło mi się spotkać w życiu. Rozejrzałem się, nie było nikogo. Opanowała mnie diabelna żądza. I, wie pan co? Posiadłem ją.

Lucjan podniósł się gwałtownie.

— Coś pan zrobił?!

— No, powiedziałem przecież panu wyraźnie. Nekrofilia, haha... ha!

Lucjan wyrzucił, kaszląc:

— Wynoś mi się pan stąd, łajdaku jeden! Policjanta każę zawołać! Precz mi z oczu! O, łotrze przeklęty.

Edward chichocząc poszedł do pokoju. Stamtąd krzyknął jeszcze:

— Potem żeśmy ją krajali, istotnie, otruła się — sublimatem, haha! Ależ komik z pana!

Leżał zdenerwowany, ciężko dysząc. Czuł żar na policzkach. Wstrętne wynurzenie Edwarda uświadomiło mu grozę jego bezsilności. Bo przecież źle z nim było, skoro miano odwagę mówić mu podobne rzeczy. Jakby na potwierdzenie, Edward stanął w mroku kuchni i wyrzekł drwiąco:

— Oczywista, że wszystko, co panu powiedziałem, było zmyśloną brednią. Chciałem się dowiedzieć, jak pan na to zareaguje. Po prostu maleńki eksperymencik! I owszem, rzeczywiście krajaliśmy dzisiaj pewną dziewczynę, która się otruła. I muszę się panu przyznać, że myśl tę miałem; ta chęć była we mnie. No, ale do czynu było daleko i trudno. Haha, wrażliwiec z pana. Przy tym muszę panu oznajmić, że każde takie podenerwowanie bardzo mu szkodzi. No, należałoby coś przetrącić.

I wyszedł, ssąc palec. Jego nowe buty skrzypiały przeraźliwie.

Lucjana gnębiły najczarniejsze refleksje. Od pół roku żył tutaj, w tym domu ponurych zdarzeń. Co prawda życie nigdy nie układało mu się dobrze, jednak zawsze najgorszą stroną była bieda, tutaj dołączył się koszmar poznawania skomplikowanych charakterów i to było gorsze. Łatwiej jest znosić głód choćby w hali dworcowej, niźli w teatrze okropności. Nerwowy i chory, Lucjan znosić musiał toczące się obok niego, pełne goryczy życie.

W pokoju zgrzytał głos chłopki. Opowiadała wpatrzonej w okno Teodozji o swym życiu na wsi. O proboszczu, o koniokradach i znachorach. Bajała monotonnie o samych smutnych sprawach. Źle układane zdania brzęczały jak grzechotka w rękach usypiającego dziecka. Student kreślił, na jego twarzy widać było wielkie wytężenie. Czasem przerywał chłopce: „U nas też tak raz było," albo: „To się zdarza". Wówczas stał z cyrklem wzniesionym, jakby go babie chciał wbić w głowę. Było typowe południe miejskie w okresie jesieni. Czuło się atmosferę zamierania. Lucjan leżąc na boku, patrzał na matowe szyby okien i snuł swe urojenia.

Bednarczyk nie zdał egzaminu. Wrócił około trzeciej. Ucałował rękę matki i zaraz położył się do łóżka. Sprawiał wrażenie półprzytomnego. Teodozja zapytała:

— Czy pan się napił, czy co?

— Ściął się pewnie — powiedział lakonicznie student.

Bednarczyk popatrzył na niego i wykrztusił:

— Ściąłem się.

— Na czym?

— Ekonomia.

— Co pana pytał?

— Pierwsze pytanie zadał takie: „Dlaczego fizjokraci[109] domagali się nałożenia podatku na przemysł?"

— I coś pan na to odpowiedział?

— Odpowiedziałem, że fizjokraci wcale nie domagali się nałożenia podatku na przemysł, tylko na rolników. Na to on mnie zapytał: „Jaka jest idea krążenia bogactw u fizjokratów", wówczas wszystko mi się w głowie pokręciło. Uczyłem się przecież tego i wiedziałem o co chodzi, ale zupełnie nie mogłem tego wytłumaczyć. Myślałem, że dostanę poprawkę. Zadał mi jeszcze jedno pytanie: „U kogo — twierdzili fizjokraci — zostaje *produit net*?"[110] I na to nie mogłem odpowiedzieć, czułem, że to wszystko jest proste, że wszystko wiem, ale że nie jestem w stanie tego sformułować. Nie dał mi poprawki, nie zdałem! Obok mnie zdawali koledzy, o których wiedziałem, że się bardzo mało uczyli, i ci pozdawali. Tyle pracy i wysiłków poszło na marne. Sam nie wiem, co teraz robić.

Edward wyskoczył z drugiego pokoju jak oparzony.

— Mówiłem! Mówiłem — krzyczał — żeś pan jest kloc! Ha, dobre, doskonałe! Profesor mi się podoba. Słuchaj pan, jestem medykiem, a zaraz panu wszystko opowiem! Wspaniała historia! Oczywista, pierwsze pytanie było podstępne, ale ponieważ pan żeś się wkuwał jak dziki osioł, więc wiedziałeś o co chodzi. Drugie pytanie jest tak proste, jak to, żeś pan jest matołem. Skoro profesor przekonał się po pierwszym pytaniu, że istotnie pan się uczył, zadał drugie w nadziei, że pan po prostu odpowie i wszystko się skończy. O, ten profesor musi być dobrym psychologiem, wiedział z kim ma do czynienia. Na drugie pytanie nie odpowiedział pan, a to z tej przyczyny, że mózg pański nie posiada pewnych zwojów orientacyjnych, które cechują umysł wyższego gatunku. Pytanie jest jasne. Fizjokraci domagali się nałożenia podatku na rolników. Dlaczego? Ponieważ rolnik kupuje u przemysłowca, a ten utrzymuje jednocześnie robotnika, który znów kupuje u rolnika. Czysty zysk zostaje u tego ostatniego. Taka jest idea krążenia bogactw u fizjokratów. Streszczam to wszystko oczywiście. Pan nie mógł na to odpowiedzieć, ponieważ mimo pilności i uporu nie jest pan człowiekiem inteligentnym. Profesor wściekł się na pana, poprawki panu dać nie chciał i żeby być w porządku zadał panu trzecie pytanie w tej pewności, że pan na nie nie odpowie. Gdzie zostaje *produit net*? Oczywista, u rolników. Wiejski koń nigdy nie osiągnie wdzięku klaczy pościgowej, i będzie bardziej pożytecz-

[109] *fizjokrata* — zwolennik koncepcji ekonomicznych z drugiej połowy XVIII w., stawiający sobie za cel przebudowę ustroju feudalnego. [przypis edytorski]

[110] *produit net* (fr.) — czysty produkt. [przypis edytorski]

ny ciągnąc swój pług. Cieszę się, że pan nie zdał. Potwierdza to moją teorię. Wróć pan w swoje Łowickie, panie Bednarczyk i siej pan, siej!

Całej tej przemowy wysłuchał Bednarczyk leżąc, ale teraz wstał, podszedł do Edwarda i z całej siły grzmotnął go na odlew pięścią w twarz. Wszystko to odbyło się bez słowa, jak jakiś ponury obrządek. Edward podniósł się z podłogi i poszedł do zlewu, aby zatrzymać płynącą z nosa krew. Stara chłopka siedziała nieruchomo pod oknem i kiwała głową. Bednarczyk z powrotem wlazł do łóżka. Student lewą ręką bawił się z kotkiem, prawą coś obliczał. W pokoju wytworzyła się atmosfera smutku i złości.

Zapadał mrok. Chłopka w dalszym ciągu kiwała głową i przesuwała paciorki różańca. Bednarczyk chrapał w najlepsze. Student i Edward usiedli u łóżka Lucjana i po cichu przekomarzali się ze sobą. Chory już nie miał sił, aby pozbyć się Edwarda, który jakby nic nie zaszło, zwrócił się do niego z jakąś opowieścią. W mroku słychać było jego nerwowy szept: „To ta dziewczyna była bardzo wybredna i nikogo ze wsi nie chciała za męża. Za wsią pod lasem mieszkał gajowy, rudy i krostowaty dziad. Ona była na wychowaniu u bogatych chłopów, bo rodziców nie miała. Najprzystojniejszych chłopaków odrzucała. I, wiecie co? Wyszła za tego gajowego. Po roku okazało się, że ten gajowy to jej rodzony ojciec. Ja to uważam, że u tej dziewczyny był taki podświadomy zew krwi. Musiała mieć takie skłonności. Ciekawy wypadek, co? I wcale się nie rozwiedli, żyli dalej, tylko wszyscy ich zawsze na języku mieli. Takie to rzeczy dzieją się na świecie.

— Pan zawsze wymyślisz coś nadzwyczajnego — powiedział student.

— Bo nie znoszę banałów, rozumiesz pan.

— We łbie masz pan same śmieci i tyle.

— Wolę mieć śmiecie niż pustkę.

Przed piątą przyszła Stukonisowa. Zabrała się zaraz do sprzątania, narzekając na lokatorów. Była przerażona, kiedy dowiedziała się, że chłopka ma zamiar zamieszkać u niej przez kilka dni.

— Gdzie pani będzie spała? — zapytała.

— Ja ta i na gołej ziemi się prześpię.

— Tu i tak dość ludzi, człowiek się ruszyć zupełnie nie może.

— Kiej podziać się nimom gdzie.

— No, dobrze, trudno! Już tej kary Bożej to nie ma końca. Chyba otruć się człowiekowi przyjdzie, czy co!

Stanęła ze ścierką w ręku przed łóżkiem Lucjana.

— No i co będzie, panie młody? Wcale poprawy nie widać.

— Co robić, co dzień gorzej się czuję.

— Może by do szpitala pan poszedł, jeszcze mi pan tu umrze i będę miała kłopot.

Odwrócił się do ściany i nic nie odpowiedział. Straszliwe przygnębienie wytworzyło w nim skorupę niewrażliwości na wszystko, co się wokół działo. To wiedział tylko, że ginie marnie i końca wyczekiwał z upragnieniem. Nonsensem było reagować na przykrości życia, skoro i tak miało go ono opuścić. Zamierzał usnąć, czy w ogóle pogrążyć się w jakimś odrętwieniu, ale raptem posłyszał głos nad sobą:

— Może śpi, to nie trzeba go budzić.

— E, gdzie tam, po całych dniach się wyleguje. Nic mu nie będzie, jak go pan nawet obudzi. — I Stukonisowa szarpnęła Lucjana za ramię.

Przy łóżku stał Turkowski. Jak zawsze pod lewą pachą trzymał teczkę, a prawą wycierał szkła swych binokli.

— Słyszałem, że chorujesz, Lucjanie i rzeczywiście tak jest. Przyszedłem cię odwiedzić, chociaż trudno mi było, bo o tej porze zwykle mam zajęcie u swego adwokata. Wyglądasz bardzo źle, czy istotnie zagrożone masz płuca?

— Nie zagrożone, a po prostu mam gruźlicę płuc i to jakąś taką gwałtowną. Właściwie mówiąc, bardzo kiepsko jest ze mną. Wszystko to się jakoś tak nagle stało, nawet się nie spostrzegłem.

— No, dobrze, a czy nie mógłbyś gdzie wyjechać?

— Jakże wyjadę, kiedy ledwo łażę! Pieniędzy wreszcie nie mam, jestem w biedzie zupełnej. Powiedz mi lepiej, co słychać na świecie?

— Na świecie to nie wiem, ale u nas to bardzo licho. Nikt nic nie pisze, wydajemy teraz numer, twoja nowela tam będzie. Z trudem uzbierało się trochę pieniędzy, aby to

wydać. Martwota taka panuje, że coś strasznego. Mówię ci, że bardzo podle jest z naszą literaturką.

— No, mamy przecież Kadena, wielkiego naszego pisarza!

— Kpisz, czy co? Przecież to koszmarny facet jest zupełnie.

— Pisze przecież, czytają go, mówią o nim.

— Żałosne jest to, że musimy uważać go za pierwszego pisarza Polski. Jest to najbardziej szkodliwa instytucja twórcza, jaką można sobie wyobrazić. Pojmuję wielkich europejskich pisarzy, których niemoralność poparta jest pewną ideologią, no, i dużym talentem pisarskim, tutaj mamy karykaturę intelektu i wolnomyślności. Wszyscy wiemy, do czego służy wychodek. Kaden z uporem maniaka poucza nas o tym. Trzeba przyznać, że w całej jego twórczości widzi się tę niesłychanie energiczną zarozumiałość. Być wrogiem obłudy i ukazywać prawdę jest zaszczytnym obowiązkiem pisarza. Ale zwalczać jedną obłudę, aby lansować drugą, na to trzeba mieć wiele sprytu i bezczelności. Przede wszystkim, jest to pisarz ogłupiający młodzież, posługuje się on dość jędrnym stylem i ma tę rzekomo odwagę, która zazwyczaj się podoba młodzieży. Przyjrzeć się temu uważnie — ukaże się ordynarna przedsiębiorczość i spryt. Uff, nie znoszę tego fabrykanta podłych i niepotrzebnych książek.

— Muszę ci się przyznać, że myślę podobnie, jak ty. Kiedyś, czytając *Lenorę*, nazwałem go w myśli dość ordynarnie i po swojemu. Później miałem refleksję, czy nie wydałem o nim zbyt pochopnego sądu. Otóż nie! Muszę ci się przyznać, że dawniej, kiedy mniej orientowałem się w istotnych sprawach literatury, podobała mi się ta żołnierska wyrazistość stylu Kadena, oczywiście szybko połapałem się, że chodzi tu o zaszczekanie ludzi. Przyznasz jednak, że wśród żyjących pisarzy nie mamy nazwiska, o którym moglibyśmy tak długo mówić?

— Mój drogi, mówimy o nim długo, bo ma metody drańskie, ale niepospolite. Ubogo jest, to prawda, ale jest jeszcze o kogo się zaczepić. Jest przecież Nałkowska, Parandowski, no i Skamandryci przecież, do których wyżej wspomniany Kaden przyczepił się jak rzep psiego ogona. Tuwim, jakaż to wysoka klasa poezji! Pokazał nam facet tak wspaniałą drogę, że tylko jechać. Ale cóż, kiedy te nasze kwadrygowe konie też bez rasy. Słonimski, Lechoń! Prozy tam nie ma, ale poza tym — co tu gadać — ludzie ci masę zrobili. Zresztą tyle się już o tym wszystkim myślało i mówiło, że obrzydł mi ten temat zupełnie. A cóż z twoją powieścią?

— Ach, mój drogi, nie ma o czym mówić. To wszystko było dobre, kiedy się było zdrowym i w głowie przelewało się od optymizmu. Skończyłem przed zaczęciem. Mamy nieszczęście żyć w tak potwornym okresie rozwoju kultury polskiej, że wszelkie wysiłki z góry są przewidziane jako daremne. Wydać się może, że czytelnictwo polskie wzięło monopol na ciemnotę. Za kryterium możesz sobie wziąć Zarzycką czy Marczyńskiego[111]. Bierze mnie ponura i bezsilna wściekłość, kiedy wspomnę te siejące zarazę głupoty nazwiska!

— Na całym świecie i w każdym kraju są tacy fabrykanci podłych książek. Toteż nie bierze się ich zupełnie pod uwagę i w ogóle nie wciąga w historię literatury danego narodu. U nas ponure wrażenie sprawiają znaczne nakłady tych bzdur, co oznacza, że czytelnictwo stoi na bardzo niskim poziomie. W Anglii taki Wallace[112] jest bardzo czytany, ale prócz niego czytany jest Galsworthy[113] lub Shaw[114], a u nas tych drugich nie ma. Ciekaw jestem, czy będziemy mieli kiedykolwiek naprawdę dobrego pisarza.

— Tak, źle jest. Spotykacie się jeszcze w Ziemiańskiej?

— Dość często. Marnujemy czas i przelewamy z pustego w próżne. W ogóle prowadzi się tak ponure życie, że czasem bierze chęć popełnić jakieś szaleństwo. Jałowe to wszystko takie. Będę musiał już iść, Lucjanie! Wybrnij jak najprędzej z tej niemocy i napisz coś dobrego. Odwiedzę cię jeszcze kiedy.

---

[111] *Marczyński, Antoni Stanisław* (1899–1968) — dziennikarz i poczytny powieściopisarz. [przypis edytorski]

[112] *Wallace, Edgar* (1875–1932) — angielski pisarz, autor sensacyjnych powieści i kryminałów, poczytnych również w Polsce. [przypis edytorski]

[113] *Galsworthy, John* (1867–1933) — powieściopisarz angielski, autor *Sagi rodu Forsyte'ów* (1922, wyd. pol. 1930). [przypis edytorski]

[114] *Shaw, George Bernard* (1856–1950) — wybitny angielski dramaturg. [przypis edytorski]

Pożegnali się i Lucjan znów pogrążył się w swoich rozmyślaniach. Przygnębienie Bednarczyka objawiło się teraz w ten sposób, że wstał i począł pochłaniać wiktuały przywiezione przez matkę. Przyrządził sobie pełną patelnię jajecznicy z kiełbasą i siedząc przy stole w ponurym milczeniu to konsumował. Edward manipulował coś koło swojej ręki. Student czyścił spodnie panamą[115] i opowiadał Teodozji treść jakiejś książki. Stukonisowa rozmawiała ze starą chłopką. W kuchni syczał czajnik, a na schodach ktoś komuś opowiadał, jak to było za rosyjskich czasów. Raptem w pokoju wybuchła awantura i to z dość błahej przyczyny.

— Weź pan te portki z biurka — wykrzyknął Edward — bo muszę pisać.

— Na stole pisz pan sobie.

— A ja chcę na biurku, bo ono do tego służy!

— Nie bądź pan nudny, nie będę się teraz przenosił!

— Albo się pan przeniesiesz, albo panu te portki wyrzucę za okno!

— Żebym ja pana nie wyrzucił!

— Co?

— G...o!

— Panie Lucjanie, słyszał pan coś podobnego! Portki czyści na biurku, a mnie, który chcę pisać, nie chce puścić.

Ale Lucjan nie odezwał się, tylko Bednarczyk wyrzucił takie zdanie:

— W mordę pan chcesz?

Edward poszedł do swego pokoju i stamtąd wykrzykiwał:

— Bydło ordynarne! Nie ma to poczucia taktu i koleżeńskości! Jeszcze ja się wam kiedyś przysłużę, popamiętacie mnie, chamy przeklęte!

Znów nastała cisza i spokój. Również cichutko i potulnie weszli Dziadzia i Zygmunt. Byli czegoś bardzo zmęczeni i żądni odpoczynku.

— Zdałeś? — zapytał Zygmunt Bednarczyka.

— Nie nudźcie mnie, do jasnej cholery! Nie zdałem, nie!

— No, to się teraz pewnie powiesisz? — I Zygmunt wyciągnął się jak długi na kanapie.

Dziadzia usiadł obok Lucjana.

— Wiesz, miły, ciężki dzień mieliśmy z tym staruszkiem. Nie miał na zapłacenie rachunku u Herbsta i była przykrość. Jutro tu przyjdzie, bardzo nas polubił. Jak? Kaszlesz jeszcze?

— Kaszlę, kaszlę! Czyś ty oddał pieniądze tej... pannie Leopard?

— Ależ naturalnie, mój kochany, oddałem co do grosza. Nie myśl, już ja na te rzeczy zwracam baczną uwagę. Muszę się teraz położyć, bo jestem bardzo osłabiony. O dziesiątej umówiłem się z Jurkowskim w „Małej", mamy iść razem na jakieś imieniny.

Dziadzia położył się na łóżku. Właśnie Stukonisowa szukała czegoś w szafie, kiedy Dziadzia odezwał się do niej przymilnie:

— Ja pani jestem coś winien?

— No, a jak pan myślał, za okrąglutkie dwa miesiące.

— Uiszczę już wkrótce.

— Dałby Bóg!

— Mógłbym pani już dzisiaj dać coś *a conto*, lecz pewne delikatne zobowiązanie, sto złotych. Wie pani, ja mam dziecko? Właśnie sto złotych, nawet brak mi jakieś pięć do tych stu, kłopot mam nawet z tej błahej przyczyny...

— Jak na dziecko, to musi pan dać, ja poczekam. Ale na przyszłość, bądź pan ostrożny, bo łajdackie życie do niczego dobrego nie wiedzie.

— Naturalnie. Toteż czuję się w obowiązku, skoro popełniłem zły uczynek. I dlatego właśnie przykro mi, że obiecałem dzisiaj dać sto złotych, a mam tylko dziewięćdziesiąt pięć. Dla mnie słowo w takich sprawach to bardzo delikatna rzecz, mam więc troskę.

— Ja nie mam, bo bym panu dała.

— Tak też myślałem, że tylko pani pojmie moje położenie. Jestem pewien, że gdyby pani miała, oddałaby mi pani ostatnie.

— Kiedy akurat nie mam.

— Szkoda wielka.

[115] *panama* — tu: kora panamska, rodzaj naturalnego mydła. [przypis edytorski]

— No tak mi właśnie wypadło, że nie mam, chyba...

— Zawsze mówiłem, że pani ma serce tkliwe pod osłoną pozornej surowości.

— No to niech pan poczeka, skoczę na dół, do kuzynki, jak ma, to wezmę od niej.

— Nie zapomniałbym pani tego nigdy.

Po kilku minutach Stukonisowa wręczyła Dziadzi pięć złotych. Była to większa suma, jaką mu się od kilku dni udało zdobyć.

Lucjan przechodził piekło gorączki. Pościel parzyła mu ciało, a przed oczami kłębiły się kolorowe majaki. Co jakiś czas dusił go rwący płuca kaszel. W alkowie było straszliwie duszno, to też wieczorami Lucjan znosił prawdziwe męczarnie. Leżał tak, niby drewniany słup w żarze.

Zygmunt zwrócił się do matki ze skromną prośbą:

— Niech mi mama da dwa złote, bo jestem bez grosza.

— Zwariowałeś! Sama musiałam pożyczyć dla pana Krabczyńskiego pięć złotych, bo był w potrzebie.

Zygmunt zbliżył się do Dziadzi:

— Wycyganiłeś już, daj dwa złote, bo powiem matce, żeś zbujał!

— Chodź do „Małej", tam zmienię i dam ci.

— No, to chodźmy.

Wyszli, trzasnąwszy mocno drzwiami.

Rozdział X

Edward umarł! Umarł jak Bazarow z *Ojców i Dzieci* Turgieniewa[116], pomyślał Lucjan, kiedy wywieziono ciało studenta. Przyczyną śmierci była owa mała ranka na palcu lewej ręki, którą Edward tak ssał uporczywie. Zakażenie krwi trupim jadem. Zanim on sam i w ogóle ktokolwiek zorientował się, było już za późno. Wszystko to trwało cztery dni i oto Stukonisowa straciła swego kłótliwego lokatora.

Teodozja z tytułu swej kobiecości początkowo popłakiwała, ale w końcu powiedziała:

— Dobrze, że ten drań umarł, bo mógłby jeszcze gorzej skończyć i tylko wstydu by człowiekowi narobił.

Był tu jeszcze jeden kandydat do przeniesienia się w inne regiony, mianowicie Lucjan ze swoim ostatnim krwotokiem, który aż nadto wyraźnie podkreślił stan jego płuc. Było to na dzień przed śmiercią Edwarda. Krew waliła z gardła dobre pięć minut, aby oddać chorego z powrotem w piekielne uściski temperatury. Lekarza nie wezwano, ponieważ zaraz po krwotoku choremu zrobiło się niejako lepiej.

Tego rana, Lucjan czuł się rzeczywiście nieźle. Kaszel zmniejszył się i oddech był lżejszy. Małe osłabienie opanowało organizm, natomiast gorączka zmniejszyła się albo też znikła zupełnie. W mieszkaniu nie było nikogo. Kotek, który zdążył już podrość trochę, wałęsał się po kątach z tępą neurastenią w swych wilgotnych oczach, zwierzę to dostarczało Lucjanowi szeregu wzruszeń obserwacyjnych; potrafiło na przykład w szalonych susach biegać po mieszkaniu, dotykając w locie drobnych przedmiotów, wyczyniając jakieś ekwilibrystyczne sztuczki na firankach, kręcić się w kółko jak opętane, aby za chwilę pogrążyć się w cichą rozpacz i w absolutnej prostracji podpełznąć gdzieś pod piec lub wsunąć się pod kołdrę Lucjana. Czasem mały kot przyczajał się w pełnej natężenia pozycji i w tejże pozycji zasypiał. Jego wyimaginowany wróg mógłby mu po nosie skakać. Za oknami świeciło wyblakłe jesienne słońce, rzucając jakieś niezdecydowane promienie w głąb pokoju. Była zupełna cisza, nawet zegar nie tikał, bowiem student go przekręcił, na skutek czego miał dłuższą rozmowę ze Stukonisową. Lucjan zwlókł się z łóżka i chwiejnie podszedł do okna. Akurat właśnie z kościołka naprzeciw ekspediowano trumnę na cmentarz. W nikłych promieniach słońca poruszali się ludzie przeważnie ciemno ubrani, mężczyźni z kapeluszami w rękach. Wojskowi chodzili bocianimi krokami obok karawanu, błyszcząc metalowymi okuciami daszków swych czapek. Niektórzy krzątali się w groteskowo powolnych ruchach koło trumny; poprawiali wieńce, klepali konie po nozdrzach lub też rozmawiali, ze zwieszonymi w dół głowami. Obok stali w dwuszeregu żołnierze z dętymi instrumentami w rękach. Wszyscy mieli zadowolone

[116]Bazarow, Jewgienij Wasylewicz — student medycyny, postać z powieści rosyjskiego pisarza Iwana Turgieniewa (1862). [przypis edytorski]

twarze, a cały orszak wyglądał prawie wesoło. Lucjan oparł się łokciami o brzeg okna, bowiem nogi drżały mu zbyt silnie, aby mógł stać prosto. Przechodziły mu przez głowę różne myśli dziwnie kojarzące się z widokiem naprzeciw. „Przebudzić się w trumnie, to straszna rzecz, zwłaszcza, jeśli się jest razem z nią zakopanym. Natomiast, o, jak tam... byłoby dość zabawne. Wygramolić się raptem z trumny, z tych wiórów, usiąść sobie na niej okrakiem i dopiero z góry język wszystkim pokazać. A jeszcze zaciąć konie i galopem przez ulice miasta, toż to byłoby śmiechu, tak, ceremonia pogrzebu byłaby raz na zawsze ośmieszona. Ciekawym, kto mnie... a, głupstwo! O, co to, ruszają już".

Orkiestra zagrała sobie jak zwykle marsz pogrzebowy Szopena. Widać było poruszenie i wyraźną radość na twarzach obecnych z powodu wyruszenia. Jakiś wojskowy nastąpił starszemu panu na nogę, przeprosił go pełnym powagi skłonem głowy, przytknął dwa palce do czapki. Pogrzeb ruszył i odsłonił na oścież otwarte drzwi kościoła. Z daleka słychać było słabnące dźwięki orkiestry. Do kościoła wchodziły starsze kobiety w kapeluszach lub chustkach. Gazeciarz usiadł na schodach i jął przeliczać pieniądze, przyszedł drugi, trzeci i zaczęli grać w wybitkę. W mrocznym wnętrzu kościoła żarzyły się gromnice.

Lucjan przeszedł do drugiego pokoju. Na stole leżała niedokończona praca Teodozji. Spodnie Edwarda z igłą w wystającej łacie. Po kiego diabła reperuje mu ona te spodnie, pomyślał Lucjan. Rozejrzał się: na polowym łóżku Edwarda spała matka Bednarczyka. Zabawnie wyglądała w chustce na głowie i swych pasiastych spódnicach. Wrócił z powrotem do wspólnego pokoju i usiadł przy biurku. Leżał tu świeży numer „Robotnika" z dużym wierszem Zygmunta[117]. Przeczytał wiersz i bębnił w niezdecydowaniu po blacie biurka. Napisać może list do kogo, pomyślał, ale zaraz poczuł ogromny wstręt do pióra, przy tym zmęczenie go ogarnęło. Poszedł więc do łóżka.

Począł myśleć na różne tematy. *Śmierć* Maeterlincka[118], czytał to przecież, i owszem, ciekawe rozważania. „Czy przemyślałem śmierć? Rzeczywiście, myślałem o niej często! Nie boję się jej jednak. Cała rzecz w tym, żeby umrzeć w poczuciu, że się nic nie traci na odejściu z tego globu. Czy ja mam to poczucie? No, chyba, skoro wyobraziłem sobie wszystkie najlepsze strony życia, jakie mógłbym osiągnąć i nie dały mi one radości! Chociaż kto wie, gdybym je posiadł, może bym inaczej się na to wszystko zapatrywał. Jakie to śmieszne, ludzie w ogóle wierzą w coś, w jakieś tam misje. Chciałbym zobaczyć to perfidnie zmrużone oczko natury, które przypatruje się beznadziejnym mozołom swych stworów. Ha, umysł ludzki! To—to, a owo! Psiakrew! Jakieś skaleczenie się lancetem i już po umyśle, koniec całego cudu. Rrrym! J...ł to pies".

Leciutkie pukanie ocknęło go. Oczywiście, stara małpa śpi i on będzie musiał pójść otworzyć. Narzucił na siebie płaszcz i otworzył drzwi. Stała tam bardzo milutko uśmiechnięta panna Leopard. Wspięła się na paluszkach i przechyliła główkę:

— Można wejść do środka? — zapytała najsłodziej.

O mało nie zwalił się jak długi, kiedy ją zobaczył. Czuł, że jedyny ratunek to łóżko, podążył więc tam, jak mógł najśpieszniej, mamrocząc coś, żeby weszła.

Zdejmowała rękawiczki, rozglądając się po pokoju.

— Zupełnie jak u Murgera[119] — powiedziała, i skierowała swe czarne oczy w wychudłą i rozpaloną twarz Lucjana.

— Choruje pan podobno, więc przyszłam, odwiedzić przyszłam. Usiądę tu obok pana, na łóżku. Proszę mi coś powiedzieć o sobie. Co panu właściwie jest?

— Po co pani tu przyszła, przecież to już jest nieludzkie.

— Wiem, że jestem bardzo winna, lecz nie ma sensu wspominać dawnych historii, spróbujmy dojść do porozumienia, panie Lucjanie, niechże pan mnie pojmie!

— Tu nie ma nic do pojmowania. Muszę panią uprzedzić, że często bywam ordynarny, prócz tego chory jestem i nerwy mi nie bardzo dopisują.

Poczęła go gładzić po kolanie i mówić jak do dziecka:

---

[117] *z wierszem Zygmunta* — S. R. Dobrowolski od roku 1926 zamieszczał swe utwory w organie Polskiej Partii Socjalistycznej „Robotnik". [przypis edytorski]

[118] *Śmierć* — szkic filozoficzny belgijskiego eseisty i poety Maurice'a Maeterlincka (1913, wyd. polskie 1921). [przypis edytorski]

[119] *Murger, Henri* (1822–1861) — francuski pisarz, autor powieści *Sceny z życia cyganerii* (1848), na podstawie której powstała opera Giacomo Pucciniego *Cyganeria* (1896). [przypis edytorski]

— Taki chory, taki ordynarny, i taki... taki bardzo kochany, i malutki, i nerwowy... no, już dobrze, prawda? Wszystko dobrze?

Było mu rzeczywiście dobrze; to gładzenie po kolanach i wyżej było wcale przyjemne. Z drugiej strony odczuwał wyraźnie psychiczną urazę do tej wystrojonej i pachnącej dziwki. Musiał ścisnąć rękę, aby nie trzasnąć jej w tę gładką gębusię.

— Pewnie Lusiowi smutno jest tutaj samemu?

— Smutno, smutno.

— Wie pan, ja to sobie tak czasem myślałam, że bardzo nikczemnie z panem postąpiłam. Ja rzeczywiście wolę starszych mężczyzn, a z drugiej strony imponuje mi taka młodzieńcza miłość i przez jakąś dziwną perwersję, staram się ją upokorzyć. Sama jestem młoda, mam przecież dopiero dwadzieścia pięć lat. Ale z panem to rzeczywiście za ostro postąpiłam.

— Już drugi raz mi to pani mówi.

— Ach, tak, wtedy, tam na plaży. A potem, wie pan... byłam taka niezdecydowana. Bądźmy przyjaciółmi.

— Dziękuję pani, obejdę się.

Tymczasem lewa ręka panny Leopard bardzo skutecznie prosperowała pod kołdrą. Nad wyprężonym ciałem Lucjana i pochyloną kobietą zapanowała charakterystyczna cisza. Wreszcie ręka wysunęła się spod kołdry. Lucjan obrócił się twarzą do ściany, a panna Leopard wyszeptała:

— Maleńki, przyjemnie było?

Leżał wściekły i zupełnie wyczerpany. Z rozpaczą myślał, jak źle z nim jest, skoro taka drobnostka pozbawiła go sił. Przy tym nie powinien był pozwolić na ten gwałt ze strony znienawidzonej kobiety. Nie, stanowczo nie miał charakteru. Czy przyjemnie mu było? Uchh! wstrętna k...a!

— Nic mi mój chłopczyk nie powie?

— Nic, prócz wstrętu.

— Jak można być takim grubianinem?

— Trzeba nawet, skoro się ma do czynienia z tak przewrotnym stworzeniem jak pani.

— Musi pan jak najprędzej wyzdrowieć. Będziesz przychodził do mnie, postaram się przekonać cię do siebie. W gruncie rzeczy mam dla ciebie wiele tkliwości, mój mały.

— Najlepiej będzie, jeśli pani pójdzie sobie i zostawi mnie samego. Jest mi pani bardziej niż obojętna. Czuję się bardzo źle i dręczy mnie widok pani.

— Ach, kochany, jakże uroczy jesteś w swoim gniewie. Lżyj mnie, to tak rozkosznie być obrażaną przez ciebie, czuje się mężczyznę!

— Proszę w tej chwili wyjść, dziwko bez ambicji! Przyszłaś tu jeszcze kpić ze mnie! Wynoś się do jasnej cholery!

— To ty tak naprawdę? Czy sądzisz, że nie znajdzie się nikt, przed kim odpowiesz za te słowa?

— W d...e mam twoich rycerzy! Grób mój najwyżej o.....ą! W tej chwili proszę wyjść stąd!

Krzyczał na cały głos. Sprawiał wrażenie furiata. Na progu stała przerażona chłopka i przyglądała się całej scenie. Panna Leopard uśmiechała się, naciągając rękawiczki. Wychodząc, powiedziała na pół do siebie, na pół do Lucjana:

— Coś tak dziwacznego, przytrafiło mi się pierwszy raz w życiu. Gdybym to komuś opowiedziała, nie uwierzyłby. Po tym wszystkim, takie słowa! Wariat zupełny.

Wychodząc, spotkała w drzwiach Teodozję. Obrzuciły się badawczo wzrokiem. Teodozja trzasnęła drzwiami i podeszła da Lucjana.

— Czego tu chciała ta damulka?

— U mnie była, co cię to zresztą obchodzi?

— Obchodzi mnie, bo cię aż skręciło z tej wizyty! Na chwilę nie można wyjść z domu, już go naszła jakaś lafirynda!

— Nie mów tak wiele, daj mi się lepiej napić czegoś.

Gorączka znów objęła podniecony gniewem organizm. Na policzki wystąpiły dwie ceglaste plamy. Dłonie były wilgotne, a oczy błyszczały. Uczuwał brak powietrza i szum w głowie.

Teodozja przyrządziła mu chłodny napój, jakąś wodę z sokiem. Postawiła szklankę na krześle i sama usiadła obok niego. Odgarnęła mu kosmyki włosów z czoła. Starała się ukryć wyraz czułości na swej twarzy. Poczęła się zwierzać ze swych trosk.

— Czy nie domyślasz się, jakie ciężkie mam życie? Pracować muszę ciężko i nie mam się czym pocieszyć. Edek umarł, diabła on wart był, ale zawsze brat. Teraz z tobą coraz gorzej, mój ty biedaku najdroższy. Tak sobie umyśliłam, że już przez całe życie będę przy tobie, choćby za pokojówkę albo jaką inną służącą. Bo wiem przecież, żeś z innych ludzi i żenić się ze mną nie możesz. Jedyna pociecha, że mogę teraz chodzić koło ciebie, bo jakbyś był zdrów, to latałbyś ciągle po mieście i widzieć bym cię nigdy nie mogła. Myślisz może, że żałuję, że ci się oddałam. Wcale nie, tylko teraz jest tak źle, że nie masz sił i nie możesz mieć ze mnie żadnego pożytku. A tak ciągle myślę, że za nic mnie masz i tylko cię nudzę sobą bez ustanku.

— Nie gadaj głupstw, Todziu, bardzo cię lubię i szanuję, jesteś taka dobra dla mnie, doglądasz mnie w chorobie.

— A co mam nie doglądać? Bylebyś tylko z niej wylazł.

— To bardzo wątpliwe, moja droga. Już się tak wszystko składa, żebym pożegnał się z tym światem.

— Nie trzeba tak mówić, ile to ludzi wyszło z gorszych jeszcze rzeczy. Wszystko w ręku Boga.

— Jakiego tam Boga!

— Właśnie dlatego, że wiary żadnej nie masz, to ci tak wszystko ciężko idzie. Jest czy nie jest, nie ludzka to rzecz zastanawiać się nad tym, byleby tylko wierzyć, to już jest jakieś oparcie.

Przytuliła policzek do jego twarzy i szeptała mu do ucha:

— Tak mi się chce ciebie, że mało sobie tego brzucha czasem nie rozerwę, a najgorzej to już w nocy, nauczyłeś mnie tych różnych przyjemności i teraz rady sobie dać nie mogę. Żebyś mnie chociaż samej z tym wszystkim nie zostawił.

Wywnętrzała się i tuliła do niego. Długi szereg czułych zdań, wstrzymywanych tak długo. W końcu powiedziała mu, że tak bardzo go kocha, że poza nim żadnego mężczyzny nie widzi na świecie. Student przerwał ich tkliwą samotność.

Józef był uradowany, mianowicie wyjeżdżał na jakiś kurs praktyczny gdzieś na prowincję. Kilka tygodni miał tam spędzić. Zataczał piruety po pokoju, robił miny przed lustrem, gwizdał przy tym wesoło. Za dwa dni, czyli w poniedziałek, miał wyruszyć. Teraz złożył swoje książki, wykresy i cyrkle, wszystko to na jedno miejsce, w głąb etażerki, na długi wypoczynek, po czym zabrał się do przyrządzania sobie obiadu. Rozbijał jajka, podczas gdy słonina skwierczała na patelni, jajecznicę sobie szykował. Jego sarnie oczy z miłością wpatrywały się w żółtą masę. Jadł, od czasu do czasu spoglądając w lustro. O kotku nie zapomniał, rzucił mu coś niecoś.

Lucjan wspominał dni, kiedy też był pełen sił i energii. Było to jeszcze tak niedawno, jadł i pił tak samo. Ileż to nocy przepędził w wesołym gronie tęgo pijąc, paląc. Och, jakże okropnie brak mu było palenia. Krztusił się jednak i kasłał więcej, skoro próbował się kiedyś zaciągnąć dymem papierosa. Tak, życie może w osiąganiu zamierzonych celów nie jest zbyt przyjemne, ale samo przez się, objawiające się w drobnych codziennych sprawach, jest niewątpliwie interesujące, zwłaszcza, gdy się jest zdrowym i młodym, zdrowym szczególnie. Żałosna to sprawa, skoro się jest do niczego po powierzchownym zetknięciu z młodą kobietą. A i nerwy pozbawione odporności na błahe zdarzenia, czyż nie są tragicznym dopełnieniem niemocy fizycznej. Tak, ciało jego było żywym wulkanem, w gardle bulgotała flegma niby lawa, a wielkie słupy krwi, czyż nie podobne były do wybuchów ziemskiego wrzodu. Tliło się to życie w beznadziejności, niby strzęp jakiś ciśnięty między zarzewia czasu. Obok skakał na jednej nodze człowiek, który za parę dni będzie mógł chodzić po lesie, patrzeć na ptactwo i wierzchołki drzew. Tego właśnie najbardziej żałował Lucjan, nie zaś karlich osiągań ludzkiego umysłu. Kiedy uświadamiał sobie, jak dalekim jest wszelki geniusz ludzki od owej istotnej doskonałości, którą natura sprytnie sobie ukryła i o jej istnieniu domyślać się tylko pozwala, aby mieć uciechę z bezskutecznych zamierzeń swoich marionetek, od doskonałości bezmyślnie metafizyką przez ludzi nazwanej — wówczas jedno drobne wzruszenie na skutek śpiewu słowika podczas nocy wiosennej przekładał ponad wszystkie dorobki rozumu człowieczego, bowiem nocy

takiej pojmował, iż jest najbliższy prawdy. Lecz oto oddalony był bardzo od drzew i ptaków, natomiast dusił się systematycznie w śmierdzącej alkowie na ulicy Nowiniarskiej. Wreszcie w głębokiej zadumie dłubiący w nosie Józef, bynajmniej nie przyczyniał się do podniesienia uroku nieszczęsnego pokoju.

Od czasu swego przyjazdu, matka Bednarczyka raz tylko wyszła na miasto. Istotnie cierpiała na jakieś zaburzenia w organach płciowych. Lucjan wstrząsał się z obrzydzenia, ilekroć wyobraził sobie jakieś szczegóły tej choroby. Celem tego jednorazowego wyjścia była porada u lekarza, po której stara chłopka modliła się jeszcze żarliwiej, skarżąc się co kilka godzin Teodozji na swe cierpienia. Sprawiała wrażenie kukły z muzeum etnograficznego. Lucjan często widział pod oknem jej kiwającą się sylwetkę, zwłaszcza przed wieczorem, w mroku, sprawiała koszmarne widziadło. Cuchła potwornie. Na noc nie rozbierała się zupełnie. Lucjan nie widział, aby się myła. Jej pobożność stanowiła kontrast z chytrymi, starczymi oczami. Po śmierci Edwarda zajęła jego polowe łóżko i kładąc się po raz pierwszy, powiedziała: „Zamrę i ja tu pewnikiem po tym chłopacku". Na ogół mówiła niewiele, a na jej twarzy mumii malował się wyraz bezustannej, podejrzliwej obserwacji. Najbardziej cierpiał Lucjan, ponieważ narażony był na stałe obcowanie z nią. Najdziwniejsze było to, że się wcale nie interesowała swym synem, rzadko kiedy mówili ze sobą, tak to wyglądało, jakby byli obcy sobie. Zresztą chłopka modliła się lub spała po całych dniach.

Usiadła teraz na swym miejscu pod oknem i utkwiła swe czarne oczka w twarzy studenta. Ten początkowo nie zwracał na to uwagi, ale w końcu uporczywy wzrok baby począł go denerwować, więc aby przerwać to, odezwał się:

— Chorzyście matko, co?

Wpatrując się ciągle w twarz studenta, poruszyła sinymi sznureczkami warg. Powiedziała coś, czego nikt nie słyszał. Lucjana, który przypadkowo spojrzał na nią, przejął dreszcz niesamowitego strachu. W czarnych oczach chłopki koncentrowało się całe piekło złości. Nieruchoma, wpatrzona w studenta, wyglądała jak bajeczna jędza z czasów dzieciństwa.

— No i co doktor powiedział?

Z warg wyszło jakieś syczące słowo. Student odwrócił się do niej i na twarz jego wypełzł nieprzyjemny grymas. Pragnął widać zatuszować swoje zaniepokojenie, więc powiedział:

— Coście, kobieto, głucha? Odpowiadajcie, kiedy pytam!

Teraz słowo zabrzmiało zupełnie wyraźnie.

— K.....rz!

— Zgłupieliście? Co wy gadacie?

— K....rz! Synaś mi zaprzepaścił!

— Na mózg wam padło. Co wy chcecie ode mnie?

Chłopka podeszła do studenta z wykrzywionymi palcami, jak gdyby go dusić zamierzała. Syczała z wściekłością.

— Rachujes se moze ty zatraceńcu sparsywiały, ze nic nie miarkuje? A bez kogo chłopak skół nie pokończył, nie bez twe świńskie praktyki, coś go wyucył?

— Wariatka, jak Boga kocham! Wariatka!

— Tyś tylko mondry, diabli pomiocie. Kto go naucył, zeby sobie po nockach miedzy nogami rękom majdrował? Mozem nie słysała, jakeście w nocy rozprawiali o tym, bez co ja zmarnowałam tyle dobytku na jego naucanie? Bez ciebie, ty skurcybyku! Stukonisowa powiedała mi, ze bez to nie zdał, bez te nocne praktyki. Ale cekaj, juześ zezorł, juz! Z jojkami ześ zezorł, juzem ci prosku nasypała! Zamrzes jak pies.

Student zrobił się blady jak trup, machinalnie położył dłoń na brzuchu. W przerażeniu patrzał błędnie wokół siebie. Lucjanowi też dech w piersiach zaparło. Chwilę trwała ponura cisza. Wreszcie Lucjan wykrzyknął:

— Niechże pan skoczy do jakiegoś lekarza, może ona pana rzeczywiście otruła!

Student narzucił palto i wybiegł jak szalony. Chłopka mruczała coś pod nosem, przesuwając paciorki różańca. Teodozja zbliżyła się do niej.

— Czyście go struli naprawdę?

Na pomarszczonej twarzy wykwitł perfidny uśmieszek, poza tym milczenie.

Wytworzył się niesamowity nastrój. Teodozja chodziła z kąta w kąt, baba siedziała nieruchomo, Lucjan uniósł głowę i przypatrywał się tej niemej scenie.

— Jeśliście to zrobili, do kozy pójdziecie — powiedziała wreszcie Teodozja.

Milczenie.

Upłynęła może godzina ponurego oczekiwania. Wreszcie zjawił się student z bladą, wymiętą twarzą. Wyszeptał z ulgą:

— Płukali mi żołądek, nic nie było.

Potem zwrócił się do chłopki:

— Ty stara jędzo, na policję pójdę, zdechniesz w więzieniu.

— Co pani miała w tym, żeby tyle niepokoju narobić? — zawołał Lucjan.

Wstała, prychnęła jak stara kotka i wyszła z pokoju. Student usiadł na kanapie i splótł dłonie na zapadłym brzuchu. Smętnie skierował głowę w stronę Lucjana.

— No niech pan tylko sam powie, jakie to człowiek ma życie? Ta cholera zwariowała chyba, tyle mi strachu narobić! I co za cel w tym miała? Nic zupełnie nie rozumiem. A com się wycierpiał przy tym piekielnym płukaniu, jakieś gumy mi do gęby pakowali. Wiem dobrze, że Bednarczyk wyprawia coś po nocach, ale żebym ja go miał tego uczyć, starego chłopa. Mówię panu, że tu się robi dom wariatów!

— Wie pan, że mnie się ta cała historia bardzo dziwną wydaje. Chłopka, orientując się w tym, wykazała pewną dozę jeśli już nie inteligencji, to przynajmniej fantazji. Wymyślić coś takiego, to przecież nie jest takie zwykłe. W ogóle ta baba jest niezwykłą postacią, wątpię czy jest przy zdrowych zmysłach.

Po całym tym epizodzie teraz dopiero nastąpiło odprężenie. Siedzący na kanapie student miał minę człowieka wpatrzonego w swoje wnętrzności. Jego mgłą podejrzenia i lęku przepełnione oczy, ułożone były tak, jak gdyby chciały zajrzeć do nieszczęsnego żołądka, w którym prócz żałosnej pustki, śladów jakiejś szkodliwej substancji nie było. Niemrawo bawił się puklem swych włosów. Teodozja sterczała w oknie, wpatrzona w szarzejącą w mroku uliczkę. Stukonisowa wróciła z pracy. Gderała, jak zwykle, krzątając się po mieszkaniu. Ucisk straszliwej nudy dręczył Lucjana. Była to jakaś stężała reakcja na cały szereg ponurych zdarzeń, jakie się od pewnego czasu obok jego łóżka rozgrywały. Korciło go, żeby wstać z tego przeklętego barłogu, na siłę podnieść się, ubrać i pójść między ludzi, w to normalne życie kawiarniane, gdzie wszystko nie jest tak wstrętnie obnażone, jak tu, w tym wspólnym pokoju. Wypiłby sobie, pogawędził z kimś. Był to jednak pomysł wariacki, niedorzeczny! Przecież ledwo zipał, tu, leżąc. W nogach zamiast mięśni miał watę, kilka kroków powodowało zadyszkę. Leżał więc jak kloc próchniejący, całe życie uciekło do głowy i tam jej omal nie rozsadzało. Ach, jakże nędznie zanikało to wszystko, co było kiedyś jednym pociskiem energii i szaleńczych ambicji.

Właśnie Stukonisowa wysłuchała skargi studenta. W głowie jej się to wszystko pomieścić nie mogło, więc zażądała, aby jej to powtórzył raz jeszcze. Głupi człowiek jął więc wykrztuszać z siebie niedołężne zdania niby kawałki solitera. „A że go przestraszyła, a że myślał że to prawda, a płukanie, a nigdy Bednarczyka nie uczył i tak dalej". Stukonisowa rzekła więc do chłopki:

— Coś pani narobiła? Jeszcze mi pani policję do domu sprowadzi!

Ale widziadło nic nie odrzekło, tylko odwróciło się do okna i tam kiwając się, milczało.

Rozpoczęła się najnudniejsza dyskusja. Student i Stukonisowa to przeczyli sobie, to znów przyświadczali. Rozważali wszystko od początku do końca, czasem padło ostre słowo, jakiś ubożuchny komentarz zatrzepotał niezdarnie w mroku pokoju. Lucjan miał uczucie, jak gdyby mu ktoś wlewał całe kwarty zepsutej oliwy do gardła. Przy tym gorączka zaczęła pastwić się nad nim.

Dziadzia i Zygmunt przyszli. Znów rozpoczęto omawiać sprawę studenta i chłopki. Młodzi ludzie szybko pojęli, iż rzecz cała opiera się na jednym z dziwacznych przejawów codziennego życia. Dziadzia powiedział:

— Na pewno babie nudziło się, więc chciała się jakoś rozerwać. — Po czym temat ten wyczerpał się zupełnie.

W pokoju zrobiło się weselej. Dziadzia przebrał się we flanelową kurtkę, włożył miękkie pantofle na nogi, zapalił papierosa i usiadł obok Lucjana. Zygmunt wykłócał się o coś z matką, w przerwach żartując z Teodozją. Zapalono światło. Student doprowadzał kotka

do silnego podniecenia, masując palcami jego mizerny zad. Z drugiego pokoju dolatywały słowa: „Mieciek zgnije w więzieniu", „A niech zgnije, wysiedzi się, to się wysiedzi" „I ciebie to czeka", „Niech mama uważa lepiej na siebie", „Milcz, ty rozpróżniaczony bizunie", „Niby po co mam milczeć, skoro mnie zaczepiają i język mam w gębie", „Panno Todziu, pani chyba nie będzie taka wredna dla swego syna jak moja matka, no, już, niech mama nie mówi tak dużo, tylko lepiej da mi jeść, brak mi sił na kłótnie z pustym żołądkiem".

Dziadzia skończył swego papierosa i zapalił fajkę. Po długiem milczeniu wymówił wreszcie niepewnym głosem:

— Wiesz, Lucjanie, chciałbym ci coś powiedzieć.

— No, co?

— Wielka zmiana zaszła w moim życiu. Żenię się.

— Z kim?

— Właśnie, że to mi ci najtrudniej powiedzieć, zdziwisz się bardzo. Pomyśl trochę, może zgadniesz?

— Nie zadawaj mi łamigłówek, mam dość swoich.

— Otóż pobieramy się... no, panna Leopard zostanie moją żoną.

— Hm, kiedyście się porozumieli co do tego?

— O, nie tak dawno, zaledwie kilka dni temu, trudno mi było ci to powiedzieć, widywaliśmy się w dziwnych porach, trochę gorączkowałeś czasem, zwlekałem zresztą też, was coś łączyło przecież? No, ale teraz dlaczego miałbym przyjaciela nie powiadomić o tym. Dostałem posadę, dobre odpowiednie zajęcie w biurze okrętowym, przy tym pragnę sobie życie jakoś unormować. Wreszcie głównym powodem jest to, że pewien jestem, iż moja przyszła małżonka mnie naprawdę i gorąco kocha, a to jest bardzo ważne, przyznasz?

— O, tak! To jest istotnie ważne.

— No, więc, ty sam, skoro miałeś jakieś uczucie do niej i nie powiodło ci się, rad chyba będziesz, że kobieta ta zostanie żoną twego przyjaciela, z którym spędziłeś wiele dobrych i złych chwil. Co mówisz?

— To parę dni temu żeście postanowili o tym, powiadasz?

— Tak, trzy dni temu, nie więcej.

— No, życzę ci powodzenia w tym przedsięwzięciu. Żałuję, że nie będę na waszym ślubie.

— Tak, to przykre, skoroś niezdrów.

Zapanowało milczenie. Dziadzia pykał ze swej fajeczki. Miał poważnie-uroczystą minę, zdążył jeszcze powiedzieć, zanim wszedł Bove:

— Miałem nawet razem z nią przyjść tu dziś rano do ciebie, ale byłem zajęty w związku ze swą posadą.

Bove położył kapelusz na swojej wypchanej rękopisami teczce, po czym przywitał się z Lucjanem i Dziadzią. Na jego twarz wypełzł jakiś gorzkawy uśmieszek. Powiedział nieprzyjemnym akcentem:

— Jak się masz, Lucjanie? Cóż to, wódzia cię usadowiła w łóżeczku?

— Ach, mój drogi, myślę, że wódzia to by mi raczej pomogła teraz. Tonę w odmętach nudy i zwątpień. Bardzo to dzielnie z twojej strony, żeś się ulitował nad moją samotnością. Usiądz sobie.

— No, nie jesteś znów tak osamotniony, w tych koszarach. Zawsze ktoś jest chyba w domu? Teraz na przykład, Dziadzia siedzi obok ciebie jak siostra miłosierdzia.

— To wyjątek, rzadko kiedy go widzę, zawsze się gdzieś z Zygmuntem zapijają. Reszta domowników bynajmniej nie uprzyjemnia mi mojej samotności. Powiedz mi, drogi Michale, jak się ma sprawa twego wielkiego przekładu, wydano to już czy nie?

— Nie warto o tym mówić, korekty dopiero robię, sam nie wiem, czy to w ogóle się ukaże. Powiadam ci, że mamy stosuneczki, od których osiwieć można. Wszystko to takie jakieś nienawistne, zazdrosne. Czy to nie skandal, żebym ja musiał łazić bez grosza jak jakiś początkujący smarkacz! Wszędzie mnie zarywają, zarabiając jednocześnie na mych pracach. Powiadam ci, że lepiej być w Polsce woziwodą niż literatem. Pewnie, różnym takim, co to więcej sprytem niż talentem się kierują, powodzi się doskonale, ale gdzież u cholery jasnej ambicja!

— Wiecznie to samo! Powiedzże wreszcie coś wesołego, przyszedłeś do chorego i zamęczasz go swymi pesymistycznymi powiastkami. Jak zdrowie małżonki?

— Ano, jużeśmy się rozeszli, dzięki Bogu.

— No, nie powiem, aby to było coś wesołego. O cóż wam poszło?

— Mój drogi, niech cię Bóg uchroni od podobnego przypadku. Dostaliśmy kiedyś zaproszenie do poselstwa sowieckiego, miało się odbyć przyjęcie na cześć pisarza sowieckiego, który tu zjechał. Diabli mi nadali myśl, żeby i ją wziąć ze sobą, żonę moją. Ano, wystroiła się i poszliśmy. Z początku było wszystko dobrze, ale w pewnej chwili wydało jej się, że kawior jest śmierdzący. I narobiła tak potwornej awantury, że miałem zamiar po tym wszystkim strzelić sobie w łeb. Powiadam wam, że skandal, jaki tam zrobiła, przechodzi ludzkie pojęcie. Pyrgnęła całą salaterką tego kawioru o ziemię, obryzgując gorsy zebranych tam dygnitarzy, po czym nawymyślała sekretarzowi poselstwa w najokropniejszym rosyjskim języku. Ach, Boże, jak ona podle mówiła po rosyjsku. I wyszła, klnąc na czym świat stoi. Nie wróciłem już do domu, tylko z drogi napisałem list (wyjechałem do Wilna), że nie chcę jej znać więcej. Kiedy wróciłem, zaczęły się płacze i prośby, ale byłem tak wściekły, że przepędziłem babę na cztery wiatry i wreszcie mam spokój. Trudno wypowiedzieć, co ja się wycierpiałem z tą kobietą. Nie rozumiała mnie zupełnie, nie zdawała sobie sprawy, kim jestem, ciągle i wszędzie mnie kompromitowała, słowem do wszystkich moich trosk i przeżyć wewnętrznych dołączył się koszmar współżycia z nią. Powiadam wam, że jestem teraz zupełnie inny człowiek i gdyby nie przeróżne draństwa moich kolegów po piórze, miałbym zupełnie znośne życie. Człowiek się tak lekkomyślnie złączy z takim potworem i potem cierpieć musi. Ale, dzięki Bogu, wszystko się jak najpomyślniej skończyło.

Zygmunt trząsł się w kącie ze śmiechu, nie wytrzymał i dorzucił:

— Jasny gwint, zmarnowała taką masę kawioru, przecież to świetna zakąska do wódki.

— A co myślisz, świetna naprawdę, przy tym był zupełnie świeży, ot miał zapach, normalny rybny zapach kawioru — powiedział ze smętkiem Bove.

— Pewnie ci teraz smutno, tak samemu? — zapytał Lucjan.

— Diabła tam smutno, pieniędzy nie ma, to i cały smutek właśnie.

Student powiedział, wypuszczając kotka ze swych rąk:

— U nas w Rosi też jeden pokłócił się ze swoją żoną, no i rozeszli się. Ona żyła z innym, córka popa. Aż raz ci dwaj spiknęli się w knajpie, zaczęli sobie z początku dogadywać, ale potem zaprzyjaźnili się i, dalej go, wzajemne sobie świadczyć. Ten powiada: „Ja ci oddam twoją żonę z powrotem". Na to ten drugi: „A nie chcę, miej ty już ją przy sobie". „Kiedy weź ją sobie, bo pokochałem cię serdecznie". Pocałowali się. Ten odpowiada: „Nie chcę ja swojej ni twojej żony, niech już zostanie przy tym, kto ją na ostatku wziął, po co chachmęcić". Ten swoje a ten swoje. Aż wreszcie pierwszy mąż powiada: „Ja tutaj — panie święty — dziękuję Bogu, żem się jej pozbył, a ten mi ją z powrotem wtrynia". Na to drugi: „Albo ją zabierzesz ode mnie z powrotem, albo cię, skurczybyku jeden, zaduszę tu, pod tym kontuarem". Pobili się ostro po mordach, a zdaje się, że nawet jeden drugiego zabił, tylko nie pamiętam, który którego. A ta kobieta, to się utopiła. Żeby i pana coś podobnego nie spotkało, bo to przecież, przyzna pan, straszne.

— Po kiego diabła ten dureń się wtrąca — mruknął Bove, nierad, że ktoś zupełnie obcy słuchał jego zwierzeń.

— Różne rzeczy przydarzają się na tym świecie — dorzucił jeszcze student, po czym ubrał palto i wyszedł do miasta.

— Pomieszkaj sobie trochę z nami, Michale, — zaproponował Zygmunt — posłyszysz więcej takich wyprysków intelektu.

— Dziękuję ci, wolałbym już zostać lokatorem „Cyrku"[120].

Dziadzia uroczyście zakomunikował, że mimo przykrego doświadczenia Bove, on sam stanie się małżonkiem za dni kilka. I pełen jest jak najlepszych myśli. Bove wydała się ta wiadomość tak nieprawdopodobna, że parsknął śmiechem.

— Zwariowałeś, czy co? I z kimże to?

[120] *Cyrk* — potoczna nazwa domu noclegowego dla bezdomnych przy ulicy Dzikiej, który znany był z obecności licznych przestępców i nalotów policji. [przypis edytorski]

— O, tajemnica na razie. Poznasz mą żonę wkrótce i jestem pewien, że będziesz zachwycony, jestem szczęśliwy, że życie moje wreszcie się ułoży, przy tym moja przyszła żona jest kobietą wytworną i dobrze ułożoną. Łączy nas stara przyjaźń i znam ją z jak najlepszej strony.

— I z czegóż wy będziecie żyli? — zawołał Bove.

— Z pracy, z pracy rąk moich, proszę ciebie. Zresztą nie mówmy o tym, bo uśmiechasz się sceptycznie, a mnie to boli. Dajmy spokój.

— Jego to boli, pijaczysko ohydne. Sfilistrzejesz pewnie i zgolisz bródkę. Wieczorami będziesz czytał gazety lub patrzał na swe śpiące dziecko.

— Zgolę bródkę, moja bródka, moja rzecz.

— Nie sprzeczajcie się przy łożu chorego. Powiedz coś, Michale, o świecie, bywasz przecież masę, widujesz różnych większych i mniejszych ludzi.

— Daj mi spokój, u nas nie ma wielkich ludzi, same pyszniące się kreatury, człowiek naprawdę wart coś pozostaje w cieniu. Nie znoszę tych wszystkich spryciarzy.

— Nie przeszkadza ci to jednak dedykować swe tłumaczenia tym spryciarzom. Stale tam kogoś ucałujesz, gdzie nie trzeba.

— To nie ma nic do rzeczy, te sprawy załatwia się przy bufecie, po kilku kieliszkach. Nie bądź znów taki złośliwy. Zresztą muszę iść, bo na jutro mam przygotować artykuł dla „Radia".

Pożegnał się i wyszedł. Zygmunt zaraz powiedział:

— To dziwne, że on zawsze pisze te swoje odczyty do „Radia" i nigdy nikt ich nie słyszy. Nie znoszę tego Bove, obłudny facet.

Dziadzia uczesał swoją bródkę i począł się stroić. — Muszę się spotkać ze swą narzeczoną — powiedział.

Zygmunt ułożył się na kanapie, fuknął na chłopkę i wyjęczał ziewając:

— Ja tam nigdzie nie wychodzę, może jaki wiersz napiszę. Atmosfera domu, to tak kojąco wpływa na te umęczone nerwy. Oooch, Boże, czegoś taki zakonspirowany.

Pewnie, że sytuacja była śmieszna i bezczelna zarazem. Przecież była tu u niego tego ranka, ba, dopuściła się pewnego wstrętnego uczynku, gwałtu niejako. A teraz właśnie przychodzi poczciwy Dziadzia i to mu powiada. Czyż on, Lucjan, miał go zawiadomić o rannych odwiedzinach, musiałby przecież powiedzieć wszystko. Niechaj sobie sami dają jakoś radę, on da spokój, ma swoje życie.

Wrócił Bednarczyk, jego mongolska twarz była zwieszona i patrzył na wszystkich spode łba. Ostatnio stracił pewność siebie i energię. Nie uczył się zupełnie, ciągle włóczył się gdzieś po mieście. Przykra cecha ukazała się współlokatorom, mianowicie Bednarczyk wstydził się swojej matki. Unikał rozmowy z nią i nie wiadomo dlaczego, często patrzał na Lucjana wzrokiem usprawiedliwienia jakby.

W tym pokoju spotykali się wszyscy jak w jadłodajni, w której rzadko coś jedzono. Wesołości było tu niewiele, natomiast jedno drugiemu wiecznie przeszkadzało, nie lubiano się i wykłócano. Od czasu śmierci Edwarda uspokoiło się nieco, Bednarczyk tylko bardzo spochmurniał i miewał co czas pewien przykre napady męskiej histerii. Płakał, ba, raz dostał czegoś w rodzaju spazmów. Jeden Józef fioczył się przed lustrem i gwizdał wesoło, ogłaszając głośno wszystkie swoje najintymniejsze pragnienia. Był to umysł najmniej skomplikowany, dążący do od dawna wytkniętego, bezpretensjonalnego celu. Pewnie, że obecność wiecznie plującego Lucjana nie przyczyniała się do umilenia atmosfery wspólnego pokoju, właściwie jednak wszystko działo się samo przez się, było tu piętno biedy i daremnych wysiłków. Stukonisowa, czyż nie miała zatrzęsienia zmartwień: ciężka praca, troska o dom, wreszcie syn, młody człowiek siedzący w więzieniu za szkodzące społeczeństwu zamierzenia. O uśmiech tu było trudno, a jeśli się zdarzył, to u Zygmunta, brzmiał nerwowo i zgrzytliwie.

Siedział właśnie na kanapie i bębnił ołówkiem o zęby. Na jego twarzy walczyło lenistwo z chęcią zrobienia czegośkolwiek. W końcu rzucił ołówek na biurko i z rękoma w kieszeniach stanął przy łóżku Lucjana. Wywiązała się rozmowa na temat wspólnych przyjaciół. Młodych ludzi zajęło to tak silnie, że już po kilku minutach przerywali sobie wzajemnie, każdy bowiem myślał tylko, co on ma do powiedzenia i nie słuchał słów drugiego.

Przyszedł student, był zaróżowiony i zmachany nieco. Zygmunt przerwał, patrząc na niego:

— Założyłbym się, że Józio wraca prosto z burdelu i to z pobliża, z Mostowej ulicy. — Po czym znów zaczął wyjaśniać coś Lucjanowi.

Józio nie zdążył odpowiedzieć, bo akurat spostrzegł Bednarczyka i przykre wspomnienie obudziło w nim gniew.

— Coś pan! — szczeknął.

Bednarczyk odwrócił głowę i popatrzył pytająco na Józefa.

— Coś mi pan narobił najlepszego!

— Bzik się panu we łbie narodził.

— Właśnie, to nie wiesz pan, co ja miałem dzisiaj przez pana! Żołądek mi płukali!

Ale Bednarczyk nic nie wiedział, o co chodzi i szerokim gestem dłoni pokazał, gdzie wedle swoich obliczeń ma Józefa.

— Ja pana już dawniej miałem! Matka pańska zrobiła mi dzisiaj awanturę, że to ja pana wtrąciłem w szpony onanizmu!

— Brawo, Józiu, wspaniale się wyrażasz — wtrącił Zygmunt.

— ...i powiedziała, że mi do jajecznicy trucizny nasypała, cholera jasna, musiałem lecieć do pogotowia! Co pan na to, kiedy ja pana uczyłem!?

— Akurat ja czekałem, aż mnie pan nauczy. Mówisz pan, że moja matka pana otruła, więc po diabła pan tu stoisz, wont do prosektorium!

— Okazało się to nieprawdą, oszukała mnie! Ale gdyby! Jakbyś pan się później tłumaczył!?

— Panie Józefie, idź pan na zbity łeb i nie nudź mnie. Matka z pana idiotę robiła niepotrzebnie, bo pan i tak nim już jesteś. Filip z konopi, psiakrew!

Jak zwykle, student okazał mało charakteru i stropił się nieco. Gniew jego minął, począł bąkać coś pod nosem, wreszcie posłał sobie łóżko i zaczął się powoli rozbierać. Bednarczyk przeszukiwał etażerkę, wyciągał jakieś książki, układał je. Student mu się przyglądał kilka minut i w końcu rzekł:

— A wie pan co, pan ostatnio bardzo kiepsko wygląda.

— Naprawdę?

— Słowo daję! Sczerniał pan tak jakoś, wychudł!

— To może te moje płuca się odezwały, przebywa się w jednym pokoju z suchotnikiem. Muszę zobaczyć, może i oczy mi błyszczą.

Podszedł do lustra i jął się sobie przyglądać. Naciskał palcami skórę na twarzy, rozszerzał oczy, w końcu powiedział ciężko:

— A wie pan, że rzeczywiście. Musiałem zapaść na płuca. Nie mam już nic do roboty na tym świecie. Nic mnie nie uratuje, jestem chory na nerwy, teraz znowuż na płuca, egzaminu nie zdałem, uczyć się nie mogę. Zmarnowałem się.

— Tak, wątpię, czy się pan z tego wszystkiego wykaraska! — I student począł patrzeć na Bednarczyka jak na przedmiot, sykał przy tym i przepuszczał przez zęby powietrze.

A tamten w niemej boleści oparł się ramionami o stół, otworzył usta i patrzał bezmyślnie na przeciwległą ścianę. W pokoju było zupełnie cicho. Wszyscy się jakoś wcześnie spać pokładli, tylko Lucjan i Zygmunt szeptali w alkowie. Bednarczyk też się rozebrał, wlazł do łóżka, po kilkunastu minutach wyszedł jeszcze, podszedł do studenta, nachylił mu się do ucha i powiedział:

— I wiesz pan, że ja długo nie pociągnę? — Po czym wrócił do łóżka.

Student ziewnął, powiedział: „Nikt nie jest pewien dnia ani godziny", odwrócił się do ściany i usnął momentalnie.

— I jedyna rzecz, to tylko wyjechać za granicę, tutaj nic się nie zrobi, nie ma żadnego pędu, mówię ci, trzeba opuścić okręt, póki jeszcze nie utonął! — powiedział to Zygmunt, rozwiązując krawat.

— Tonący okręt szczury opuszczają — odrzekł Lucjan.

— Nie tylko, nie tylko, ludzie też, wsiadają do łodzi i jadą do brzegu!

— Nie wszyscy dojeżdżają. Zresztą nie mnie o tym myśleć, ja już kończę swą podróż, mój drogi.

Zygmunt zgasił światło i poszedł spać. W ciemności Lucjan rozważał jego słowa. Istotnie, podle się działo ze sztuką w kraju, ale przecież trzeba to jakoś ratować, a nie

uciekać, gdzie pieprz rośnie. Poza tym, nie każdy może być Conradem, i tak źle, i tak niedobrze. A jego, Lucjana, czy to w ogóle może cośkolwiek obchodzić? Czuł przecież, że już niedługo przeniesie się do miejsca, gdzie nie ma literatury, młodych, ginących w nędzy poetów, oraz całego tego śmietnika zawiści, obłudy i miernych możliwości.

Leżał na wznak. Teraz dopiero prawdziwie odpoczywał. Było cicho, ciemno, nic się nie widziało, nikt mu nie przeszkadzał. Wprawdzie usnąć nie mógł, ale też i nie chciał, teraz mógł marzyć do nieskończoności, aż znużenie przerwie pracę wyobraźni.

Cisza była absolutna, nawet zegar, ten jedyny głos w nocy, był martwy. Czas mijał wolno, nic się nie zmieniało. Daleko tylko, za oknami, zaturkotało auto przy wjeździe na „kocie łby". Sygnał zabrzmiał, jak stuk obcasików biegnącej kobiety zapewnie, potoczył się po trotuarze. Ale tutaj, w pokoju, właśnie przerwały ciszę czyjeś wzdychania, coś skrzypiało, jak gdyby ciało ugniatało sprężyny. Przy tym wzmagało się sapanie ludzkiego oddechu.

— Psiakrew, tyle o tym było gadania, a ten swoje robi, nie może się wstrzymać — pomyślał Lucjan. Natychmiast jednak przypomniał sobie pewien poranek i wstrząsnął się od wstydu i wstrętu. Nakrył uszy kołdrą, aby nie słyszeć wyraźnych już jęków Bednarczyka.

Bardzo późno wrócił Dziadzia. Zwierzał się jeszcze Lucjanowi ze swych zamierzeń, właśnie niedawno pożegnał się ze swą narzeczoną.

— Bądź dobrej myśli, Lucjanie, wyliżesz się i jeszcze będziesz huśtał na nogach moje dzieci.

Rozdział XI

— Mówię panu, że jest krzywy.

— Nigdy! Orli może, ale nigdy krzywy!

— Pan zawsze musi się sprzeczać. Skieruj pan twarz prosto w lustro, zobaczysz pan lekkie odchylenie w stronę lewego policzka. No, czy kłamię?

Trudno jest zorientować się, która godzina, w każdym bądź razie jest bardzo wcześnie. Lucjan odjął głowę od poduszki i spojrzał w głąb pokoju. Na tle szyb okiennych majaczyły sylwetki dwóch studentów. Na pół ubrani stali obok siebie i przyciszonym głosem rozmawiali. Bednarczyk trzymał przed sobą lustro i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w nie, Józef trwał w pozie wyczekującej.

— Psiakrew, ma pan rację, rzeczywiście, jest trochę krzywy, ale ciut... ciut!

— Kiedy, panie Bednarczyk, ja musiałem mieć rację, przecież ja mam oko wyrobione na tych kreśleniach. Ciągle, uważa pan, kreślę, i dla siebie i dla kolegów. Krzywy jest i kwita, wola boska.

Bednarczyk z westchnieniem postawił lustro na komodzie, po czym usiadł na kanapie i jął wdziewać buty. Postękiwał i patrzał w zamglony poranek za oknami. Wreszcie zapytał:

— Panie Józefie, co byś pan zrobił na moim miejscu?

— Jak to? O czym pan mówi?

— No, gdyby się panu tak we wszystkim nie wiodło? Gdybyś pan nie zdał egzaminu?

— Niemożliwe, żebym nie zdał egzaminu!

— Ja wiem, ale gdyby tak...

— Za bardzo wiem, czego chcę, żebym miał nie zdać. Ale gdybym miał komuś radzić, co ma robić po niezdaniu... hm, ja wiem. Kiepska sprawa! Niechby za jakieś rzemiosło się uchwycił.

— Co pan wygadujesz! Za rzemiosło, jak się jest dorosłym człowiekiem i tyle pieniędzy poszło na marne? Chyba uczyć się dalej, co?

— Uczyć się? Teraz, kiedyś się pan przekonał, żeś pan do tego niezdolny!? Nigdy, tylko zmienić kierunek!

Bednarczyk stanął przed lustrem, palcem nagiął nos w stronę prawego policzka, westchnął i poszedł się myć.

Lucjan odrobił swój ranny kaszel i teraz leżał na wznak, przysłuchując się odgłosom swego gardła. Dziś była niedziela. Od czasu choroby, Lucjan lubił ten dzień. Wszyscy się kręcili, rozprawiali, mieli wesołe twarze w związku z dniem odpoczynku. Ale teraz spali jeszcze, tylko ci dwaj zerwali się wcześnie. Student zacisnął zęby i obcążkami odrywał spod

obcasa niezdarty kawałek skóry. Praca szła mu opornie, razem ze skórą wyłaziły gwoździe i groziły rozpadnięciem się całego obcasa, podczas gdy chodziło tu o jego wyrównanie. W końcu uporał się z tym jakoś. Chodził teraz bez celu, w kalesonach tylko. Czasem przystawał, unosił głowę do góry i sądząc, że nie jest obserwowany, wył cichutko lub też szeptał coś z samym sobą. Zbliżył się do łóżka i wyciągnął spod siennika na kant ułożone spodnie. Podszedł do okna, pochylił się i coś tam sobie oglądał. Tyłem odwrócony do Lucjana wyglądał jak ledwie trzymający się na nogach tułów, bez rąk i bez głowy. Bednarczyk wybiegł z kuchni obnażony, prężył swe tłuszczem obrosłe ramiona, wypinał pierś, podskakiwał. Podziwiali wzajemnie swe zalety fizyczne. „Tak, masz pan wprawdzie krzywy nos, panie Bednarczyk, natomiast budowa pańska jest świetna". — „Tak, u nas w rodzinie wszyscy tak". W końcu poczęli ubierać się, możliwie czysto i świątecznie.

Z pokoju, w którym spały kobiety, wyszła chłopka i usiadła pod oknem. Na jej twarzy, niby na pomarszczonym woreczku ze skóry, nie widać było śladu snu, mimo, że się na pewno nie myła. Lucjana brała wściekłość i obrzydzenie, kiedy patrzał na nią, byłby chętnie zatłukł ją jakimś drągiem, niby niepotrzebną i szkodliwą, parszywą kotkę. Przesuwała paciorki różańca, a jej złośliwe oczka chytrze się rozglądały wokół. Nie, nie mógł patrzeć na tych dwóch nieszczęsnych durniów i na to podłe, stare stworzenie, ogłupione religią. Odwrócił się do ściany w bezsensownym zamiarze jakiejś zmiany i przymknął oczy. I, — och, zdechnąć już raz!

Na progu stanęła Stukonisowa, ziewając szeroko, i spojrzała na zegar, ale wahadło było nieruchome, więc zaskrzeczała tylko: „majster cholerny", i powlokła się do kuchni. Powoli podnoszono się z łóżek, pod blachą jaśniał ogień i grzała się woda do mycia i na herbatę. Słychać było głosy wielu ludzi. Dziadzia też wstał i chytrze uprzedził Zygmunta, pierwszy posiadłszy miednicę. Ukazująca się raz na tydzień Felicja nie omieszkała zamienić z Lucjanem kilku słów. Znała tysiąc lekarstw na jego dolegliwość, przeróżne psie i kocie szmalce, palony chleb razowy z mlekiem, zioła o pewnej porze zbierane, ale cóż, kiedy nie chciał słuchać. Wolał wypytywać o jej życie tam w wędliniarni, o jej pracę zaczynającą się tak wcześnie, a kończącą nie wiadomo kiedy. Ale wytłumaczyła mu, że kończy zajęcie wcześnie, o siódmej wieczorem, ma przecież swoje rozrywki, pewien mężczyzna, wojskowy, interesuje się nią. Przy każdej takiej rozmowie wyrażała mu swoje współczucie. Ona sama miała chłopca, który jej umarł na coś podobnego, gdzieś u Austriaków, w jakimś Zakopanem. Potem wyciągnęła swoją suknię świąteczną z szafy, powiedziała mu, że na przyszły tydzień będzie zdrów jak ryba i wróciła do swego pokoju, aby zniknąć na cały dzień. Była to dobra i wesoła dziewczyna, której całe życie wypełniała praca. Dla Lucjana te kilka minut rozmowy było prawdziwą przyjemnością.

Stukonisowa wybierała się na odwiedziny Miećka w więzieniu. Szykowała jakieś drobiazgi, trochę jedzenia, bieliznę. Kręciła się, zaglądała wszędzie.

— Którego to dziś mamy, panie Józefie?

— Dwudziesty czwarty.

— E, gdzie tam dwudziesty czwarty, trzeci chyba?

— Niech będzie dwudziesty trzeci.

— Panie Bednarczyk, może pan wie, który dziś jest?

— Dwudziesty trzeci, czy któryś!

— Czort z wami! Nikt nie wie, który dziś dzień!

Bednarczyk ponuro zapatrzył się w podłogę.

— Nie, nikt nie wie — powiedział. — Gdyby Mieciek był, to może by wiedział.

Ale Zygmunt ryknął z kuchni, pryskając wodą:

— O, Boże! Co za chamstwo ostateczne! Dwudziesty szósty, niedziela! I taki chce zdawać egzaminy z prawa, gdzie wszystko opiera się na kalendarzu!

Stukonisowa westchnęła:

— Mój Boże, to jeszcze cztery dni do pierwszego, jak to człowiek wyżyje! Panie Krabczyński, miał mi pan te pięć złotych oddać?

Dziadzia odpowiedział z głębin alkowy:

— Ach, droga pani, właśnie mam dzisiaj większą kwotę podjąć za czekiem. — Wie pani, czek muszę zrealizować.

— Jakże pan zrealizujesz czek, skoro wszystko pozamykane? — zanucił student.

— Istotnie, cóż za pech, przekleństwo, na śmierć zapomniałem! Wobec tego jutro, jutro na pewno.

Stukonisowa powiedziała coś w rodzaju: „jutro będzie futro", po czym zdjęła zegar ze ściany i jęła nim potrząsać, niby znachorka umarłem dzieckiem. W związku z tymi oględzinami, student skierował się ku wyjściu, ale akurat myła się Felicja, wobec czego zagłębił się w książce, świata poza nią nie widząc.

Dziadzia był gotów do wyjścia, właśnie czekał na usunięcie się Felicji. Korzystając z wolnej chwili, opowiedział Lucjanowi, jak to spędzi dzień dzisiejszy. Przede wszystkim wstąpi do kościoła, ach, Boże! Przesąd to, to prawda, jednak jest ktoś, kto tego od niego żąda, przy tym te parę chwil w przybytku, gdzie odbywają się dostojne misteria, w atmosferze kadzideł i pokory ludzkiej, te parę chwil tam spędzonych nakłaniają umysł do poetyckich rozmyślań, człowiek staje się szlachetniejszym. Następnie mam zamiar...

— To kolega traktuje sobie kościół jak dom rozrywkowy, a? — powiedział Zygmunt.

— ...Nie mów głupstw! Następnie mam zamiar... ale ona właśnie wyszła z kuchni, muszę iść, po obiedzie wpadnę na godzinkę!

Najgłówniejszy punkt został zwolniony. Teraz zapanował tam wielki ruch: czyszczono sobie obuwie, odwiedzano ustęp, smażono coś, nalewano herbatę. Stukonisowa nic nie wskórała z zegarem, poszła więc do kuchni i smażyła jakieś placuszki dla Miećka. Teodozja biegła na dół, do sklepiku „od tyłu" po mleko dla Lucjana. Bednarczyk czyścił plamy na spodniach, prowadził przy tym subtelny dialog z Felicją, na temat czystości.

— Wolałbym nie dojeść, byleby mydła mieć zawsze pod dostatkiem. Taki już jestem, panno Felu.

— Po co zaraz nie dojadać, przecież mydło jest tanie.

— No, tak się mówi. Nie ma tygodnia, żebym nie umył nóg, na przykład. Dla drugich to fraszka, a dla mnie konieczność.

— Tak, jak chłop brudny, to nie ma nic gorszego.

Zygmunt wtrącił się do rozmowy:

— Wy za to jesteście czyściutkie, psiakrew, wyrzygać się nieraz można. Zawsze myjecie się tam, gdzie nie trzeba. Gębusia i paluszki, a dalej, to można by wysyłać was na front, zamiast gazów, maski by potrzaskały.

— No, niech pan już nie opowiada, widać z takimi tylko miał pan do czynienia. Szanująca się kobieta raz na tydzień umywa się wszędzie.

— Tydzień wystarczy — w sam raz.

— Będziecie świństwa gadać, to was tu zaraz przetrzebię — krzyknęła Stukonisowa.

Temat urwał się. Ktoś zapukał do drzwi. Stukonisowa otworzyła, weszła Teodozja.

— Po kiego diabła pani puka, człowiek myśli, że minister jaki. Zawsze się zdenerwuję tym pukaniem.

Z wolna poczęto się rozchodzić: do kościoła, na spacer. Stukonisowa z paczką pod pachą, poszła do więzienia. W pokoju zostali tylko: Zygmunt, Bednarczyk i Lucjan. Pierwszy chodził z posępną miną. Nie dalej, jak wczoraj, dostał wezwanie do wojska. Za osiem dni miał wyruszyć. Nie było to nic strasznego, przynajmniej jakaś zmiana w jałowiźnie ostatnich tygodni. Niemniej jednak zaczynała się zima, pacyfistyczne zaś przekonania Zygmunta zupełnie nie przyczyniały się do radosnych uniesień. Był więc znudzony i zgorzkniały. Lucjan, o, z tym było już doprawdy bardzo podle. Leżał oto bez sił, charcząc bez przerwy, w straszliwej udręce temperatury. Głowa jego była niby pusty gliniany garnek, w rozżarzonym piecu. Tłukły się tam myśli jakieś, nieporadne i bez porządku. Wyobraźnia stawiała mu przed oczy wizje uporczywe i koszmarne. Przewracał się z boku na bek, w nadziei uzyskania wygodnej pozycji, ale wysiłki te jeszcze bardziej wycieńczały go.

Bednarczyk z uporem gonił za jedyną, co nie zdążyła ukryć się i zasnąć, muchą. Młody człowiek w ogóle zachowywał się dziwacznie, czym drażnił bardzo Zygmunta. W pewnej chwili potrącił zamyślonego poetę i ściągnął na siebie gromy.

— Coś ty, draniu jeden, zbzikował do reszty!

— Mógłbyś się inaczej wyrażać, andrusie!

— Właśnie, będę ci jeszcze dobierał wyrazy. Uparłeś się i gonisz za tą muchą, jak alfons za dziwką. Usiadłbyś i pomyślał nad swoim losem!

— Mój los jest taki, że się niedługo o nim dowiesz.

— Dużo mnie on obchodzi.

W pokoju czuło się charakterystyczną, niedzielną nudę. Sprzęty stały na swoich miejscach, stół nakryto białym obrusem. Kurze pościerano. Młodzi ludzie patrzyli na siebie bezmyślnie, nie wiedząc o czym mówić. W końcu Bednarczyk znalazł sobie zajęcie, mianowicie usiadł na kanapie, postawił przed sobą na stole lustro i począł wyciskać wągry z twarzy. Zygmunt bawił się dwuzłotówką; turlał ją po biurku, aż mu gdzieś upadła na podłogę. Wlazł pod biurko i w ciemności jął szukać monety. Sterczał tam na czworakach, aż wreszcie zniecierpliwiony Bednarczyk zapytał:

— No, znalazłeś?

— Nie, gdzieś się cholera jedna zapodziała!

Zapanowała cisza, Zygmunt począł trzaskać zapałkami, ciągle bez skutku. Bednarczyk zawołał:

— Wyłaźże, dokąd tam będziesz siedział?!

Spod biurka dobiegł go grobowy głos Zygmunta:

— Jeden tak wlazł, tylko że nie pod biurko, a pod łóżko, to siedział dwa tygodnie.

— Niepodobna, co też ty opowiadasz!

— Ano, już tak być musiało, siedział i kwita!

— Pluń na te dwa złote i wyłaź już spod tego draństwa.

— Akurat! Ty mi je może dasz!

— Dać nie dam, ale wyłaź! Wpadły pewnie w jaką szparę, po diabła będziesz tam sterczał!

Po bezowocnych poszukiwaniach, Zygmunt stanął wreszcie na dwóch nogach. Zrezygnowany oparł się o ścianę, ale w tej chwili zobaczył swoje dwa złote pod oknem, nago świecące się na podłodze.

— Psiakrew! Znalazłem się w magicznym kręgu perfidii rzeczy martwych. Tam się męczyłem, a one tu sobie leżą jak byk. Całe życie człowieka, to jedna wielka machlojka.

Bednarczyk dorzucił, wyciskając wspaniały korek żółtego tłuszczu z brody:

— Mnie raz zginęła szczoteczka do zębów, przewróciłem do góry nogami całe mieszkanie, nie znalazłem, wreszcie, wiesz, gdzie była? W szklance, tam, gdzie zawsze, tylko ja myślałem, że to cudza szczoteczka i dlatego nie brałem jej pod uwagę.

— No, to już nie jest perfidia rzeczy martwych, tylko ty, braciszku, jesteś fujara.

Znowu im się urwało, nie mieli o czym mówić. Zygmunt palił papierosa, oglądając go na wszystkie strony. Bednarczyk wykrztusił nosowym głosem:

— Ciekaw jestem, czy takie wągry to coś żywego, czy nie?

— Mają pewnie swoje odrębne życie. My jesteśmy takimi wągrami, powtykanymi w okrągłą gębę ziemi.

— Psiakość, takie świństwo i żyje, hę!

Lucjan poczuł się lepiej. Od pewnego czasu miewał te gwałtowne przejścia ze stanu zupełnej niemocy do lekkiej poprawy. Obrócił się i patrzał płonącymi oczami na pokój. Widział Zygmunta podrzucającego i łapiącego w powietrzu swoją dwuzłotówkę oraz Bednarczyka manewrującego palcami koło twarzy.

— Zygmunt, schowaj te pieniądze, bo znowuż zgubisz!

— Masz rację! — Wsadził pieniądz do kieszeni i podszedł do Lucjana.

— Co, lepiej ci trochę?

— Tak, gorączka się zmniejszyła. Czy tylko wy jesteście w domu?

— Aha. Porozłazili się. Matka poszła do Miećka, ciekaw jestem, jak długo ten smarkacz będzie siedział.

— Pewnie niedługo, młody jest, to go zwolnią.

Zygmunt przeciągnął się i wyrzekł ze smętkiem:

— I powiedz tylko, jak życie nędznie się wlecze. Nic ciekawego, żadnej perspektywy, sama pustka i jałowizna. Pomyśl tylko, za parę dni idę do wojska. Jeśli była jaka nadzieja, że dojdę do równowagi, to teraz wszystko w łeb wzięło. Co ja tam będę robił? Zgłupieję do reszty. Żebym miał chociaż cień zainteresowania, ale przeciwnie, mam nienawiść do całego militaryzmu. Słowo ci daję, że pasja mnie na to wszystko porywa.

— Mój drogi, co ja bym dał, żeby móc pójść do wojska, żeby mieć tylko możność i siły do dźwigania karabinu. Wiesz, że miałem twoje przekonania, ale teraz ucałowałbym

koniec kapralskiego buta, byleby tylko mieć prawo gonić po polach, pod jego bezsensownymi rozkazami. A zresztą, diabli wiedzą! Może lepiej będzie skonać, niż tłamsić się na tym podłym świecie.

— To, coś ostatnio powiedział, to ostateczność, ponieważ wiesz, że z chwilą, kiedy byś mógł służyć w wojsku, musiałbyś być zdrów. Przemówiło przez ciebie pragnienie życia. Ale ja się nie godzę z tym, coś na ostatku powiedział. Dla nas nie ma miejsca tutaj, jesteśmy za słabi. Nie mamy pożądań materialnych, jesteśmy romantykami. Tylko ten, kto chce i potrafi uczepić się maszyny, może żyć w dzisiejszych czasach. Gdzież jest, u diabła, duch i uczucie!

— Myślę, że tobie to nawet wojsko dobrze zrobi. Po prostu przełamią cię tam, nauczą systemu w życiu. Jasnym jest, że gdybyśmy mieli jakiś regulator swych myśli, ja wiem: pracę, obowiązki jakieś, nie byłoby mowy o jakiejkolwiek neurastenii. Przypomnij sobie swoją posadę u wojewody. Gwizdałeś na wiersze, byłeś pełen energii i chęci do życia. A teraz z powrotem wpadłeś w to błędne koło nieobowiązkowości i stąd te ponure myśli. Dzisiejszy poeta może istnieć z chwilą, kiedy pojmie sens teraźniejszości i potrafi mówić o tym, czego wiek od niego wymaga. Mówiłem to już niejednokrotnie. No, ale jeśli się nie jest w stanie do tego przystosować, trzeba ginąć. Kto wie, czy los mnie w porę nie usuwa od wymagań współczesnej kultury. Zmarniałbym ze swoim sentymentalizmem, ze swoją skłonnością do zachwytów nad gałązką brzozy poruszającą się na wietrze. Idź do wojska, przełam dziedziczność swoich Słowackich i Szymonowiczów. Przecież masz zdrowie, idź!

— Mówisz tak, boś daleki od tego wszystkiego. Co do mnie, grubo zastanawiam się nad tym, co mi przyszłość dać może.

Odszedł od łóżka w jakichś niemrawych podskokach. W porywie raptownej wesołości, począł się z Bednarczykiem siłować na rękę.

W południe wróciła Stukonisowa. Miała zapłakane oczy. Opowiadała, jak schudł i spokorniał. Obiecywał, że jak go tylko wypuszczą, zaraz weźmie się do nauki i już nigdy nie będzie należał do żadnych partii. Wywietrzał mu zupełnie z głowy ten komunizm przeklęty.

— To znaczy, że jest skończona kanalia — powiedział Zygmunt

— Ty wałkoniu głupi, dlaczego? Że mu do rozumu przemówili, to ty go będziesz wyzywał!

— Naturalnie, że jest kawał drania! Jak mu kilka dni paki całą ideologię w diabły przetrzebiło, to czego można się po nim spodziewać, co to za charakter! Zawsze byłem przeciwny jego przekonaniom, ale szanowałem je, tymczasem okazuje się, że to wszystko nie było funta kłaków warte. Wyrośnie z niego kretyn i swołocz! Taka będzie pociecha z synalka!

— Z ciebie za to będzie! Pomyleniec i nierób! Wierszyki ci jakieś we łbie, a do jakiejś roboty, gdziebyś mógł zarobić i pomóc matce, to cię nie ma. Myślisz, że tak całe życie będziesz miał głupią matkę, co będzie na ciebie harowała! Tamten chociaż chce w życiu czymś zostać, aspiracje ma jakieś!

— Oj, cicho, cicho! Matka mówi po polsku tak okropnie, że mi uszy więdną. Dość już, dość!

— Jużem ja mówiła, jak cię jeszcze na tym świecie nie było, ty byku głupi! Ciekawam, za czyjeś pieniądze taki wyszkolony, jak nie za moje!

Podeszła do szafy, aby zawiesić palto na ramiączku. Widząc, że Lucjan patrzy na nią, zaczęła opowiadać.

— Ale lepiej ma tam niż jaki złodziej, szanowany jest. I spacerów ma więcej, i życie lepsze. Papierosy mu palić wolno, ale że nie pali. Książki też mu do czytania dają. Niedługo będzie sprawa i wypuszczą go pewnie. Jak pan myśli, będzie to uprawiał jeszcze, czy nie?

— Myślę, że nie, skoro to pani obiecywał.

— A tak, mówił przecież, słyszałam jak teraz pana słyszę, myśli pan, że on scygani, nie! Może panu czego potrzeba, pomarańczę jakąś albo co? Niech się pan nie wstydzi, jak pan będzie zdrów, to dopiero będziemy się liczyć. Wiadomo, człowiek chory, do niczego niezdatny.

Odpowiedział, że wszystkiego ma pod dostatkiem. Niech mu tylko coś do picia przygotuje.

— I tak nie wiem, jak się pani odwdzięczyć za to, że mnie pani tu trzyma bez grosza, w dodatku kłopot tylko ma pani ze mną.

Mruknęła coś na uspokojenie i poszła do kuchni. Wkrótce zeszli się wszyscy, znów gwarno było jak z samego rana. Zjedzono obiad, po czym wszyscy prawie rozeszli się, aby wykorzystać niedzielny dzień. Na kanapie leżał Bednarczyk, ponuro zapatrzony w sufit, Felicja w drugim pokoju czytała książkę. Pod oknem sterczała chłopka. Niedzielne, senne popołudnie. Z podwórka dobiegały okrzyki bawiących się dzieci. Pies jakiś szczekał. Za oknami szaro było i smutno. Na łóżko Lucjana wskoczył kotek, burcząc jak nakręcona maszynka. Ciepłe, puszyste zwierzę łaziło po ciele chorego, szukając sobie wygodnego miejsca. Wreszcie usadowił się gdzieś pod pachą, niby delikatny, włochaty kłębek. Lucjan głaszcze go w zamyśleniu. Dlaczego nie mógł wstać teraz i pójść między ciche, świąteczne ulice. Kolejno wspominał wszystkie znane dzielnice miasta. Na Nowym Świecie spacerowali teraz zadowoleni, odświętnie odziani ludzie. Szli wolno, nie śpiesząc się, zapewne z wizytą do krewnych lub znajomych. Po drodze wstępowali do cukierni, aby kupić trochę ciastek. W oszklonych wystawach kawiarnianych siedzieli samotni mężczyźni, przeglądali pisma, lub też patrzyli się na przechodniów w bezmyślnym zainteresowaniu. Tramwaje wolno sunęły po szynach, we wnętrzu siedziało po kilka osób, smutnych ludzi, którym nie chciało się iść. W alejach spacerowały parki z utęsknieniem oczekujące mroku. I dlaczego zadaje sobie tak głupie pytanie? Proste, jest chory i nie może tego wszystkiego zobaczyć. Tak, dawniej mijał to wszystko niepostrzeżenie, ale teraz przed oczami jego przewijały się fragmenty miasta i łączyły się z resztą wspomnień o życiu, co przeszło tak szybko, o nadziejach i zdrowiu. Teraz mógł patrzeć na sufit lub obserwować ludzi obok siebie, którzy mimo zdrowia tak nędznie żyli.

Bednarczyk podniósł się z kanapy i ociężale poszedł do drugiego pokoju. Lucjan słyszał, jak cichym szeptem prowadził rozmowę z Felicją. Pod oknem drzemała chłopka z rękami złożonymi na kolanach. W ciszę wdarł się dzwon kościelny z żałobnym jękiem. Chowają kogoś — pomyślał — i wyciągnął zgrzaną nogę spod kołdry. Pocił się ciągle i jego niekąpane ciało wydzielało przykry zapach. Uczucie gnicia na zewnątrz i wewnątrz przejęło go wstrętem. „Tak marnie ze mną jest, że nawet nie mam sił, aby się umyć! Może zawiadomić ciotkę, przecież niepodobna, abym miał skonać wśród obcych ludzi". Ale zaraz zniechęcenie go ogarnęło i począł myśleć o czym innym. „Dlaczego mnie to tak raptownie schwyciło, prawda, parę lat przedtem chorowałem, ale żeby tak z miejsca położyć się i już nie wstać, to straszne! I czy w ogóle warto się ratować, wołać jakichś doktorów, nie mam zresztą na to pieniędzy. Są jakieś instytucje, ratują tych gruźlików, ale, idioto, czyż nie czujesz, że ci w tych piersiach pałęta się jakiś strzęp płuc? Przecież plujesz ciągle, więc niby co? Charknij raz tylko, a zobaczysz na chusteczce wyraźny, żywy kawałek płuca razem z niteczkami krwi. To się, o ile pamiętam, nazywa gruźlicą rozpadową! Pozarażam jeszcze tych wszystkich bałwanów, co się rwą do życia, ale czyż mogę na to coś poradzić! Przecież lepiej byłoby mi zdychać w miejscu, gdzie nie ma tej śmierdzącej nędzy i tego wychodka, co mi ciągle cuchnie pod samym nosem! Śmierć! He... bzdura! Chodźże tu, kostucho, chodź! Czekam cię, byle prędzej! Już mam dość tego gnicia, proszę".

W drugim pokoju zabrzmiało kilka gwałtownych słów, potem trzasnęło łóżko, rozległ się przytłumiony chichot kobiecy, oraz drżący głos Bednarczyka. Chwilę trwała cisza, ale zaraz słychać było sapanie w równych odstępach, zmieszane z cichym zgrzytem materaca.

Parzą się! Ci przynajmniej mają zajęcie, Skąd on bierze do tego siły, po nocnym współżyciu z ręką. Psiakrew! Mogliby to robić ciszej, jeszcze stara wiedźma się obudzi i będzie nowa awantura. Lucjan ściągnął z siebie zupełnie kołdrę i wyciągnął nogi, zastanowiła go ich nadmierna chudość. Z pary krzepkich ud młodego mężczyzny zrobiły się jakieś tyczki z wystającymi kościami u kolan. Ładna historia! I wszystko to w przeciągu kilkunastu dni. Po raz pierwszy począł siebie oglądać i to ogromne wychudzenie przejęło go pogardą dla samego siebie. Po żebrach mógł przesuwać palcem jak patykiem po prętach. Błogie uczucie chłodu ogarnęło go i leżał tak, prawie nago, na swym łóżku, niby dziwaczny pasażer lada chwila oczekujący swego pociągu, co go ma uwieźć w nieznane. Wiedział, że są to ostatnie oględziny tego nieszczęsnego ciała. Przeniknęła go świadomość końca, uczuwał spokój i jakąś niesłychaną jasność umysłu. Gdyby nie trudność oddychania, myślałby, że

jest zupełnie zdrów, tylko bardzo osłabiony. Nic go w tej chwili nie lękało, pragnął tylko jak najdłużej znajdować się w tym stanie.

Do kuchni wszedł Bednarczyk i stanął przed zlewem. Odkręcił kran i mył ręce czy też coś innego. Potem stanął na progu alkowy, z błyszczącą i zaczerwienioną twarzą, z kosmykiem włosów, przylepionym do czoła i powiedział, głupawo się uśmiechając:

— Pan spał?

— Nie, wcale nie spałem i słyszałem, jakżeście się tam rżnęli. Mógłbyś pan trochę zwrócić uwagę na mój spokój.

— Co też pan mówi! Nic podobnego. — Mówił to głośno, ale jednocześnie mrugał do Lucjana porozumiewawczo.

Potem twarz jego nagle zmieniła wyraz, zrobiła się ponura i złośliwa.

— Zazdrość panu, co — powiedział, odchodząc do pokoju.

Uwalił się na kanapę i na twarz jego wypełzła rozpacz, nurtujących go, straszliwych zapewne myśli. Mrok osnuwał jego postać i zdawał się ją zatracać. Lucjan przymknął oczy i pogrążył się w czystej kontemplacji. Miał wrażenie rozkołysania i lekkości. Jak z dalekiej odległości, dobiegały doń szmery z ustępu, szelest spódnicy Felicji, trzask drzwiami, potem jej kroki, melodia jakaś i znowu trzask drzwi, ale tym razem schodowych. Popadł teraz w zupełną drzemkę, spowodowaną absolutną ciszą. Trwało to dosyć długo. Jeszcze przez zasłonę omroczenia słyszał czyjeś cichutkie kroki, trzask podłogi, głębokie westchnienie. Ale nie zdawał sobie sprawy, gdzie się to wszystko dzieje. Cisza. Nagle obudziło go czyjeś rzężenie, głuchy łomot, jakby ktoś butami kopał w deskę. Otworzył oczy i na razie nie mógł sobie zdać sprawy, co się dzieje. Wyraźnie słyszał, że w pobliżu ktoś charczał i walił nogami o drzewo. Ale gdzie!? Usiadł na łóżku, było prawie ciemno. Teraz wiedział, gdzie. W ustępie działo się coś niesamowitego. Zebrał resztki sił na zwleczenie się z łóżka i potoczył się jak pijany do kuchni. Przekręcił kontakt. Drzwi ustępu trzęsły się pod uderzeniami nóg. Szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Począł krzyczeć:

— Kto tam jest, co się dzieje! Otworzyć, co tam się dzieje!!

Uderzenia słabły coraz bardziej. Na progu ukazała się groźna i złowieszcza postać chłopki. Jej czarne oczka biegały między powiekami jak dwa oszalałe zwierzątka.

— Władek, mój syn Władek, kaj się podział?

Lucjan usunął się z wycieńczenia na kuferek. Jasnym było, że wewnątrz ustępu znajdował się Bednarczyk. Działo się tam pewnie coś okropnego. Lucjan krzyknął do chłopki, by zbiegła na dół do stróżki. Posłuchała go i po chwili trzy staruszki ukazały się ze złożonymi rękoma, niby wystraszone sowy. Poczęły szarpać klamkę i bębnić pomarszczonymi rękoma. W pewnej chwili jedna ze stróżek, owa wesoła staruszka, schwyciła z kąta siekierę i kilkunastoma uderzeniami rozbiła słabą zasuwkę. Wewnątrz, na pasku przymocowanym do rezerwuaru z wodą, wisiał Bednarczyk. Lewa noga tkwiła w sedesie, prawa drgała, wolno zwisając w powietrzu. Spomiędzy ust i ociekającego śliną języka wydobywał się słaby charkot. Kobiety przecięły pasek i zwlokły ciało na podłogę. Jedna wybiegła na ulicę poprosić, aby ktokolwiek zatelefonował do pogotowia. Bednarczyk żył jeszcze, ale Lucjan wyczuwał intuicyjnie, że tu już wszystko się kończy. Siedział w kącie i trząsł się, i słaniał tułowiem.

— Idź pan do łóżka, bo się pan przeziębi! — zawołała stróżka. Roześmiał się na cały głos i chwycił rękę Bednarczyka. Czuł, jak wszelkie ciepło z niej uciekało. Umierający przestał charczeć i tylko w wybałuszonych oczach tliło uchodzące życie. Kobiety stały nad nim pochylone, z rękoma opartymi o kolana. Chłopka wpatrywała się w ciało syna, bełkocąc coś, jak niemowa. W końcu przyjechał lekarz pogotowia, młody, przystojny mężczyzna, ubrany jak dandys. Przykląkł na jedno kolano i rozpiął kamizelkę oraz koszulę umierającego. Chwilę trzymał rękę na sercu, pomacał koło grdyki i powiedział mocnym, energicznym głosem:

— Tu już się nie da nic zrobić, on umarł.

Dwóch ludzi z noszami stało za lekarzem. Wprawnym ruchem chwycili zwłoki i ułożyli je na noszach. Na schodach rozstąpiło się przed nimi kilku zagapionych Żydków. Wyszedł i lekarz. Lucjan wrócił do łóżka. Miał wrażenie, jak gdyby był na jakimś koszmarnym przedstawieniu, gdzie bohater doskonale odegrał swoją rolę. Tak się to wszystko szybko stało; był Bednarczyk i nie ma Bednarczyka! Któż by się tego spodziewał po tym

upartym i ambitnym młodzieńcu. Ha, dobrze, że ja się nie będę potrzebował uciekać do tej ostateczności. Ale że się zamknął tam, co za obrzydliwa premedytacja zamknąć się w takim miejscu, sam na sam z paskiem. To nie jest takie proste, do tego trzeba charakteru.

W pokoju, przed obrazem Matki Boskiej, klęczała chłopka. Obok niej stały dwie stróżki i rozprawiały po cichu.

— Nie wymodli nic za niego. Kto się porwał na swoje życie, temu Bóg nie przepuści.

— Widać mu dojadło. Pewnie nieczyste miał sumienie.

— A może i czyste, tylko złe go opętało — powiedziała wesoła staruszka.

— W kostnicy już musi być. Krajać go będą.

— Aha, dla nauczenia.

Poględziły jeszcze trochę i wyszły cicho. Lucjanowi niesamowicie zrobiło się, kiedy pozostał sam z chłopką. Modliła się żarliwie, z głową opuszczoną na piersi. Znów było cicho, czasem trzasnął jakiś mebel. Czas wlókł się opieszale, przygnębiająco. Zazgrzytał klucz w zamku. Wróciła Stukonisowa. Weszła do pokoju i zaraz zajęczała:

— I po co to światło palić, kiedy prawie nikogo nie ma w domu. Modlić się można i po ciemku.

Zawiesiła palto w szafie, pokręciła się tu i ówdzie, wreszcie usiadła na kanapie i bezradnie złożyła ręce na podołek. Przechyliła głowę i zmęczonym wzrokiem patrzała na klęczącą chłopkę. W pewnej chwili szepnęła żałośnie:

— Niedziela i już po święcie, a jutro znów urabiaj sobie ręce. — Potem kiwała głową, zapatrzona w kąt pokoju.

Lucjan uniósł głowę.

— To pani nic nie wie? — zapytał.

Ocknięta z odrętwienia, popatrzyła na niego oszołomiona.

— Co mam wiedzieć?

— Że Bednarczyk nie żyje.

— Co?

— Bednarczyk odebrał sobie życie.

Zerwała się i szybko podeszła do niego.

— Co pan wygaduje! Na mózg panu padło?!

— Mówię jak jest. Powiesił się przed godziną w ustępie. Już go zabrali. Myślałem, że panią już na dole uwiadomiły stróżki. Przykra rzecz.

Bez słowa zbliżyła się do chłopki i pochylona popatrzyła w jej twarz. Poszła do kuchni i zajrzała do ustępu. Potem wróciła do Lucjana i rzekła tępym głosem:

— A wie pan, dlaczego on to zrobił?

— Domyślam się, że z powodu tego egzaminu.

— Widzi pan, nie mógł znieść, że nie będzie wielkim panem. I na co mu przyszło. Moje dziecko by tego nie zrobiło.

Dodała jeszcze, zupełnie uspokojona:

— Człowiek ma szczęście, drugi już umiera. Patrzałam na to wszystko i już dawno czułam, że się coś złego święci w moim domu. Jak mi to pan powiedział, to aż mnie zatknęło, ale teraz myślę sobie, że co komu przeznaczone, to go nie minie. Ciekawam, kiedy ta starucha się stąd wyniesie?

Ożywiła się nagle i poszła do kuchni, aby rozpalić ogień. Zawołała jeszcze:

— Pewnie policja będzie mnie przez to nachodzić!

— Możliwe — mruknął.

Czuł się dobrze. Nagle cały wypadek wydał mu się czymś normalnym, czymś, czego należało się spodziewać i co już minęło, zatem należało przestać o tym myśleć. Miał swoje sprawy na głowie, wiele różnych myśli, tyczących się jego stanu wewnętrznego. Zapewne cały aparat mózgowy przestanie niedługo funkcjonować, trzeba go więc wykorzystać w celach wzniosłych i ważnych. Jeszcze raz, niby uparty matematyk, począł obliczać wartości i braki tego, co miał opuścić.

Chłopka porwała się nagle z kolan i podreptała do kuchni. Usiadła tam na kuferku i patrzała na krzątającą się Stukonisową. Wreszcie zaskrzeczała jak chora wrona:

— Tyla dobytku i psu na bude.

Odwrócona tyłem, Stukonisowa zapytała:

— O czym pani mówi?

— Ze zaprzepaścił wszytko. Ziemniaki sie bez omasty zarło, byle go w nauce wspomagać, a tu się obwiesił, diable nasienie.

— Tego tylko wam żal?

Powiedziała coś niewyraźnego i znieruchomiała. Stukonisowa wychyliła się z kuchni i palcem pokręciła na czole. Miało to znaczyć, że chłopka niespełna jest rozumu.

Do alkowy wdarł się swąd smażonej słoniny i Lucjan zaniósł się gwałtownym kaszlem, ale przeszło mu to i tylko wytarł załzawione oczy. Rozglądał się po wszystkim, co go otaczało. Sprzęty wydały mu się niesłychanie wyraźne, nigdy tak godne zainteresowania jak teraz. Przyglądał się każdej rzeczy z kolei, starając się podchwycić oryginalność jej kształtu, lub też śmieszność. Gdyby sobie zdawał sprawę z tej obserwacji rzeczy martwych, byłoby mu nieprzyjemnie i biedziłby się, co to ma znaczyć. Ale tak przyglądał się wszystkiemu ciekawie, jak gdyby to było wizją, za chwilę mającą się rozwiać.

Z wolna zeszli się wszyscy, prócz Dziadzi. Wiadomość o śmierci Bednarczyka trochę zdziwiła Zygmunta, podenerwowała studenta i stała się przyczyną straszliwego wybuchu histerii u Felicji. Głośne okrzyki, przerywane wstrząsającym szlochem, zabrzmiały w pokoju, niby fanfary grozy. Teodozja siedziała spokojnie, popłakując cicho, dla formy.

— Czego ona tak wyje, przecież prawie wcale się nie znali? — zagadnął student Zygmunta.

— Wrażliwość kobieca. Przejęła się tym, przecież to może człowiekiem wstrząsnąć. Myślisz pan, że wszystkie mają we łbie takie postronki jak my.

— W tym coś jest — dorzucił student tajemniczo.

— A niech będzie, co chce. To mnie tylko zastanawia, że od jakiegoś czasu wszystko tu idzie na marne. Passa taka, czy przeznaczenie! Diabli wiedzą. Ksiądz by powiedział, że to dlatego, że Boga w domu brak, ale ja sobie myślę, że wszystko wynikło z okoliczności, w jakich ci ludzie się znaleźli. Strasznie tu nędzne życie wiedziemy i nikt nie wie, co nas czeka. Przyczyn tu szukać należałoby w całym szeregu błędów naszych dygnitarzy, popychających kraj ku upadkowi.

Lucjan aż usiadł na łóżku.

— Bój się Boga! Zygmunt, jeszcze nigdy nie słyszałem, abyś tak głupio i bezsensownie plótł. Jacy dygnitarze?! Puknij się w łepetynę, mówisz jak fryzjer podczas golenia. Wszystko, co miało tutaj miejsce, jest zupełnie jasne! Edward umarł z przypadku, równie dobrze mógł wpaść pod tramwaj. Bednarczyk się powiesił, bo miał swoje różne plany, które go zawiodły, przecież my wszystkiego nie wiemy o nim. Mądry on nie był. A ja umieram z nędzy i z gruźlicy. Twój brat jest w więzieniu, bo propaguje idee, godzące w interesy państwa. Po prostu szereg faktów złożył się na to wszystko. Normalne koleje życia.

— To nie jest normalne, to nie jest tak, jak ty mówisz. Ja nie umiem tego w tej chwili określić, ale to nie jest takie proste.

Cała rozmowa wydała się Lucjanowi tak bezsensowna, że go rozbawiła, niby ponura groteska. W drugim pokoju zawodziła kobieta, bardzo żałośliwie i skutecznie wykpiona przez los. A ci wszyscy ludzie, smutni i przejęci wypadkiem! Czyż nie warto by ich wytruć jak szczury? Byli przecież tak głupi i bezużyteczni!

Ciągle komentowano wypadek. Student zawołał przeraźliwym głosem:

— Powiedziałem mu rano, że ma krzywy nos. Może to go przejęło?

Nikt mu nie odpowiedział, począł więc mierzyć wielkimi krokami podłogę. Powiedział jeszcze do Zygmunta:

— Mnie coś takiego nie spotka. Moje żądania od życia są skromne i osiągnę je łatwo.

Ucichł płacz Felicji. Student nalał sobie herbaty i popijał w zadumie, sapiąc po każdym łyku. Zygmunt zbliżył się do matki.

— Wykombinowała mama ten kuferek?

— Jaki kuferek znowu!?

— No, ten, drewniany, co go mam wziąć do wojska.

— Nie zawracaj głowy, jeszcze masz czas!

— Mama to zawsze odkłada wszystko na ostatnią godzinę!

— Idź do cholery, nie denerwuj mnie. W porę mi z tym kuferkiem wyjechał!

— Po Bednarczyku został przecież kuferek, ten, co go miał w wojsku, niech pan odkupi od matki — poradził student.

Zygmunt podszedł do chłopki.

— Sprzeda mi pani kuferek po synu?

— Ilez dacie?

Ale Stukonisowa wtrąciła:

— Winien był za komorne za pół miesiąca. Możesz go wziąć za darmo.

Chłopka zaprotestowała.

— Nic mnie ta nie obchodzi, co wam był winien. Umerł, to wszystko co po nim, to moje. Prawujta sie z nim tera.

— A dajmy spokój, pożyczy mama kuferka od Antosiów!

Kolację zjedzono w milczeniu i z wolna układano się do snu. Przyszedł Dziadzia tak czymś zgryziony, że wiadomość o Bednarczyku nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Powiedział tylko:

— Jedyne wyjście z sytuacji, w jakiej się każdy z nas znajduje.

Rozdział XII

Dzień zaczął się od wyjazdu studenta i chłopki. Pierwszy wyjechał na ów kurs praktyczny, który to wyjazd kilka dni temu był powodem jego wielkiej radości. Chłopka zebrała wszystkie drobiazgi po zmarłym synu, kuferek drewniany. I wyjechała sobie, z nikim się nie żegnając. Tak więc wspólny pokój opróżniał się powoli; Stukonisowa traciła lokatorów, a jeśli można tak potężnie się wyrazić, to właściwie kraj tracił ludzi.

Poniedziałek. Biedny Bednarczyk, jakże szybko o nim zapomniano. Początek tygodnia, dzień pracy. Nie było czasu na rozmyślanie o cudzych szaleństwach. Z samego rana przyszedł policjant, trochę pytał, obejrzał „miejsce wypadku", zapisał coś (Lucjan zauważył, że na żółtym papierze i ogromnie niewyrobionym pismem) i poszedł sobie. Nie wspominano prawie o Bednarczyku, zresztą był to przykry temat, temat niepokojący — w mieszkaniu tym przecież ciągle czaiła się atmosfera śmierci, jeszcze nie wszystko było załatwione, lokatorzy to czuli.

Był to wspaniale pogodny dzień. Jeden z tych dni listopadowych, który w sercach wszystkich, zdeklarowanego nawet neurastenika, budzi zwierzęcą chęć życia, patrzenia na wszystko, co życie daje, chęć posiadania. Masy słońca wypełniły pokój, wspaniale oświetliły go, rozszerzyły jakby. Otworzono okna, Teodozja to zrobiła, zdjęto kwiaty, połączono niejako pokój ze światem, słońcem, powietrzem. Na ulicach wrzało życie, pracowite życie wielu ludzi, którym natura dała po długiej przerwie nieco prawdziwej, wiosennej pogody. Gwar rozlewał się w jedno basowe brzęczenie i wpadał do pokoju niby ćwierkot sejmikujących wróbli. Tylko żywotność miała w tym dniu sens. Tak więc, pamięć o Bednarczyku była tu czymś niestosownym.

I w alkowie było jasno. Śmiało można było czytać. Ale człowiek, który tu leżał, dalekim był od cudzych słów i myśli. Zresztą czytanie jest wysiłkiem, a jego nie stać było na najdrobniejszy nawet wysiłek, ba, uniesienie ręki do góry sprawiało trud i wyczerpywało. Jedna noc pozbawiła Lucjana wszelkich złudzeń co do kontynuacji swego istnienia. Nie spał, pot z jego ciała tak zwilżył pościel, że zaraz rano Teodozja przeniosła bezwładne prawie ciało na drugie łóżko i zasłała świeże płótno. Leżąc teraz w pachnącym czystością łóżku, Lucjan przeżywał rozkosze abnegacji i jasności umysłu, spowodowanej osłabieniem organizmu. W istocie, pogrążony był w absolutnej ascezie, funkcje mięśni, żołądka zanikały, pracował tylko mózg niby precyzyjna maszyna sama dla siebie, nie zużytkowująca sił dla ubocznych celów. Dolegliwości ciała były nikłe, pomijając trudność przesunięcia się z boku na bok oraz ograniczenie swobody przy oddychaniu i łechtanie gardła przez powietrze przedostające się do wnętrza płuc. Dziwił się, że ów zawsze wstrętem go przejmujący bulgot flegmy w gardle, owo rzężenie denerwujące, minęło zupełnie i pozostały cichutkie jakieś poświsty, niby jęk struny, gdy mucha na niej usiądzie. Ach, czuł się wcale dobrze, nic w tym groźnego i niepojętego nie było.

Twarz jego matowa była i blada. Kości policzkowe wyciągnęły skórę i sterczały po obu stronach twarzy, niby dwa pagórki, pod którymi znowuż dwie jamy się usadowiły; były to zapadnięte policzki. Nad czołem pochylały się w fantastycznym rozwichrzeniu włosy,

przypominały miniaturowe wierzby chyląc się żałobnie nad marmurową płytą jakiegoś grobowca. Oczy, dwa szkliste stawy, przymglone tajemnym jakimś urokiem. Właśnie między tymi oczami a błękitnym grzbietem nosa, wibrowały nieuchwytne promienie, kolorowy cień snuł się w oczodołach, coś emanowało z tych oczu i czyniło wrażenie piękna i niesamowitości. Chory leżał na wznak. Nozdrza jego poruszały się lekko przy oddechu. Wychudłe ręce gładziły kołdrę. Temperatura spadła i wskazywała osłabienie.

W takim stanie zastał Lucjana lekarz, ów mały, czarny Żydek, który odwiedził go po krwotoku. Zdjął palto i popatrzył na chorego swymi żywymi oczami. Usiadł na brzegu łóżka, lewą ręką uchwycił puls, prawą oparł o kolano. Na zegarek nie patrzał. Po chwili puścił rękę Lucjana jak niepotrzebny przedmiot. Rozchylił koszulę na piersiach i puknął w nie parę razy palcem, jakby od niechcenia. Jeszcze chwilę patrzył w twarz Lucjana. Odwrócił się, włożył palto i poszedł do kuchni. Teodozja, ona go wezwała, stała oparta o ścianę, przejęta oczekiwaniem tego, co usłyszy.

— Za kilka godzin umrze — powiedział lekarz.

Podała mu banknot. Zamknęła za nim drzwi, potem usiadła w nagłym osłabieniu ma kuferku. Przechyliła głowę i patrzała poprzez otwarte od kuchni drzwi, na twarz Lucjana. Byli sami w mieszkaniu. Z dołu, tam spod kościoła, słychać było znajome, często słyszane tony orkiestry wojskowej. Ale oto męski śpiew zagłuszył orkiestrę, śpiew z bliska, pewnie od tych przeklętych, wiecznie hałasujących kuśnierzy. Teodozja podniosła się, aby zamknąć okna. Rozmyśliła się jednak i usiadła z powrotem. Powiedział kiedyś, że ten Żyd bardzo pięknie śpiewa, pomyślała, że sam głos jest taki śliczny, ale że to, co śpiewa, to marne; zaraz, jak on to nazwał, jakoś tak... a, ajda! Tak, na pewno ajda.

Siedziała tak z pół godziny nieruchomo. Wreszcie wstała i zbliżyła się do łóżka. Ostrożnie usiadła w nogach Lucjana i znowuż pogrążyła się we wspomnieniach. Położyła rękę na jego poruszających się palcach. Były chłodne, otoczone u paznokci sinymi obwódkami.

— Czy ty śpisz? — zapytała.

Spojrzał na nią, starając się skoncentrować w oczach energię. Ale nie udało mu się to. Oczy pozostały przymglone, rozszerzyły się tylko nieco. Wyszeptał:

— Nie, nie śpię. Tak sobie leżę i myślę. Która może być godzina?

Odpowiedziała mu, że dwunasta dochodzi. Cofnęła swoją rękę i wstała. Powiedziała jeszcze:

— Mizernie dzisiaj wyglądasz. Kiedy sobie pomyślę, jakeś wyglądał, kiedyś tu przyjechał, to oczom wierzyć nie mogę. Zżarło cię to choróbsko do cna.

— Tak, wtedy to tak... wróciłem, widzisz, z gór, z powietrza. Opalony byłem na twarzy... wszyscy się dziwili, że byłem taki opalony... przecież to był luty dopiero, czy marzec. Mówili mi: „Ach, jaki pan opalony, panie Lucjanie, strasznie zdrowo pan wygląda". A teraz, pewnie bardzo podle... podaj mi lustro.

Pomyślała sobie, że przecież on nie powinien widzieć swej twarzy. Powiedziała więc wymijająco:

— Później ci przyniosę, teraz muszę zejść na dół, kupić coś do obiadu.

Rzeczywiście, zarzuciła chustkę na ramiona i wyszła. Pozostał sam, w tajemnym świecie swoich rozmyślań. W gruncie rzeczy zadowolony był, że sobie poszła. Prawda, okazała mu wiele miłości, starała się umilić mu życie swoją osobą, doglądała go w chorobie, ale przecież ona jest ze świata rzeczywistości, ze świata, z którym go prawie nic nie łączy. Traci ją razem z życiem: jest mu daleką, jak i ono samo. Ach, za wiele miał intuicji, iżby go miała łudzić nadzieja powrotu ku rzeczywistości, już podlegał innym prawom, czuł bowiem, że oto umiera.

Bilans przeszłości był już ukończony. Ponieważ wszystko to, co przeżył w wyobraźni, wartości, jakie mógł osiągnąć w czasie kilkudziesięcioletniego życia, przemyślał i osiągnął wyniki negatywne, zatem rachunek był wyrównany, należało tylko przebyć tę burzliwą część, jaką jest granica między życiem i śmiercią. Podróż tę odbywał na razie przy najlepszych żaglach, gasł powoli, w pełni władz umysłowych, jak dobrze wychowany człowiek, bez niskich uczuć strachu czy żalu człowieka gorszej marki, umierającego w panicznym lęku utraty życia, mimo perspektywy połączenia się z Bogiem. Lucjan nie miał Boga, wracał tam, skąd dwadzieścia dwa lata temu przyszedł, odchodził w „nieznane i niewiadome". Był szczęśliwy, że nie kona w spazmach bólu i nieprzytomności; byłoby to

ohydne, brukałoby urok śmierci. Jakże doskonale pamiętał szczególiki niedalekiej nawet przeszłości. Czyż nie zazdrościł studentowi wyjazdu? Ptaki, wierzchołki drzew. Było to przecież nędzne tchórzostwo, nikczemna chęć wymknięcia się z rąk przeznaczenia, pospolite umiłowanie życia ziemskiego. Powinien się tego wstydzić, nie był w porządku wobec majestatu przygarniającej go śmierci. Albo wczorajsza tęsknota do spaceru po ulicach miasta. Nic dziwnego, był profanem, należał jeszcze do życia. Później został dopuszczony do misteriów niebytu i oto pławił się w czystości.

Wolno i z wysiłkiem obrócił głowę w stronę otwartych okien. Tam koncentrowało się to, od czego on się oddalał. Niedawno był tu człowiek z zamiarem nawrócenia go z tej drogi. Ha... ha, biedak, jakże żałosną miał minę, nic już poradzić nie był w stanie. Poszedł sobie, dostał pieniądze i poszedł. Pieniądze. Jakże obco brzmi to słowo, bez którego nie może istnieć życie. A więc... ach, jakaż ohyda... ohyda!

Znów odwrócił głowę, twarzą do góry. „Nie będę zamykał oczu — pomyślał. — Jeszcze gotów mi kto przyjść i pomyśleć, żem umarł. Rozpoczęłyby się krzyki i macania koło serca, tak, jak wczoraj z Bednarczykiem. Gdy będę leżał z otwartymi oczami, pomyślą, że ot leżę i cierpię po staremu. Chociaż, z zamkniętymi — myśleliby może, że śpię, nie budzono by mnie, lecz nie, muszę bardzo podle wyglądać, skoro mnie ta mała nie chciała podać lustra, oj, głupiutka. Tak, jeśli zamknę oczy, na pewno pomyślą, że już koniec, a ja pragnę mieć jeszcze spokój. Ciekaw jestem, jak długo ta historia potrwa".

Nic mu nie dolegało, nic nie czuł. Było mu nieco zimno w nogi, ale nie mąciło to jego spokoju. Słuch tylko cierpiał, wszystko wokół wrzeszczało, żyło, powietrze było przesycone czyimś śpiewem... ach, to ten, i pomyśleć, że kiedyś tym się zachwycałem... Mogłoby być trochę ciszej, ale niech tam, na ostatek. I tak powinienem dziękować losowi, że nie kończę w mękach, z kulą w brzuchu na przykład. O, to by było okropne.

Zgrzytnęły drzwi. Wróciła Teodozja. Przechodząc obok, rzuciła:

— Ugotuję ci trochę rosołu, to cię pokrzepi.

Krzątała się, brzęczała fajerkami, przesuwała garnki. Pod zlewem poruszała się kura, leżąc na boku, ze związanymi nogami. Jej ciche pogdakiwania zwabiły kotka, który dotychczas wygrzewał się na parapecie okna. Przycupnął na progu i niby hipnotyzer, wpatrywał się w ptaka. Kilka minut trwał tak, przyczajony, w końcu sprzykrzyło mu się to bezskuteczne wyczekiwanie na zaczepkę i bardzo ostrożnie posunął się w stronę kury. Przystanął, znów się przybliżył.. Przywarł brzuchem do podłogi i wysunął prawą łapkę, tuż, tuż kury. Przerażona zagdakała i zatrzepotała skrzydłami. Kotek odskoczył, ale zaraz przysunął się jeszcze bliżej i położył łapkę na końcu sznurka, zwisającego z nóg kury. Teraz jednak chwyciła ją Teodozja i uniosła do góry, mówiąc do kotka: „A psik, won precz! Ty drapieżco!" Odskoczył i usiadł sobie w pobliżu. Teodozja stanęła nad miednicą, przytrzymała kurę kolanami, prawą ręką wzięła nóż, lewą zadarła do góry łeb ptaka. Trzymając nóż w ręku, dwoma palcami wyskubała trochę pierza z podgardla kury, po czym ścisnęła ją mocniej kolanami i przesunęła nożem po gołej szyi. Bluzgnęła krew do miednicy, ściśnięty ptak poruszył się i wyprężył nogi. Na widok buchającej krwi, kotek odbiegł w bok, węsząc. Do miednicy ciurkiem spływała krew, monotonnie dzwoniąc kroplami. W końcu, kiedy już prawie wszystko spłynęło, kura została rzucona na to samo miejsce, pod zlew. Tam drgała w śmiertelnych kurczach. Teodozja dołożyła węgla pod blachę, po czym chwyciła kurę i darła z niej pierze. Na pół oskubaną kurę oblała wrzątkiem, aby łatwiej było wydrzeć resztę pierza. Pokrajała ją w końcu, wyjęła wnętrzności i płukała w zimnej wodzie kolejno: żołądek, serce, wątrobę, nogi, łeb, skrzydła. Pachniało surowizną. Kot chodził nerwowo koło miejsca sekcji, mrucząc pożądliwie. Dostał tam coś, flaki chyba. W końcu sprytnie pokrajane zwłoki kury włożono do garnka z wodą, dołożono nieco włoszczyzny i postawiono na ogniu. Teodozja odetchnęła, musiała sobie w duchu przyznać, że zwinęła się szybko, trochę jest zmachana, no, ale będzie rosół dla tego nieboraka.

Zastukano w drzwi głośno, jeden raz. Teodozja otworzyła, listonosz wręczył jej kartę z pięknym widokiem gór. Zaadresowana była do Lucjana. Zaniosła mu ją.

— Pocztówka jest do ciebie, Lucek.

Pomyślał sobie, że trudno mu będzie czytać, trzeba się było wysilić, podnieść rękę. Powiedział więc:

— Jestem śpiący, przeczytaj mi, co tam jest.

— „Serdecznie cię pozdrawiam, tutaj jest cudownie, za dziesięć dni będę w Warszawie, to się zobaczymy, popijemy! Twój Antek. Zakopane, w październiku". Skończyła czytać, więcej nic nie ma — powiedziała.

— Dobrze, dziękuję ci bardzo, moja Todziu.

Położyła kartę na krześle i wróciła do kuchni. Zamknęła za sobą drzwi od alkowy, aby nie drażnił go zapach unoszący się z garnka.

„Też komediant, w samą porę wybrał się z pozdrowieniami. Popijemy, hę — niezły kawał". Lucjan wspomniał Antka, dziwacznego maniaka czystości. Mieszkali jakiś czas razem, w Zakopanem. Ten kościsty rudy młodzieniec kąpał się dwa razy dziennie, co pięć minut mył ręce i twarz. Cała rzecz była w tym, że kołnierzyka nie zmieniał dwa tygodnie, skarpetki rozpadały się na jego nogach, a ubranie świeciło różnokolorowymi plamami dawnych sosów, jajek i tłuszczów. Młodzieniec malował obrazy i groził, że nigdy ich nie sprzeda, bo w każdym z nich jest cząstka jego duszy. Właściwie nikt się nie kwapił z chęcią kupna i artysta mógł spokojnie ustawiać swoje płótna pod ścianą. Lucjan szybko przeszedł do porządku; dobrze świadczy o Antku, że pamiętał o byłym przyjacielu, wódkę będzie pił z kimś innym, jego, Lucjana, odwiedzi za dni dziesięć w pewnym pagórkowatym miejscu, wśród szumu drzew, gdzie jest wiele krzyży i pomników. „Żegnam cię, Antku i lepiej by było, gdyby twoja kartka przyszła wcześniej lub później; nigdy teraz. Naruszyłeś spokój".

Na łóżko wskoczył kotek. Szedł wzdłuż ciała Lucjana, aż dotarł do twarzy. Stanął niezdecydowany, zdziwiony jakby. Raptem miauknął, gwałtownie skoczył na podłogę, i w dwóch susach skrył się pod kanapą. Miauczał tam tak długo, dopóki zniecierpliwiona Teodozja nie zabrała go do kuchni. Uciszył się i nawet zdrzemnął gdzieś w kącie. Dziwaczne to było stworzenie.

Teodozja stanęła przy oknie. Dachy domów błyszczały w słońcu, wąska uliczka tętniła życiem i gwarem wielu głosów. Ładny dzień, pomyślała dziewczyna. Może doktor się omylił, zdarza się przecież różnie. Może to być, jakże to nazywają, przesilenie, czy jakoś? Jeden dzień tylko taki ciężki, jutro może być zupełnie inaczej. Ile to razy w szpitalu tak było. Ta żona inżyniera. Wszyscy myśleliśmy, że już nie przeżyje nocy, a tu masz, na drugi dzień zachciało jej się jeść, a trochę później wypisała się ze szpitala, zupełnie zdrowa. Teodozja oparła się o parapet i wyjrzała na podwórko. Zakręciło ją w nosie i kichnęła. Na dole stróżka trzepała starą odzież. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do Teodozji:

— Najlepszego! — krzyknęła. — Co to panna sobie nie pójdzie na spacer, w aleje, albo gdzie? Dzień jak złoto, jakbym była taka młoda, zaraz bym poszła.

— Muszę siedzieć w domu, chorego pilnować, kto mu co poda?!

— U was to same umarlaki. Trujecie tych lokatorów, czy co!

— Co robić, tak się jakoś składa. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje, moja pani.

— Z tym młodym to jest marnie. Jak on tu przyjechał, to przecież takie byczysko było rosłe, że aż strach. A wczoraj, jakeśmy koło tego wisielca zabiegały, to sama skóra i kości. Trząsł się w tej koszulinie, nogi miał jak patycki, gębusię wychudzoną niby Łazarz jaki. A szkoda by go było, bo zawsze taki wesoły, zagadał człowieka, pożartował, hecny był strasznie!

— Może tam jeszcze jakoś wyzdrowieje.

— Dałby Bóg, bo to młode przecież takie, jeszcze się nie nażyło.

Rosół zaczął kipieć, pobiegła więc do kuchni. Zdjęła pokrywę i w zadumie głębokiej zbierała drewnianą łyżką szumowiny. Tyle miłości miała do tego chłopca i nagle go musi utracić. Nawet mówić z nią nie chce, e, nie może chyba — ciężko mu. Nie miała wielkich wymagań w tym życiu, nie chciała być żadną panią, dochodzić do jakichś wyżyn. Po prostu pracować tylko i zarabiać na utrzymanie. Ale teraz, gdy polubiła go tak gorąco, ciężko jej będzie żyć na tym świecie w niezaspokojonej, pierwszej miłości. Nie była zbyt sentymentalna — przeciwnie, życie uczyniło ją dość szorstką i odporną na cierpienia. Teraz jednak, tkliwość ją ogarnęła ogromna, kiedy ten tam umierał i ona mu nic pomóc nie mogła. Męczy się pewnie strasznie, brak mu powietrza, żal opuścić świat, który jest taki piękny i tyle na nim radości. Żeby się chociaż chciał pojednać z Bogiem, oleje przyjąć.

Przyszedł Zygmunt. Poszedł do pokoju, ale zaraz wrócił do Teodozji.

— Co on tak jakoś dziwnie wygląda, pogorszyło mu się, czy co?

— Był doktor. Powiedział, że tylko kilka godzin pożyje. — I rozpłakała się wreszcie serdecznie.

— Nie może być! Widzę właśnie, że tak jakoś nienaturalnie wygląda. Płacz ciszej, bo go to może drażnić. Pójdę do niego.

Usiadł obok chorego i zapytał cicho:

— Lucek, jak się czujesz? Powiedz, może ci czego potrzeba?

— Nic mi nie trzeba, przestańcie się mną interesować. Czuję się doskonale, potrzebuję tylko spokoju. Rozmowa mnie tego spokoju pozbawia.

— Dobrze, już idę. Jak będziesz czego potrzebował, to mnie zawołaj, będę siedział na kanapie.

Poszedł do kuchni. Teodozja stała z łyżką w ręku i płakała.

— Sam nie wiem, co robić, może jeszcze raz pójść po doktora?

— Po co, przecież był już i powiedział, że nic nie może zrobić. Lepiej go zostawić, może się co odmieni. Ach, Boże, Boże!

Zygmunt porwał jakąś książkę i położył się na kanapie. Był szczerze zmartwiony stanem Lucjana; polubił tego małomównego, wiecznie zamyślonego chłopca. Był dobrym kolegą, umiał myśleć. Pomyślał, że jego śmierć byłaby czymś niestosownym ze strony losu.

Przez umysł Lucjana przechodziły teraz dziwaczne i drobiazgowe wspomnienia przeszłości. Nie wiadomo dlaczego, zamajaczył mu przed oczami stary kredens, stojący w jadalnym pokoju, za czasów dzieciństwa. Był to wielki, dębowy mebel, brązowego koloru. Na dolnych drzwiczkach znajdowały się płaskorzeźby zwierząt: głowa jelenia, para ogarów, zając w skoku i bażant. Głowa jelenia była wielkości pięści, miała rozgałęzione rogi, z których jeden był złamany. Pewnego razu, dzieci — goście z sąsiedztwa — zamknęły Lucjana w tym kredensie, podczas nieobecności rodziców. Wewnątrz było ciemno i pachniało pieczywem, serem i konfiturami. Lucjan w tej chwili poczuł wyraźnie ten zapach i doznał nieprzyjemnego wrażenia. Dzieci pobiegły do ogrodu, a on siedząc tam w środku, wyobrażał sobie, że oto znajduje się w trumnie, gdzieś głęboko, w ziemi. Wokół łażą wstrętne robaki, skrobią pazurkami swych włochatych nóg w drzewo trumny, chcąc się dostać do wnętrza. Wreszcie, przez wydrążony otwór gramoli się wielki jak palec niedźwiadek, z żarłocznymi szczękami i wyłupiastymi oczami. Pakuje się do dziurki w nosie i wwierca gdzieś daleko, aż do mózgu. Dzieci zapomniały o nim i siedział tak kilka godzin, półprzytomny ze strachu, wstrzymując się od krzyku, aby nie posądzono go o tchórzostwo. Kiedy wreszcie hałaśliwa gromadka otworzyła drzwiczki kredensu, on wyszedł stamtąd pełen godności, mówiąc: „Mogłybyście mnie zamknąć przynajmniej w miejscu, gdzie nie czuć jadła, ogromnie nie lubię zapachu jadła". Tak, wtedy spisał się dzielnie i potem zawsze był taki.

Dzieciństwo miał mroczne i przez nikogo nie rozumiane. Czyż wówczas, kiedy mieszkał z matką w mieście, miał jakieś rozrywki, przyjaciół? Matka wiecznie chorowała, była bardzo kapryśna, a on siedział całymi dniami na parapecie okna, z podwiniętymi nogami i wpatrywał się w ponury asfalt podwórza, gdzie nigdy nic się nie działo, gdzie nawet słońce nie rozweselało tej posępności. Mieszkali w lepszej dzielnicy miasta, nawet handlarz uliczny ni muzykant nie mieli dostępu do podwórka. O czym myślał wówczas, kiedy tak przesiadywał w swym aksamitnym ubranku, z pacholęco przystrzyżonymi włosami? W mieszkaniu było cicho, pachniało lekarstwami i często słyszało się kaszel matki. Byli samotni, prawie nikt ich nie odwiedzał. W mroczne zimowe popołudnia, w głowie chłopca rodziły się pomysły najśmielsze, ambitne pragnienia, dążenia do wyżyn wprost niesamowitych. Z długiego szeregu przeczytanych książek wyłaniały się wizyjne postaci. Żyły obok, popełniały złe i dobre uczynki. Ale obok tych nie bardzo szkodliwych zresztą marzeń, niepokoiły dziecięcy umysł sprawy tajemne, okrutne w swej niejasności, sprawy wyczuwane, widziane czasem, lecz niezrozumiałe. W kuchennym pokoju mieszkała służąca, tęga dziewczyna o dużych piersiach. Często odwiedzał ją młody mężczyzna w mundurze. Zostawał czasem na noc. Co mogły znaczyć ich wzdychania, jęki męczeńskie? Czy sprawiali sobie krzywdę? Dlaczego więc widywali się tak często? Co to wszystko miało znaczyć? Dziewczyna w dzień śpiewała, była bardzo wesoła. Umysł chłopca roił się od najrozmaitszych przypuszczeń, domysłów, zapierających oddech czasem. Jego siedem lat życia otaczały same tajemnice. Na dole, tuż przy bramie, mieścił się sklep rzeźnika. Służąca, korzystając z bezsilności swej pani, posyłała często małego Lucjana do tego sklepu po wędlinę. Za kasą siedziała żona właściciela, młoda kobieta, życzliwie patrząca na chłopca.

W dni ciepłe wychodziła zza kasy i stała w drzwiach sklepu. Od pewnego czasu zaczęło się z nią dziać coś strasznego. Ciekawość przezwyciężała zawsze strach Lucjana. Brzuch kobiety zaczął się raptownie powiększać, co kilka dni był większy. Sprawa ta pochłaniała Lucjana całkowicie, w snach jego była głównym tematem. Kilkakrotnie chciał się zapytać kobiety, czy bardzo cierpi i co to jest w ogóle, ale czuł, że o to pytać nie można. Tak się stało, że kobieta znikła na kilka dni, miejsce jej zajęła jakaś starsza pani. Któregoś dnia znów się pokazała, była trochę blada, ale brzucha nie było. Lucjan nie mógł sobie dać rady, zapytał służącej.

— A, ta Eberlajnowa z dołu?! Dziecko miała, ty głuptasie, co, ty jeszcze nie wiesz o tym!?

I tego wieczora powiedziała mu wszystko. I o tym swoim żołnierzu. Wytłumaczyła, wyjaśniła cały szereg dręczących niepewności. Wszystko to wydało się naraz Lucjanowi proste i nawet piękne. Nagle przestały go te rzeczy interesować, mógł powrócić do swych wzniosłych marzeń. Ta dziewczyna wyrwała mnie z mroku, który jest przekleństwem każdego dziecka — pomyślał teraz Lucjan.

Ocknęły go słowa Teodozji. Stała z dymiącym talerzem.

— Jest dla ciebie rosół. Podnieś się trochę i wypij.

— Zabierz to z powrotem. Nie będę pił.

— Musisz wypić, specjalnie dla ciebie zabiłam kurę.

Nie odpowiedział, leżał bez ruchu, patrząc na nią obojętnie szeroko rozwartymi oczami. Zrozumiała, że nic nie wskóra. Odeszła z pełnym talerzem.

Zygmunt przerwał czytanie i podszedł do chorego.

— Męczy cię pewnie mówienie? — zapytał.

— Tak... bardzo.

— Myślę że z tobą jest tak kiepsko, że warto, aby na ostatek pogadać trochę. Od czasu, jak tu mieszkasz, systematycznie pogarszało ci się. Czy sądzisz, że warunki mieszkaniowe przyczyniały się do tego?

— Nie... niezupełnie... przecież już przedtem...

— Przedtem chorowałeś?! Drogi Lucjanie, cała sprawa jest bardzo smutna. Przyjechałeś tu zdrów i wesół, zamieszkałeś raczej z koleżeństwa, aniżeli z potrzeby. Nie tylko tobie samemu tutaj źle się działo. Taka już atmosfera, myślę, że to nie tylko u nas. Muszę ci jednak powiedzieć, że tak ja, jak i moja matka, byliśmy do ciebie jak najlepiej usposobieni. Wiesz o tym, że nam jest bardzo ciężko, pomagaliśmy ci jednak, jak tylko było można. Mówię ci to, aby wyjaśnić, że stosunkowo było ci tu nieźle. Akurat tu ci przychodzi umierać. Trudno, są to rzeczy, do których nie należy się wtrącać. Chodzi mi o to, czy nie myślisz o mnie źle?

— Nie... wcale nie... zawsze cię lubiłem... ale trudno... trudno mi mówić...

— To nie mów. Pozwól, że uścisnę twą rękę. Przechodzisz do innego świata, nie wiem, czy ci zazdrościć, czy współczuć. Żegnam cię, będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Uścisnął lekko rękę chorego i poszedł do pokoju. Pomyślał sobie, że mogło to być śmieszne i niepotrzebne. Eh, głupstwo! Ostatecznie trzeba było się pożegnać. Ale już mu nie było żal Lucjana. „Gdybym powiedział, że go żałuję, byłoby to nieszczere, lubię go bardzo, a mimo to dziwnie mało mnie jego śmierć obchodzi. Paskudne jest takie znieczulenie".

„Kiego diabła odegrał całą tę komedię — pomyślał Lucjan. — Wiem, że jest porządny chłop i że mnie tu przez dłuższy czas za darmo karmili. I on chyba wiedział, że byłoby nonsensem, gdybym miał do niego jakąś pretensję. Zatem po co mnie tu męczył i przerywał rzecz całą? Wyglądam chyba na tyle nieprzytomnie, aby mnie nie niepokojono. Czort bierz całą serdeczność".

Nawet myśleć było mu teraz ciężko. Osłabienie obejmowało z wolna i umysł. Oddychać było coraz trudniej. Stan ten stawał się przykry i początkowy spokój mijał. Poczynało go to już niecierpliwić. Najwyższy czas, abym umarł, pomyślał.

Teodozja podała obiad. Zygmunt i ona jedli rosół przeznaczony dla Lucjana. Słyszał, jak dziewczyna chlipała z łyżki. Mogłaby się nauczyć jeść, przeszło mu przez głowę. Pod stołem kotek obrabiał skrzydło kury. Teodozja, jedząc, patrzała co chwilę w stronę Lucjana. Kiedy skończyła jeść, wytarła usta i niepewnie podeszła do chorego. Chwilę stała w niezdecydowaniu, wreszcie wyjąkała:

— Lucek, pójdę po księdza... wyspowiadasz się, będzie zawsze lżej...

— Zostaw mnie... po co mi głowę zawracasz... obejdę się.

— Przecież ci to nie zaszkodzi... proszę cię, zgódź się!

— Odejdź... nie znęcajcie się nade mną... dajcie mi skonać spokojnie.

Mówił chrapliwym szeptem. Gdyby mógł, to by krzyczał. Próbował nawet głowę unieść do góry. Dziewczyna odeszła, zanosząc się od płaczu. Wytworzył się nastrój bardzo przygnębiający. Zygmunt chodził wielkimi krokami po pokoju. Na podwórku ktoś grał na harmonii i mała dziewczynka śpiewała smutną i głupią piosenkę o matce, o szpitalu i o głodzie. Płacząc ciągle, Teodozja zamknęła okna. W pokoju zrobiło się cicho i ponuro. O szyby dzwonił tylko żałosny śpiew dziewczynki. Zygmunt usiadł w rogu kanapy i palił papierosa po papierosie. Słońce się gdzieś skryło, wiatr pędził chmury po niebie. Zrobiło się prawie ciemno, gdzieniegdzie, w sąsiednich mieszkaniach zapalano światło.

O zwykłym czasie przyszła Stukonisowa. Bąknęła o jakiejś redukcji, o wietrze. Od zapłakanej Teodozji dowiedziała się o stanie swego lokatora. Poszła, przyjrzała mu się, po czym wróciła i jęknęła:

— Tego tylko brakowało, ciekawam kto go i za co pochowa? Wczoraj jeden, dziś drugi, zaraza jaka, czy co!

Napełniła sobie talerz rosołem i jadła, wodząc w zamyśleniu swymi wyblakłymi oczami.

— Za mało pani włoszczyzny dała do rosołu i dlatego jest bez smaku. Panno Todziu, słyszy pani, cebulki widać pani nie przypiekła.

Zjadła, wstała od stołu i powiedziała:

— Trzeba się wziąć za zmywanie. — Potem rzuciła jeszcze z kuchni: „Może by mu doktora jakiego zawołać?" Ale dowiedziała się od dziewczyny, że już był, więc rzekła jeszcze tylko: „Ha, nie wiesz dnia, ani godziny...".

Teodozja zwierzyła jej się ze swej chęci sprowadzenia księdza. Stukonisowa ją uspokoiła:

— E, moja pani, jak nie chce, to jego sprawa, a nie czyja. Ja tam nikogo bym do tego nie namawiała, bo rozumiem, że taki ksiądz może człowieka tylko przed śmiercią zdenerwować swymi ceremoniami. W końcu i koszt, i kłopot. Chłopak już tam swoje myśli i nie trzeba mu się narzucać ze swoim.

Usiadła w kącie pokoju, nieprzekonana i znękana. Myślała o tym, że ją ofuknął i że wcale nie był dla niej dobry. Mógłby chociaż w ostatniej chwili być trochę delikatniejszy. Był przecież prawie wszystkim w jej życiu. Znów gorzko zapłakała.

Zachwyt nad śmiercią minął. W pewnej chwili Lucjana ogarnęła ogromna chęć życia. Lęk przed końcem, spazmem uchwycił go za gardło. Zimny pot zrosił ciało. Kurczowo miął pościel w palcach. Chciał krzyczeć, ale z gardła wydobył się słaby charkot. Znikł dostojny spokój. W głowie tłukły się myśli, niby szalone megery[121] w płonącym gmachu... Nic, tylko rozpaczna chęć życia, żal za tym, czym przed godziną pogardzał. Oczy jego omal nie wypłynęły z orbit, z szeroko otwartych ust wysunął się zbielały język i poruszał się szybko między popękanymi od gorączki wargami. W ciemności alkowy nikt nie widział tego rozpacznego wysiłku przeciw śmierci. Nastąpiło rozprzężenie mięśni. Usta się zamknęły, wzrok przygasł. Znów całe ciało ogarnęło osłabienie i nieczułość. Myśl pracowała powoli i nieporadnie. Rozpoczęła się agonia.

Stukonisowa ukończyła zmywanie naczyń. Dołożyła węgli pod blachę, zgasiła światło i usiadła obok drzwiczek kuchennych. Po ścianie latały czerwone języki. Węgiel trzeszczał, czasem z popielnika wypadł snop iskier. Kiedy węgle się rozżarzyły, znikły języki ze ściany i miejsce ich zajęły drżące smugi świetlne. Z twarzą wtuloną między dłonie, smętnie zapatrzona w spalające się węgle, Stukonisowa wyglądała jak posąg udręki i znużenia. Po mieszkaniu rozlała się złowieszcza, w swym brzęczeniu kroplami deszczu o szyby — cisza. Nikt się nie poruszał, Zygmunt usnął na kanapie, Teodozja pogrążyła się w rozmyślaniach o swej doli. Zapukano do drzwi. Stukonisowa otworzyła drzwi mężczyźnie w ciężkich butach z cholewami, o wielkiej, przygarbionej i rozrośniętej jednocześnie przez pracę fizyczną postaci. Był to jakiś kuzyn; wstąpił, będąc przypadkowo w tej okolicy. Usiadł obok, na kuferku, z ciężkim westchnieniem. W fantastycznych odblaskach ognia rozpoczęła się

[121] *Megera* (mit. gr.) — bogini zemsty i kary za popełnione zbrodnie. [przypis edytorski]

leniwa gawęda rodzinna. Wspomnienia z dawnych lat, narzekania na złe czasy. Kuzyn był razem z mężem Stukonisowej na japońskiej wojnie[122]. Twardym głosem opowiadał przeżycia ich dwóch. Mijały minuty obojętne dla rozmawiających, straszliwe w swej powolności dla konającego.

— Przyszedł Dziadzia... W ciemności o mało się nie potknął o nogę siedzącego mężczyzny. Zdjął palto w alkowie i bladą od jakiejś wewnętrznej zgryzoty twarz skierował w stronę Lucjana. Chwilę się jakby namyślał, po czym usiadł obok konającego i wysyczał wściekle:

— Słuchaj, ty! Dlaczegoś mi nie powiedział, że ona tu była?

Słowa te doszły Lucjana jakby z oddali. Nie zdawał sobie sprawy z ich znaczenia. Czuł straszliwy ciężar na piersiach. Dusił się.

Zniecierpliwiony milczeniem, Dziadzia począł go trząść za rękę.

— Ty kanalio!... He... powiedziała mi wszystko... ty milczku przeklęty... tak... już z nami koniec... wykpiła mnie... jak i ciebie wykpiła... bodajeś skonał... bodajeś tej nocy nie przeżył!

Ale z Lucjana szybko teraz uchodziło życie. Nie słyszał ostatnich słów Dziadzi. Miał wrażenie, że się zapada w lodowatą otchłań. Począł łapać powietrze, jak ryba wyrzucona na piasek. Odetchnął szybko kilkanaście razy i raptem wszystko ustało. Dziadzia mówił jeszcze: „Czego nie odpowiadasz, ty...”., ale w tej chwili uczuł kurczowe ściśnięcie swej ręki i potem lekkie rozluźnienie. Pochylił się, przerażony, nad Lucjanem i krzyknął. Zbudzony Zygmunt poderwał się i już był obok.

— Co się z nim stało? — zajęczał Dziadzia.

— Stało się to, co się miało stać. Umarł, ot i wszystko.

Przybiegli wszyscy. Teodozja, Stukonisowa i jej kuzyn. Kolejno pochylali się nad stężałym ciałem. Twarz Lucjana była szara jak kamień i jak kamień nie wyrażała nic. Obok siedział Dziadzia i bełkotał: „To ja, to ja go zabiłem, przez tę... gadzinę”.

Ale Zygmunt go uspokoił:

— Nie gadaj od rzeczy. On był konający, zanim żeś przyszedł.

U nóg Lucjana klęczało duże ciało Teodozji w spazmach płaczu. Zastukano do drzwi. To stróżka przyszła po klucze od góry. Ujrzawszy zwłoki Lucjana, złożyła gwałtownie ręce na piersiach, ale zaraz powiedziała prawie wesoło:

— Ale tu u was źle się dzieje... Najświętsza Panienko Częstochowska!

Zakopane 1931 r.

[122] *japońska wojna* — podczas wojny Rosji z Japonią w latach 1904–1905, w rosyjskiej armii służyli także rekruci polscy z poboru. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/unilowski-wspolny-pokoj/

Tekst opracowany na podstawie: Zbigniew Uniłowski, Wspólny pokój, Wydawnictwo Współczesne, Warszawa [1932].

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Sekuła, Jacek Barański.

ISBN 978-83-288-8393-2

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.